REPORTAŻ

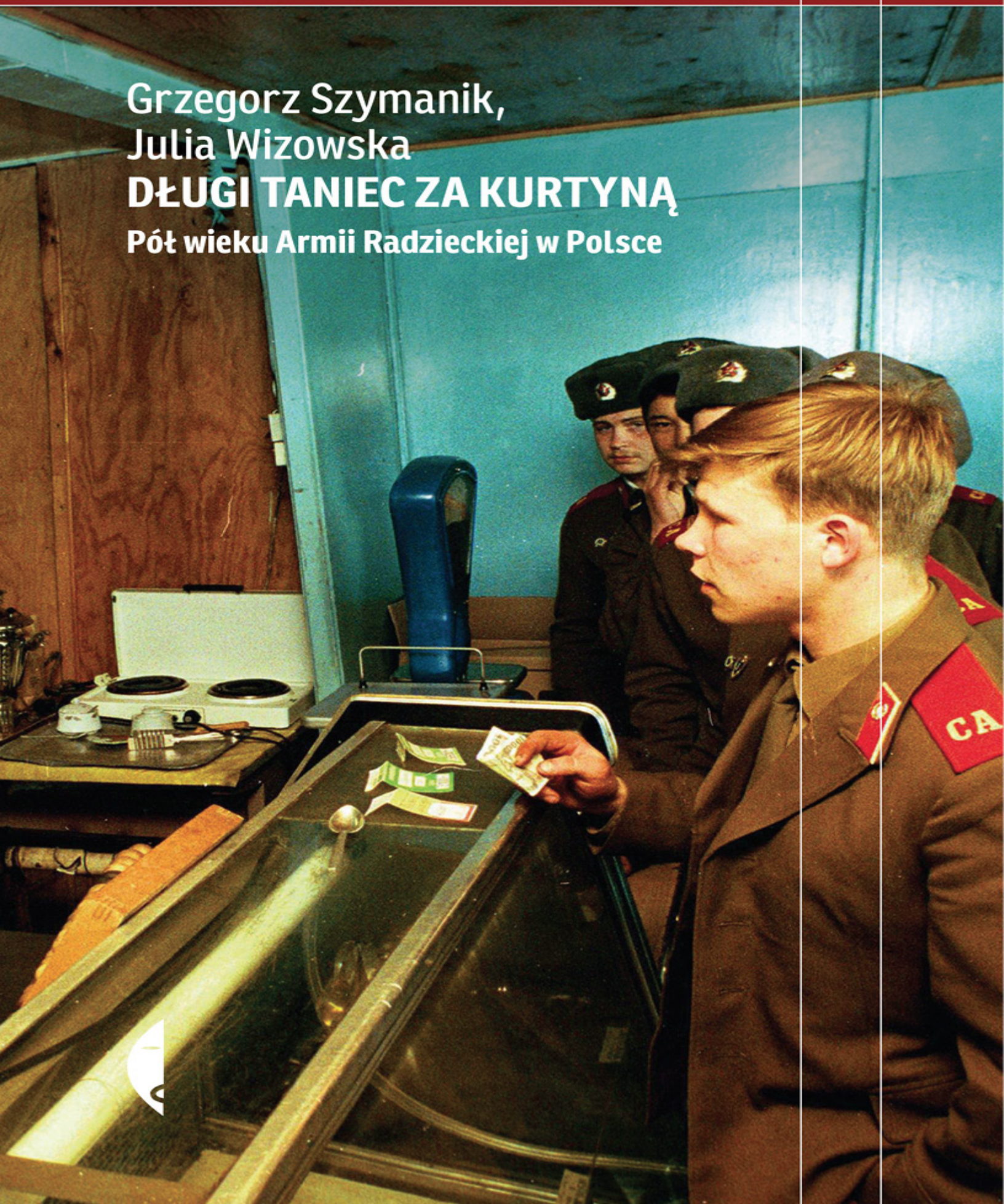

Grzegorz Szymanik,
Julia Wizowska

DŁUGI TANIEC ZA KURTYNĄ

Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

W serii ukazały się ostatnio:

Cezary Łazarewicz *Tu mówi Polska. Reportaże z Pomorza*

Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 2)

Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 4)

William Dalrymple *Dziewięć żywotów. Na tropie świętości we współczesnych Indiach* (wyd. 2)

Barbara Demick *Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej* (wyd. 2)

Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 2)

Ben Rawlence *Miasto cierni. Największy obóz dla uchodźców*

Dariusz Rosiak *Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha*

Jean Hatzfeld *Więzy krwi*

Aleksandra Boćkowska *Księżyc z peweksu. O luksusie w PRL*

Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe*

Ewa Winnicka *Był sobie chłopczyk*

Cezary Łazarewicz *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka* (wyd. 3)

Paweł Smoleński *Syrop z piołunu. Wygnani w akcji „Wisła”*

Marcin Kącki *Poznań. Miasto grzechu*

Piotr Lipiński *Bierut. Kiedy partia była bogiem*

Tomasz Grzywaczewski *Granice marzeń. O państwach nieuznawanych*

Cezary Łazarewicz *Koronkowa robota. Sprawa Gorgonowej*

Zbigniew Rokita *Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium*

Swietłana Aleksijewicz *Czarnobylska modlitwa. Kronika przyszłości* (wyd. 4)

David I. Kertzer *Porwanie Edgarda Mortary. Skandal, który pogrążył Państwo Kościelne*

Rana Dasgupta *Delhi. Stolica ze złota i snu* (wyd. 2)

Karolina Bednarz *Kwiaty w pudełku. Japonia oczami kobiet*

Paweł Smoleński *Królowe Mogadiszu*

Rob Schmitz *Ulica Wiecznej Szczęśliwości. O czym marzy Szanghaj*

Marek Szymaniak *Urobieni. Reportaże o pracy*

Ola Synowiec *Dzieci Szóstego Słońca. W co wierzy Meksyk*

Jacek Hołub *Żeby umarło przede mną. Opowieści matek niepełnosprawnych dzieci*

Marcin Michalski, Maciej Wasielewski *81 : 1. Opowieści z Wysp Owczych* (wyd. 2)

Marta Madejska *Aleja Włókniarek*

Ilona Wiśniewska *Lud. Z grenlandzkiej wyspy*

Remigiusz Ryziński *Dziwniejsza historia*

Maria Hawranek, Szymon Opryszek *Wyhoduj sobie wolność. Reportaże z Urugwaju*

Marcelina Szumer-Brysz *Wróżąc z Fusów. Reportaże z Turcji*

Mariusz Surosz *Pepiki. Dramatyczne stulecie Czechów* (wyd. 2 zmienione)

Swietłana Aleksijewicz *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* (wyd. 3)

Wojciech Górecki *Buran. Kirgiz wraca na koń*

Agnieszka Rybak, Anna Smółka *Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP*

Piotr Lipiński, Michał Matys *Niepowtarzalny urok likwidacji. Reportaże z Polski lat 90.*

W serii ukażą się m.in.:

Barbara Demick *W oblężeniu. Życie pod ostrzałem na sarajewskiej ulicy* (wyd. 2)

Paweł Smoleński *Wnuki Jozuego*

Grzegorz Szymanik, Julia Wizowska

Długi taniec za kurtyną

Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2019

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Tomasz Wierzejski / Agencja Gazeta

Copyright © by Grzegorz Szymanik i Julia Wizowska, 2019

Opieka redakcyjna Łukasz Najder
Redakcja Tomasz Zając
Korekta d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-805-1

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Motto

Zasady tańca klasycznego (1939–1956)
Legnica. Duma i wstyd
Skaza (1945)
Brzeźnica-Kolonia. Atom i mrówka
Czerwone strażnice (1956–1993)
Kłomino. Widmo i las
Festiwal romansu (1965)
Kęszyca Leśna. Chrystus i żołnierz
Manewry (1980 –1981)
Bielsko-Biała. Kamienie i zapałki
Pirat spada z chmur (1989)
Trzebień. Być albo nie być
Handlujcie, towarzysze! (1956–1993)
Szprotawa-Wiechlice. Żywi i martwi
Ucieczka czołgisty do raju (1991)
Borne Sulinowo. Rasputin i osadnicy
Ogon zdechłego lwa (1990–1993)
Uniejowice pod Legnicą. Muzeum

Podziękowania
Bibliografia
Kolofon

Gdzie stanie żołnierz sowiecki, tam już jest Związek Radziecki.

Józef Stalin

Przez czterdzieści osiem lat Armia Radziecka zajmowała w Polsce siedemset siedem kilometrów kwadratowych. To więcej niż obszar San Marino, Liechtensteinu i Andory razem wziętych. W zamkniętych garnizonach otoczonych zasiekami i murami miała żołnierzy, czołgi, śmigłowce, szpitale, szkoły, głowice atomowe, magazyny paliwa, kino, piekarnie, prokuraturę. Piekła swój chleb i wydawała gazetę.

Pilnowała granic systemu i wiecznego imperium.

Nigdy z Polski nie wyszła. To prawda: wkroczyła jako Czerwona, w 1946 roku zmieniła się w Radziecką, a gdy ją wycofywano w roku 1992, już była Rosyjska.

Kiedy wyjeżdżały ostatnie oddziały, mieliśmy po kilka lat. Pochodzimy z Mazowsza i z Kazachstanu. Wychowywano nas w pogardzie dla radzieckiego żołnierza i w poczuciu dumy z radzieckiego żołnierza.

Jedziemy rozgrzaną autostradą na zachód, w stronę byłych radzieckich garnizonów. Dziś to najczęściej skruszone betonowe skorupy, obrośnięte mchem, bluszczem i chwastem.

Ciemne chmury zbierają się na horyzoncie, a my rozmawiamy o tym, co wrasta w człowieka niezauważone i potrafi być trwalsze niż beton i wieczne imperia.

Zasady tańca klasycznego (1939–1956)

Sima nie rusza się z łóżka. Nie ma dość siły, by wstać i wyjść na słońce. Leży w półmroku, a myśli przepływają przez nią jak spokojna rzeka.

Kolej i stukot pociągu. Szalony taniec na wojskowej ciężarówce. Dziecko zastygłe w bezruchu na chodniku. Zielone robaczywe jabłka.

Jest początek lat trzydziestych. Nad Rusawą w obwodzie winnickim na Ukrainie znajduje się węzeł kolejowy, a przy nim stacja Wapniarka. Pociągi wożą tu węgiel i kamień wapienny do produkcji wapna. Od czasu rewolucji Żydzi opuszczają Wapniarkę, zostawiają sklepy, kamieniołom, aptekę. Nie działa już synagoga. Głód gniecie ukraińską wieś i głodni snują się mieszkańcy Wapniarki.

Głód ma zapach jabłek. Siedmioletnia Sima Trostianiecka biegnie polami. Przeskakuje przez płot, do sadu sąsiadów. Rozgląda się, skrada do jabłonki i potrząsa pniem. A potem wspina się i zrywa pokurczone, robaczywe owoce, które nie spadły. Zjada je od razu albo chowa w sukienkę i biegnie do babci. Mieszkańcy Wapniarki chodzą po ulicach otępiali. Głód otumania jak opium.

„Będzie gorzej” – powiadają. To nie lament, ale stwierdzenie faktu.

„Nie wyjedziecie, to umrzecie” – mówi wujek Simy.

W Leningradzie mieszka ciotka Simy. Ze starszym bratem i matką pukają do jej drzwi, a ciotka wybucha płaczem. W siedmiometrowym pokoju we współdzielonym mieszkaniu nie ma gdzie ich pomieścić. Śpią jedno na drugim. Ciotka pracuje w hucie, gdzie należy do organizacji partyjnej. Któregoś dnia wpada radosna do siedmiometrowej klitki, od progu woła: „Załatwiłam!”, i całuje Simę w policzek. Organizacja partyjna przydziela Simie miejsce w żydowskim sierocińcu. Tu państwo ją nakarmi i ubierze, ojcem jest tu komunizm, a matką partia. Sierociniec jest ogromny,

po korytarzach można biegać jak po polach wokół Wapniarki. Można nawet tańczyć.

Jak krew przez usztywnione tętnice i zwiotczałe żyły, tak przez pokój w Mohylewie płyną nad dziewięćdziesięcioczteroletnią Simą obrazy.

Ręce rozpostarte jak ptasie skrzydła. Zapach mokrej wojskowej plandeki. Sucharek wymoczony w wodzie.

Jest rok 1933. NSDAP zostaje jedyną legalną partią w Niemczech, a w żydowskim sierocińcu w Leningradzie komisja ustawia dzieci w rzędy i ogląda uważnie. Każe im skakać i śpiewać. Sima śpiewa – szepczą. Sima tańczy – kiwają głowami. Wypisują coś na kartce, a potem zabierają Simę do Leningradzkiego Instytutu Choreografii. Przez następne lata uczy się tam *assemblé* i *effacée*. Trenuje sprężystość ciała. Ćwiczy *cabriole* i *batterie*. Czyta *Zasady tańca klasycznego* Agrippiny Waganowej:

> *Dzieci tańczą i skaczą, lecz ich tańce i skoki są tylko instynktownym przejawem radości. Aby doprowadzić je do sztuki, do stylu, do artyzmu, trzeba nadać im ściśle określony kształt…*

Kiedy Sima trenuje ciało, rozciągliwość słowa ćwiczą też radzieccy dyplomaci.

Rankiem 17 września 1939 roku polskiemu ambasadorowi Wacławowi Grzybowskiemu zostaje wręczona notatka:

> […] wojna polsko-niemiecka ujawniła wewnętrzne bankructwo państwa polskiego. W ciągu dziesięciu dni operacji wojennych Polska utraciła wszystkie swoje rejony przemysłowe i ośrodki kulturalne. Warszawa jako stolica Polski przestała istnieć. Rząd Polski rozpadł się i nie przejawia żadnych oznak życia. Oznacza to, iż państwo polskie i jego rząd faktycznie przestały istnieć. Wskutek tego traktaty zawarte między ZSRR a Polską utraciły swą moc. […] Dlatego też rząd radziecki, który zachowywał dotąd neutralność, nie może pozostać dłużej neutralny […].

Ambasador nie przyjmuje notatki. Rankiem „Prawda”, organ prasowy Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego,

przedrukowuje wystąpienie ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa:

> Rząd radziecki uważa za swój święty obowiązek podać pomocną dłoń braciom Ukraińcom i braciom Białorusinom zamieszkującym Polskę. W związku z tym rząd ZSRR wręczył dziś rano polskiemu ambasadorowi w Moskwie notatkę, w której poinformował, że nakazał Naczelnemu Dowództwu Armii Czerwonej, aby jej oddziały przekroczyły granice i wzięły pod swoją opiekę życie i mienie mieszkańców zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi […].

Armia Czerwona wchodzi do Polski. Dzieli ją z nazistowskimi Niemcami, określa linię graniczną. NKWD strzela w tył głowy polskim oficerom w Katyniu, w Charkowie i w Twerze (Kalininie).

Sima ćwiczy skoki i obroty.

Niecałe dwa lata po wręczeniu notatki ambasadorowi Grzybowskiemu Sima kończy Instytut Choreografii i dostaje pracę w leningradzkiej operetce. Ma być solistką baletową, ale Niemcy najeżdżają Związek Radziecki. Szybko zajmują Wapniarkę. Powstanie tu obóz pracy pod administracją Rumunii, sojuszniczki Niemiec. Żydzi i działacze komunistyczni, którzy zostaną w nim zamknięci, będą karmieni paszą dla koni, umierać z głodu albo na tyfus. Wielu zostanie rozstrzelanych.

– Lubiłam strzelać – wspomina Sima, gdy rozmawiamy z nią zimą 2018 roku. – W domu dziecka była strzelnica. Potem w instytucie też chodziłam strzelać, gdy miałam czas. Zawsze trafiałam w środek tarczy. Byłam też dobrą i aktywną komsomołką. A my, komsomolcy, wierzyliśmy w przyszłość, w kraj i w partię. Wszystko, co miałam, dostałam od partii i od ojczyzny. Co mogłam jej dać sama?

W mocnym słońcu czerwca siedemdziesiąt siedem lat wcześniej baletnica Trostianiecka omija kałuże i biegnie ulicami Leningradu do komisji wojskowej. „Macie siedemnaście lat” – rozkładają tam ręce. Tylko jedna kobieta widzi jej złość i smutek i robi jej się szkoda. Daje Simie dobrą radę: by przyszła raz jeszcze, ale tym razem nie mówiła im już

prawdy. „Urodziłam się w 1923 roku” – poda więc Sima następnym razem. Ma już osiemnaście lat i jest wystarczająco duża, by iść na wojnę.

Wojskowy samochód przykryty plandeką jedzie przez wyschnięte błoto. Ci, którzy nim podróżują, zamiast karabinów trzymają gitary i harmoszki, a zamiast mundurów mają na sobie pstrokate stroje. To brygada artystyczna. Zamiast walczyć, mają przypominać żołnierzom, że oprócz śmierci istnieje też muzyka. Brygada liczy dwanaścioro śpiewaków, tancerzy i muzyków. Ciężarówka zatrzymuje się na tyłach frontu, artyści odsłaniają ciężką plandekę, demontują zmurszałe burty i zaczyna się występ. Paka robi za scenę, skrzypi od podskoków. Sima tańczy na niej paso doble i bolero, kamarinskaję i czeczotkę. Recytuje poezję w ubłocone twarze żołnierzy. Plandeka opada, artyści jadą dalej.

Plandeka podnosi się 26 grudnia 1941 roku. W hiszpańskiej sukni z falbanami, którą sama uszyła, Sima płynie z muzyką. W rytm wdziera się nagle dźwięk głośniejszy niż wszystkie instrumenty. Ściska ciężarówkę jak w obcęgach. Simę odrzuca w śnieg.

Budzą ją jasne światło i krzyki na łóżkach. Nie czuje twarzy, nie czuje ciała ani nóg. Lekarz, pułkownik Sałomatow, mówi jej, że ma odmrożone nogi. Długo leżała w śniegu. Odłamki pocisku wniknęły w prawą pierś, w lewe udo, w brzuch i w policzek. Ten ostatni wybił jej wszystkie zęby. Trzeba będzie wykonać sztuczną szczękę.

W szpitalu na Wyspie Wasilewskiej w Leningradzie jest tak wielu rannych, że personel szpitalny pyta okolicznych gospodarzy, czy nie mogliby położyć im rannych w korytarzu. Czy wzięlibyście ich do kuchni? Brakuje lekarzy i pielęgniarek.

Po pół roku Sima już chodzi i pułkownik Sałomatow namawia ją na skrócony kurs pielęgniarski. Baletnica jest teraz oficerem medycznym w batalionie artylerii. Szybko wraca jednak do brygady artystycznej. Na razie nie może tańczyć, tylko śpiewa.

Trzydziestotrzyletni Andriej Rajewski, reżyser i aktor, najpierw długo nie może pójść na wojnę. To przez korzenie – kto wywodzi się ze szlachty,

nie powinien walczyć za radziecki lud. Ale coraz więcej ludzi umiera i coraz trudniej sprawić, by żołnierze zapominali o śmierci. Brygada koncertowa potrzebuje więcej muzyki, więcej artystów. Andriej Rajewski dostaje zgodę na dołączenie do zespołu. I tak podczas wojny, na drodze rozmiękczonej kołami, pod mokrą plandeką Sima znajduje miłość.

Poród jest ciężki. Daje o sobie znać rana na brzuchu. Dwumilionowe miasto Leningrad oblegają niemieccy żołnierze Grupy Armii „Północ". Pod śniegiem znikają ulice i place. Elektrowniom w mieście brakuje opału, więc mieszkańcy ogrzewają się, paląc swoje meble i książki. Pośrodku miasta stanęły tramwaje. Odległości trzeba pokonywać piechotą i ludzie przypominają sobie, jak ogromne jest miasto, jak długie mogą być ulice.

Simie i Andriejowi rodzi się syn, a w mieście codziennie umierają ludzie.

– Leżą w śniegu. Dziewczynki i chłopcy, razem z rodzicami. Nikt ich nie chowa, bo nie ma czasu i rąk do kopania – przypomina sobie Sima podczas rozmowy z nami.

Olga Bergholc, poetka i pisarka, wygłasza w radiu przemówienia do mieszkańców. W dzienniku pod datą 7 lutego 1942 roku notuje: „Ludzie mrą potwornie […]. Ulicami wożą już nie trumny, ale zawiniętych w prześcieradła nieboszczyków. Po dwóch na jednych sankach. Jaszka zabiega o wyjazd naszej orkiestry – ratunek dla 250 ludzi. Wyliczał: Pierwsze skrzypce umarły, fagot kona, najlepszy perkusista zmarł".

I głód, znowu głód, jakby przyszedł tu za Simą z Wapniarki. Je się zupę z drożdży, je się kisiel z kleju stolarskiego. Pije kawę z przecedzonej ziemi i zwęglonego cukru.

Chleb dostaje się na kartki. Pojawiają się kolejne obwieszczenia o obniżonych racjach: trzysta gramów chleba dziennie. Sto dwadzieścia pięć gramów chleba dziennie.

– My, wojskowi, dostajemy dwieście pięćdziesiąt gramów – opowiada Sima. – Ale ten chleb to nie jest chleb, tylko mąka wymieszana z paszą z wytłoków bawełnianych i z sosnowymi wiórami.

Małymi porcjami chleba mieszkańcy posilają się w samotności, bo jedzenie staje się teraz wstydliwe, intymne. Fantazjują o pieczonym prosiaku i marzą o landrynkach. A jedzą koty, psy, szczury, ptaki. Mieszkańców Leningradu można podzielić na spuchniętych i wyschniętych. To dwa stadia głodu. Czasem matka umiera, bo oddaje swoją porcję dzieciom, czasem mąż podkrada żonie ostatni kawałek kromki. A jak umiera ktoś bliski, to wiadomo – rozpacz. Ale przez rozpacz coś przebija. Trudno się do tego przyznać: do końca miesiąca można korzystać z kartek żywnościowych zmarłego. Komisarze ludowi raportują o przypadkach kanibalizmu. W szkole zawodowej numer 39 przy ulicy Mochowej uczniowie koczują bez żadnej opieki. Jedzą koty i psy, a gdy umiera jeden z nich, powoli zjadają także jego.

Raport NKWD z grudnia 1941 roku: „Żona czerwonoarmisty udusiła najmłodszą córkę. Zwłoki wykorzystała dla przygotowania jedzenia dla siebie i pozostałej trójki dzieci”.

Woda na jeziorze Ładoga zamarza. Po lodzie ruszają wozy. Szlak przez jezioro liczy trzydzieści kilometrów, konwoje z żywnością ciągnące przez tę „drogę życia” ostrzeliwane są przez Niemców. Potem udaje się wyrąbać drugi szlak, wąski i niebezpieczny, żołnierze mówią, że to „korytarz śmierci”.

Siedmiomiesięczny syn Simy i Andrieja przestał płakać z głodu, teraz tylko leży. Sima wciąż nie ma mleka. Karmią go sucharkiem wymoczonym w ciepłej wodzie.

– Umieram razem z nim, razem tam idziemy, do śmierci – powie cicho Sima. – Ale mnie odratowali, a jego nie dali rady.

Niemcy wycofują się spod Leningradu po dziewięciuset dniach. Rusza radziecka ofensywa. Sima przyłącza się do 2 Frontu Białoruskiego, wraca do brygady artystycznej.

Płacze, śpiewa, tańczy.

Poza „croisé”. Przy zmianie kierunku spojrzenia mimo woli zmienia się wyraz twarzy. Przy skierowaniu spojrzenia w górę i podniesieniu twarzy rysy się prostują, a wyraz staje się surowszy.

Nad przyciemnionym pokojem w Mohylewie płyną kolejne obrazy.

Twarz wroga w soczewce lunety. Samotność w tłumie świętujących ludzi. Kobieta czekająca na progu mieszkania.

Generał Konstanty Rokossowski lubi sztukę. Jak Simie, historia jemu też wybiła zęby, stracił je na torturach. W czasie czystek stalinowskich został oskarżony o szpiegostwo dla wywiadu japońskiego i polskiego, ale to było dawno. Na długo przed Jarcewem, kiedy przełamał umocnione pozycje wroga i dostał awans na generała porucznika. Długo przed walkami o Moskwę, kiedy w komunikatach przestano go w końcu nazywać anonimowym „generałem R.”. Teraz jest bohaterem. Pod Stalingradem wziął do niewoli feldmarszałka Paulusa i dostał od niego pistolet. Dowodzi 2 Frontem Białoruskim, cieszy się szacunkiem żołnierzy. W okopach zjawia się często w odświętnym mundurze.

Na strzelnicy Sima trafia najpierw w dziewiątkę, potem w dziesiątkę. Za plecami słyszy kasłanie. Staje na baczność, salutuje. „Dobrze strzelacie, sierżancie” – mówi Rokossowski. Przygląda się tarczy. Sima kiwa głową i ćwiczy dalej, bardziej zawzięcie.

– „Pani Zimo”, zwracał się do mnie. „Pani Zimo! Jak się pani czuje?” Kochałam go bez pamięci. Kochałam jak Związek Radziecki! I niepodobny był do żadnego innego dowódcy. Wszyscy nam rozkazywali, a on? „Mam do was prośbę”. Wyobrażacie sobie? Dowódca armii, Konstanty Rokossowski, mówi, że ma prośbę do mnie. W szufladce przy łóżku do dziś mam pod ręką jego zdjęcie. On w mundurze i ja w mundurze, jeszcze dziewczynka – wspomina Sima.

„Towarzyszko, mam do was prośbę – wzywa ją do siebie. – Zginął nasz snajper, towarzyszko, a wy dobrze strzelacie. Proszę, żebyście go przez miesiąc zastąpili”.

„Służę Związkowi Radzieckiemu!” – woła Sima.

Najlepiej się strzela, gdy huczy artyleria i niebo rozbłyska złotym światłem. Trudniej wtedy dostrzec, gdzie się kryjesz. Dbaj o karabin, jest

ważniejszy niż twoja ręka. Jest znacznie ważniejszy niż ty, słyszy na przeszkoleniu.

– Tak jak wcześniej trafiałam w środek tarczy, tak teraz trafiałam w Niemców. A wszystkich ich zabiłam osiemnastu – mówi Sima.

W oddziałach snajperskich Armii Czerwonej służy dwa tysiące kobiet. Na front wyruszają dwójkami, giną gęsto. Wojnę przeżyje około pięciuset.

Sima:

– Za służbę snajperską Rokossowski wręczył mi pistolet z grawerunkiem: „Starszynie Trostianieckiej od marszałka Rokossowskiego". I tak szłam z frontem, i tak tańczyłam na froncie, tak śpiewałam i strzelałam. Razem wyzwalaliśmy Polskę.

Kroczy przez Polskę Armia Czerwona.

Z listów jej żołnierzy zarekwirowanych przez cenzurę:

> Cześć Pola! Naród tu bardzo biedny, na 4–5 osób hektar ziemi, chleb jedzą raz dziennie, a i tego maksymalnie 10 deko. Nawet nie mają pojęcia, jak się gotuje barszcz ukraiński. Oprócz modlitewnika niczego nie czytali. Nas traktują dobrze, zwłaszcza biedni.

Pierwsi spotykają czerwonoarmiejców partyzanci z Wileńszczyzny. W kwietniu 1944 roku akowski wywiad donosi, że żołnierze Armii Czerwonej kradną zegarki, rekwirują chłopom bydło i konie, które potem sprzedają za wódkę innym chłopom.

Ryszard Kiersnowski, partyzant AK, zanotuje we wspomnieniach:

> Krzyczę: „*Stupajtie nazad ili otkrojem ahoń!*" [Wycofaj się albo otworzę ogień] – a ten przede mną […], stojąc na śniegu całkowicie odkryty, bez najmniejszej szansy przeżycia, odpowiada, a raczej recytuje: „*Niet, sowieckij bojec nikogda nie idiot nazad, on wsio w pieriod i w pieriod!*" [Nie, sowiecki żołnierz nigdy się nie cofa, tylko zawsze naprzód i naprzód].

Maszeruje przez Polskę Armia Czerwona.

W jednym ze szpitali polowych Effendi Kapijew, radziecki korespondent wojenny, obserwuje, jak śmiertelnie ranny żołnierz prosi siostrę, żeby mu

pozwoliła dotknąć piersi. „Siostra odsłania pierś, ranny kładzie na niej rękę i umiera”.

Naciera, szturmuje Armia Czerwona.

Partyzantów AK zamyka w więzieniach. Janek Jankiewicz, pseudonim „Wołga”, siedzi w więzieniu w Starej Wilejce:

> W celach niedużych, po czterdzieści osób, tak że mowy nie było, aby się położyć na cemencie. Brud, wszy, głodówka. W lutym 1945 roku opanował nas świerzb. Jakoś po smarowaniu dziesięcioprocentowym kreozotem wyleczyliśmy się. Jednak dalej wszy, pluskwy, brud. W marcu 1945 roku tyfus plamisty. W ciągu tygodnia zmarło trzysta osób. Jako martwy byłem wrzucony do sutereny, tam nas trzech odżyło.

Wykrwawia się Armia Czerwona.

Sześćset tysięcy radzieckich żołnierzy ginie w Polsce podczas wypierania Niemców. Padają w lasach, umierają na przedmieściach miast. Na tyłach frontu działają specjalne oddziały wyłapujące i rozstrzeliwujące tych, którzy nie chcą przeć do przodu.

Przez wsie i miasta idzie Armia Czerwona.

W styczniu odbija Kielce i Kraków. Z Pomorza deportuje do obozów pracy w ZSRR trzynaście tysięcy ludzi. W Nosówce grupa parobków zwraca się do armii z pytaniem: „Dlaczego zwlekamy z wyborem radzieckiej władzy?”. Ksiądz w Czarnorzekach odprawia na jej cześć mszę dziękczynną. W Lublinie czerwonoarmiejcy kradną zegarki i dywany. W Łańcucie komisarze polityczni organizują dla mieszkańców pokaz filmowy, na którym pokazują *Tragedię w lesie katyńskim* (w filmie za Katyń odpowiedzialni mają być Niemcy).

27 stycznia wyzwala więźniów obozu Auschwitz-Birkenau.

Między 8 a 9 lutego NKWD morduje stu pięćdziesięciu pensjonariuszy domu starców i pięciuset pacjentów szpitala psychiatrycznego w Lubinie. 14 lutego wchodzi do Strzegomia („Około szóstej tupot ciężkich butów na piwnicznych schodach, gardłowe okrzyki i łomot do drzwi. Ktoś otwiera je kopniakiem i stoimy w snopie światła kieszonkowych latarek…” – notuje w dzienniku Helene Plüschke, która potem zostanie wielokrotnie zgwałcona

przez żołnierzy). Na terenie Auschwitz-Birkenau NKWD tworzy własny obóz, w którym przetrzymuje jeńców niemieckich.

Kroczy przez Polskę Armia Czerwona.

Montuje wojenne komendantury i zostaje.

Miasto Ogórków zajmuje 9 lutego. Tak, z powodu pól warzywnych i gospodarstw, które otaczały miasto, była nazywana przed wojną Legnica. W Mieście Ogórków nie ma do kogo strzelać. Niemcy zostawili puste domy i ulice. Ale miasto płonie jak pochodnia. Jak Kluczbork, Opole, Twardogóra, Brzeg i Trzebnica. Ogień to triumf. Na spalonym budynku żołnierze wywieszają hasło: „*Nasze dielo prawoje – my pobiedili*” (Racja jest po naszej stronie – zwyciężyliśmy). Pozostałych w mieście Niemców można rozpoznać po białych opaskach. Temperatura spada do minus dwudziestu stopni. Nastolatek Heinrich Kudoweh zostaje przydzielony do oddziału zbierającego zwłoki. Leżą wzdłuż drogi Legnica–Złotoryja, zmarznięte jak kamień.

„Pobieda!” (Zwycięstwo) – niesie się po legnickiej ulicy 9 maja, trzy miesiące później. Nieznajomi w tłumie polewają wódkę, płaczą, śmieją się, ściskają.

W tłumie stoi Sima. Nie śmieje się, nie płacze. Stoi, jakby była sparaliżowana, patrzy w słońce. „Ja wtedy w tym Leningradzie umarłam”, myśli. Nie odratowali jej. Nie całą.

Zwycięska noc jest niespokojna. Za oknem słychać głosy pijanych, rozlegają się strzały. Właściciela tartaku, pana Bartscha, który ukrył żonę i córkę w piwnicy, kilku radzieckich żołnierzy przypiera do drzwi stodoły. Grożą mu rozstrzelaniem.

– Dobrze tańczył marszałek Rokossowski – wspomina Sima. – Gdy przyjeżdżał do naszej kompanii, urządzaliśmy wieczorki taneczne. Jednego razu zebrał nas wkoło. Zgrzany jeszcze od tańca zawołał: „Zorganizujmy tu teatr wojskowy, towarzysze! Zróbmy tu wojskową operetkę!”.

Aktorów i reżyserów poszukują w batalionach i w obozach jenieckich: przedwojenny aktor Borys Niejmark służy teraz w stopniu młodszego

lejtnanta, Jelena Połowcewa z teatru w Penzie ostatnie lata spędziła na froncie, Klaudia Łysienko, przed wojną aktorka w teatrze w Krzemieńczuku, w czasie okupacji została wywieziona do Niemiec, podobnie jak Nina Kuzniecowa, przed wojną studentka leningradzkiej szkoły teatralnej.

Aleksiej Krasotin, powołany, gdy miał dziewiętnaście lat, z 484 Pułkiem Myśliwców stacjonuje teraz w Niemczech. Przygotowuje maszyny do wylotu. Gdy słyszy: „Potrzeba was na froncie sztuki”, od razu się pakuje i wyjeżdża do Legnicy.

> *Umiejętność swobodnego obracania szyi trzeba wyrabiać już od lat dziecięcych przy nauce każdego tańca…*

W powietrzu unoszą się kłęby pierza po rozdartej pościeli. Żołnierze rozbijają ściany, prują kanapy, szukają skarbów. Szaber. Mieszkania w Legnicy okradają i radzieccy żołnierze, i polscy osadnicy. Babka Jürgena Gretschela oddaje żołnierzom dwa konie i dwie skrzynki koniaku, żeby znaleźć się na liście ochronnej. Na jej drzwiach wisi kartka, na której ołówkiem napisano: „Nie wolno wchodzić i plądrować”, a do tego przybito stempel.

W okradanych mieszkaniach płonie ogień.

Jan Kurdwanowski, referent Wydziału Zdrowia, notuje: „Każdego dnia słupy dymu wznosiły się ku niebu. Coraz więcej kamienic płonęło. Nikt się tym nie przejmował – tyle ich było”.

Na ulicach przed domami stoją zegary, pianina, klosze, połamane krzesła. Na dworcu kolejowym ładowane są potem do wagonów.

Znikają meble, zwierzęta i wyposażenie fabryk. W styczniu 1945 roku Armia Czerwona uroczyście przekazuje Polakom wrocławskie zakłady Linke-Hofmann (późniejsza Państwowa Fabryka Wagonów Pafawag), ale potem usuwa ich z fabryki i oddaje ją po kilku tygodniach, z pustymi halami. Do ZSRR jadą tabor elektrycznej linii podsudeckiej i tory z trasy Wrocław–Kłodzko–Międzylesie. Z Elbląga kradzione są krowy, świnie, ramy okienne i okna. Z Sępólna Krajeńskiego – meble, odzież. Wojska

radzieckie zajmują magazyny z żywnością, młyny, cukrownie, rzeźnie i gorzelnie. Słupy telegraficzne idą na opał. Radzieccy maruderzy napadają na furmanki, które jadą do miasta.

W czerwcu z hotelu Europa w Zakopanem radzieccy oficerowie zabierają łóżka, lustra i szafki. To dla szpitala w siedzibie PCK, tłumaczą. Nieprawda, z siedziby PCK też wywieźli już większość wyposażenia. Latem we wsi Mierków w powiecie krośnieńskim żołnierze Armii Czerwonej demontują młyn. Mieszkańców broni oddział 11 Dywizji Piechoty Ludowego Wojska Polskiego. Polscy i radzieccy żołnierze ostrzeliwują się z rowów po dwóch stronach drogi prowadzącej do młyna.

W lipcu polski komendant Wrocławia publikuje instrukcję: „W razie napadu rabunkowego pouczyć żołnierza radzieckiego o bezprawności czynu oraz zaapelować do poczucia wdzięczności z powodu wyzwolenia kraju”.

W sierpniu w gminie Bytnica grupa Ukraińców, korzystając z protekcji dowódców armii, młóci i zbiera zboże z dwudziestu hektarów.

Październik, Sulęcin (z raportu wysłanego do Warszawy): „Władze sowieckie przy wszystkich kartofliskach postawiły posterunki, które strzelają do ludności polskiej z chwilą usiłowania wykopywania przez nią kartofli”.

W powiecie skwierzyńskim „stosunek ludności polskiej do Armii Czerwonej stale się pogarsza”.

W powiecie wschowskim: „Stosunek do Armii Radzieckiej wstrzemięźliwy: kradzieże, gwałty, awantury”.

Sulęcin: „Nastawienie do Rosjan złe z powodu utrudniania prac przy żniwach, gwałtów, rabunków”.

Powiat międzyrzecki: „Złe stosunki z ludnością”.

Za szaber biżuterii i złota zostaje zdegradowany komendant radzieckiego garnizonu w Legnicy. By unormować samowolny rabunek, Armia Czerwona tworzy fundusz wysyłkowy: chcesz przesłać prezent dla rodziny, musisz najpierw przekazać zdobycz komendantowi wojennemu. Ale szaber nie ustaje.

Teatr w Legnicy, stary budynek z 1842 roku, stoi całkiem pusty. Sprzęt, dywany i zasłony zostały rozkradzione. W pustych salach Sima wiesza firanki.

– Piękne dostaliśmy haftowane firanki. Trofiejne, po Niemcach – wspomina.

Zamiata w teatrze kurze, zmywa podłogi. Przy porządkach pomagają przedwojenni niemieccy aktorzy z Legnicy. Są przekonani, że sprzątają scenę dla siebie.

Jedne plamy znikają z podłogi, a inne pojawiają się na mapach.

Wojna się skończyła, ale w zachodniej Polsce nadal stacjonuje czterysta tysięcy radzieckich żołnierzy. Dowódcą Północnej Grupy Wojsk Armii Czerwonej, czyli wojsk radzieckich, które mają zostać na stałe w Polsce, zostaje Konstanty Rokossowski (w Bułgarii i Rumunii powstanie Południowa Grupa Wojsk, w Niemczech Wschodnich – Zachodnia, a w Austrii – Centralna, która następnie przeniesie się do Czechosłowacji).

Sztab Grupy mieści się w Legnicy. Armia zajęła w mieście koszary, lotnisko, szpitale, ratusz, sąd, więzienie, piekarnie, młyny, gorzelnie, czterysta siedemdziesiąt budynków mieszkalnych. W dzielnicy Tarninów, w luksusowych willach niemieckich adwokatów, lekarzy, kupców i przemysłowców, zamieszkują radzieccy generałowie i oficerowie. W dawnej willi fabrykanta Teicherta, producenta fortepianów, jest teraz Dom Prioma, czyli hotel dla wizytujących generałów. Każdy przyjezdny dostaje butelkę szampana.

Niemcy są wypędzani, a Polacy przesiedlani z centrum na przedmieścia. Na przeprowadzkę mają dwadzieścia cztery godziny i zabrać mogą tylko to, co pod ręką. Wiele dni koczują pod gołym niebem.

Największy obszar z zajętych w Legnicy liczy czterdzieści hektarów i nazywany jest „Kwadratem”. Powstaną tu radzieckie sklepy, kluby, bank, radio, gazeta, przedszkola, przychodnie zdrowia, kino. Kwadrat będzie miał odrębną instalację energetyczną i linie telefoniczne. To radzieckie miasto pośrodku polskiego miasta, które było niemieckim miastem. Na razie strzegą go posterunki z karabinami maszynowymi, ale niedługo Kwadrat

otoczy dwumetrowy mur wzmocniony drutem kolczastym i tłuczonym szkłem.

Podobne otoczone zasiekami garnizony ciągną się od południa do północy, od Dolnego Śląska do Pomorza Zachodniego: Świętoszów, Pstrąże, Borne Sulinowo. W Trzebieniu stacjonuje radziecka 20 Dywizja Pancerna. W Szprotawie i w Krzywej, w Żaganiu i w Brzegu zostają lotnicy. Garnizony saperskie, łączności i transportowe są w Jaworze, w Strzegomiu, w Świdnicy, na przedmieściach Wrocławia. Nie ma ich jednak na oficjalnych mapach.

W chwili wspinania się na palce trzeba tak postawić nogę za nogę, by dla widza była widoczna tylko jedna noga.

Otwarcie! „W Domu Oficerów utworzono zespół śpiewu i tańca oraz zespół instrumentalny. Rozpoczęto formowanie rosyjskiego teatru dramatycznego!" – melduje generał lejtnant Okorokow, kierownik wydziału politycznego garnizonu, politrukowi Armii Czerwonej generałowi Szyszkinowi.

A rozkaz numer 49 z 11 kwietnia 1946 roku mówi: „W odpowiedzi na zadanie kierownictwa politycznego został odbudowany i otwarty 7 kwietnia 1946 roku teatr dramatyczny".

Teatr gra Szekspira i Czechowa. Gdy aktorzy na deskach wygłaszają monologi, na ulicach miasta wciąż słychać strzały i krzyki: „Ratunku!" i „*Hilfe!*".

Grają też Gogola i Moliera.

Na scenie Rosjanie, w szatni pracuje Polka. Polski jest stolarz i polska jest sprzątaczka. Ślusarz i elektromonter są Niemcami.

„Jako jedyny nie byłem zawodowym aktorem – wspomina po latach Aleksiej Krasotin. – »Jeszcze kiedyś zagrasz Lenina«, mówili koledzy. Bo zagrać Lenina to było największe wyróżnienie. I rzeczywiście zagrałem, wiele lat później, już w Czeboksarach".

Wystawiają *Kremlowskie kuranty* (o dylematach Lenina i Dzierżyńskiego na temat budowy komunizmu).

Wieczorami po spektaklach wychodzą na balkony swoich mieszkań i śpiewają do późnej nocy.

Sima występuje w sztuce o blokadzie Leningradu. Gra Tamarę, dziewczynę frontową. Po spektaklu wraca z Andriejem do mieszkania w budynku nieopodal teatru. Jest późno. Przed budynkiem siedzi kobieta, cała we krwi, za rękę trzyma zakrwawioną dziewczynkę. Dziewczynka ma trzy lata, a na imię Sigrid. Kobieta to Klara, jej matka. Pobito je i wyrzucono z mieszkania.

– Spytałam, kto to zrobił. Spojrzały tylko i nie chciały powiedzieć – opowiada Sima. – Klara twierdziła, że są Niemkami. Na początku w to nie wierzyłam. Bo skąd Niemcy w Legnicy? Ja nie miałam wtedy pojęcia, że to było niemieckie miasto. Tłumaczyłam jej: „Jedź, Klaro, do siebie, tu jest państwo polskie”. Założyłam na siebie całe żelastwo, wszystkie moje medale i odznaczenia, i poszłam do komendantury. Tam potwierdzili, że to naprawdę Niemki z Legnicy. Pozbieraliśmy dla niej pieniądze, ubrania, buty, przybory szkolne… Wszystko z trofeów po Niemcach. Odprowadziłam je na pociąg. A któregoś dnia znów zobaczyłam je na ulicy. „Klaro, jedź do domu”. Odpowiedziała, że właśnie wróciła do domu.

Grają Ostrowskiego i Scribe’a.

Radziecki teatr wojskowy jest jak batalion, działa według wojskowych reguł. Kierownictwo polityczne kontroluje zespół. Początek prac i datę premiery wyznaczają rozporządzenia. Aktorzy, jak żołnierze, wymieniani są co dwa albo trzy lata. Na spektakle spędzani są szeregowi z garnizonu. W piątki wystawiana jest sztuka dla Polaków.

Grają bajki i komedie.

Sima:

– Któregoś dnia przyszła do mnie Polka. „Towarzyszko Rajewska, potrzebujemy waszej pomocy”. Niedaleko Legnicy zakładali pegeer i prosili, żebym pomogła im zorganizować rolnicze kółko artystyczne. Ludzie wymęczeni, wychudzeni. Zatańczyliśmy dla nich. A potem, w nocy, gdy już wracaliśmy, ktoś do nas strzelał. Nie wiem kto. Wielu było wtedy przeciwników wyzwolenia Polski. Nawet nie chciałam myśleć o tym, kto

to. Gdy następnym razem zaproponowali wyjazd, odmówiłam. „Towarzysze, nie obraźcie się, nie jadę”, powiedziałam. Nie po to przeszłam wojnę i wyzwoliłam Polskę, żeby teraz do mnie strzelali po nocach.

Jest scena, jest widownia i są kulisy.

Z okna liceum w Legnicy widać radzieckie więzienie. Uczennica Stanisława Piątkówna w drodze do szkoły znajduje przy więzieniu kartkę, na której krwią są zapisane imię, nazwisko i adres. Po polsku, choć oficjalnie siedzą tu tylko obywatele ZSRR. Inni uczniowie znajdują przy murze: szmatki z bielizny, nakrętki, kawałki papieru. Wyklęci z lasu, akowcy i inni wrogowie ludu, zwożeni są tu czarnymi samochodami z napisem „CHLEB”. Wyroki wykonuje się pod murem dziedzińca.

Grają komedie Jerzego Jurandota. *Romea i Julię* wystawia wzięty reżyser z Leningradu.

– Przyjeżdżali aktorzy znani z radzieckich filmów: Fiodor Odinokow i Olga Fiedorina – opowiada Sima. – Ja najpierw występowałam w wojskowym teatrze dramatycznym, a potem przeszłam do wojskowej operetki. Ale tylko na chwilę, bo zgodnie z rozporządzeniem numer 37 teatry zostały połączone. Stało się to z bardzo ważnych powodów. To informacja dla bardzo wąskiego grona odbiorców. W 1946 roku podpisałam na NKWD papier, że nie będę rozpowiadać i nikt mi nie powiedział, że już można mówić.

Milczy przez chwilę.

– A może zaryzykować? Mam dziewięćdziesiąt cztery lata, toby mnie aresztowali? Powiem! Chodzi o tych aktorów, których wyciągaliśmy z niemieckich obozów jenieckich. Zaczęły się ich aresztowania. Zabierano jednego po drugim i zostało w końcu tylko dwanaście osób, dlatego nie było komu dalej pracować. Trzeba było połączyć teatry. Za co ich aresztowali? Okazało się, że do obozów wcale nie wzięto ich siłą. Wszyscy przyjechali do Niemiec dobrowolnie, żeby tańcować dla Niemców na imprezach. To wszyscy byli, okazało się, zdrajcy. Zostali osądzeni. Więcej o nich nie słyszałam.

Teatr, a za oknami teatru też jakby scena. Procesy sądowe jak fikcyjne spektakle, polityczne obwieszczenia jak zmyślone monologi. Najważniejszą cechą życia publicznego i politycznego staje się udawanie.

Wszystko się zmienia. Język, kultura, relacje społeczne są orane jak ziemia pługiem. Odbudowywane place i ulice noszą nazwiska radzieckich żołnierzy. Obchodzi się teraz święta: rocznicę śmierci Lenina (21 stycznia), rocznicę zwycięstwa pod Stalingradem (2 lutego), święto Armii Radzieckiej (23 lutego). I tak dalej. W szkołach dzieci malują obrazki: „Niech żyje Armia Radziecka – ostoja pokoju”. Za dobre wyniki w nauce dostają książki o armii.

Z haseł i tytułów, jakimi określa się Armię Radziecką w polskiej prasie w latach 1945–1956, ułożyć można litanię:

> Armio Czerwonogwiezdna, Armio niezwyciężona, Armio nowego socjalistycznego typu. Armio obrony wolności i niezawisłości, Armio Grozy, Armio Mocy, Armio wierna jak śmierć!
>
> Czerwona straży, Wichuro pomocy, Lawino chwały, Krwi z krwi, kości z kości ludu pracującego, Dumo całej postępowej ludzkości świata, Jedyna armio, która zwalcza wszelki ucisk, Nasz przyjacielu sojuszniku, Nasza sojuszniczko!
>
> Armio w szarych szynelach, kwitnieniem ran krwawa, Armio, która przyniosła nam wolność!
>
> Obrońco fabryk i pól, Obrońco pokoju i kultury, Pięści bolszewików, Pogromczyni faszyzmu, Żołnierzu naszej wielkiej prawdy, Żołnierzu wolności, Rycerzu wyzwolenia całego ludu pracującego z rąk kapitału, Wierna straży interesów państwowych swojej Ojczyzny, Strażniku pokoju światowego, Armio, której faszyzm nie pokonał i nie pokona nigdy, Stalowy puklerzu osłaniający Polskę przed interwencjonizmem imperialistycznym, Prawdziwa Wyzwolicielko.
>
> (Usłysz nas, wysłuchaj nas, zmiłuj się nad nami).

– Prawie wariowałam, jak patrzyłam na ruiny i na biedę Polaków – kontynuuje Sima. – Choć czasem wyjeżdżaliśmy dawać koncert do Breslau i na widowni siedzieli ludzie w złocie i w futrach. Gdzie oni się ukrywali w czasie wojny?

Z teatrem jeździ do Wrocławia, Poznania, zniszczonej Warszawy. Odwiedzają Katowice, Opole i Gorzów. Na peronach witają ich z kwiatami,

o spektaklach rozpisują się nowo powstałe gazety:

> Sztuce Szejnina *Fatalny spadek* można by z powodzeniem nadać tytuł *Dwa światy*. Autor ukazuje w niej bowiem typ przeciętnego Amerykanina i przeciętnego obywatela Związku Radzieckiego. Pierwszego z nich cechuje cześć dla dolara, pogoń za bogactwem, brak wszelkich skrupułów moralnych. Drugiego – lekceważenie bogactwa, niechęć do wszelkiego blichtru, radość rodząca się ze świadomości wypełniania swojej roli w społeczeństwie…
>
> („Słowo Polskie” z 27 października 1949 roku)

> […] dramaturgia radziecka związana jest z życiem radzieckiego człowieka. W sztuce Anatola Sofronowa *W pewnym mieście* konflikt rozgrywa się między dwoma ludźmi: Sekretarzem Komitetu Miejskiego Partii i przewodniczącym miejskiego Komitetu Wykonawczego. Obaj budują socjalizm, gorąco kochają swoje miasto, ale przewodniczący zapomina o człowieku […]. Świetny epizod babki Burminy stworzyła artystka RSFSR M. Iwanowna Warłomowa.
>
> („Słowo Polskie” z 20 maja 1951 roku)

> […] wtoczył się na peron pociąg, którym przybył na dwudniowe występy zespół Radzieckiego Teatru Dramatycznego. Członka zespołu, obywatela Zienina, ucieszyła wiadomość, że w ciągu jednego dnia wyprzedano bilety na obydwa przedstawienia, co najlepiej świadczy o pogłębiającej się naszej przyjaźni.
>
> („Dziennik Zachodni” z 18 października 1951 roku)

Wytarte zdjęcie, zaplamione w rogu. Stoją albo siedzą na odkrytej pace ciężarówki, podobnej do tej, którą jeździli z występami na froncie. Trzymają w rękach wędki, pewnie wybierają się na ryby. Stoi Andriej Rajewski. Dalej przed aktorem Iwanem Griszynem Sima Trostianiecka, teraz już Rajewska, patrzy w obiektyw i mruży oczy. Właśnie się pobrali z Andriejem. Jest wiosna roku 1949. Armia Czerwona też nazywa się już inaczej – od trzech lat jest Radziecka. Za kilka miesięcy, w listopadzie wyjedzie z Legnicy Konstanty Rokossowski.

Zostanie ministrem obrony narodowej i nowym marszałkiem Polski.

> *Zakończenie ruchu przekształca się w łańcuch błyskawicznych obrotów, które kończą się niespodziewanym zatrzymaniem. Tancerka musi stanąć „jak wryta” na miejscu w jakiejkolwiek pozie.*

– Na scenie w Legnicy występowałam jeszcze trzy lata. W 1952 roku wróciliśmy z Andriejem do Leningradu. Poszliśmy pod stary dom, ale okazało się, że tam są tylko gruzy. Mieliśmy puste kieszenie i nocowaliśmy na dworcu. Pełno tam było śpiących na ławach i podłodze żołnierzy i oficerów. Przeganiali nas dozorcy – opowiada Sima.

Na dworcu żebrzą inwalidzi wojenni. To już ostatni inwalidzi widziani na ulicach. Ponad dziesięć milionów żołnierzy radzieckich wróciło z frontu z urwanymi nogami, rękami, organami płciowymi, z uszkodzonym wzrokiem. Władze przymusowo zsyłają ich w miejsca odosobnienia, takie jak wyspa Wałaam, by nie przypominali ludziom, ile kosztowało zwycięstwo. Nie psuli ogólnego obrazu.

Sima pisze list do Rokossowskiego.

– Nie zapomniał mnie. Dostaliśmy jednopokojowe mieszkanie. Andriej zaczął pracować w Lenfilmie. Potem przeprowadziliśmy się do Kirowohradu na Ukrainie, do szwagierki Andrieja, gdzie odszukał nas komisarz Maciuszewski, oficer polityczny naszej brygady artystycznej. Został mianowany sekretarzem komitetu partyjnego do spraw agitacji i propagandy w Mohylewie. Prosił o pomoc. „Mam w teatrze dziesięciu aktorów i dziesięciu widzów!”, pisał w liście. Całą wojnę z nim przeszliśmy, to jak mogliśmy odmówić? Do Mohylewa przyjechaliśmy w niedzielę, aktorzy właśnie grali sztukę. Na sali rzeczywiście siedziało tylko pięć osób. Miałam trzydzieści dwa lata. Przeżyłam w ciągu pierwszych trzydziestu tyle, że potem już właściwie nie ruszałam się z miejsca. Osiadłam w Mohylewie, zatrzymałam się. Przestałam tańczyć, tańca uczyłam już innych. Zostałam baletmistrzem w teatrze. W instytucie artystycznym wykładałam choreografię.

W Polsce osiadł też system. 14 maja 1955 roku zostaje podpisany Układ Warszawski, a 17 grudnia 1956 roku – umowa o statusie prawnym wojsk radzieckich. Wcześniej ich pobytu nie regulowało żadne prawo. Porozumienia utrwalają eksterytorialność garnizonów, a liczba żołnierzy zostaje ustalona na sześćdziesiąt dwa, sześćdziesiąt sześć tysięcy.

Nieoficjalnie nikt jednak nie wie, ilu żołnierzy radzieckich naprawdę stacjonuje na terenie Polski. Tak zostanie na pół wieku.

Bez Simy radziecki teatr wojskowy działa jeszcze ponad dziesięć lat. W archiwalnych dokumentach z lat sześćdziesiątych można znaleźć informacje, że:

- w sezonie 1962/1963 wystawia dwieście pięćdziesiąt dziewięć spektakli (sto sześć dla żołnierzy, sto dwadzieścia trzy dla oficerów i trzydzieści dla Polaków);
- pod koniec sezonu 1963/1964 kierownik kotłowni Kazimierz Lidka otrzymuje od dyrektora teatru podziękowania i dyplom;
- w sierpniu 1964 roku zostaje zamknięty (choć jeszcze w czerwcu zakontraktowano nową ekipę aktorów). Nie ma żadnych dokumentów, które tłumaczyłyby dlaczego.

– A w Mohylewie zabrali mi pistolet od marszałka Rokossowskiego. Doniósł kolega z teatru. Przyszli mundurowi, ja nie chciałam oddać, ale Andriej powiedział: „Simoczka, nie dadzą ci żyć”. To oddałam. Andriej zmarł w 1993 roku, miał wtedy osiemdziesiąt trzy lata. Ja żyję, choć nie mogę się już ruszać. Więc tylko wspominam – mówi Sima.

Obrazy płyną nad łóżkiem coraz szybciej, jak rwąca rzeka.

Zielone robaczywe jabłka. Szalony taniec na wojskowej ciężarówce. Kobieta czekająca na progu mieszkania. Sucharek wymoczony w wodzie.

– Nie mogłam mieć więcej dzieci. – Głos Simy cichnie na koniec. – Przez moje rany i poprzedni ciężki poród. Adoptowaliśmy z Andriejem syna. Takie czasy, że choć syn pracuje, to ledwo mu na cokolwiek starcza. Bieduje, więc mu pomagam. Z tej mojej wojennej emerytury.

Legnica. Duma i wstyd

Wyruszają zawsze od wschodu i zawsze z początkiem maja.

Ci, których spotykamy, gdy wychodzą z autobusu na rynku w Legnicy, wyjechali z Kaliningradu pierwszego. Rozglądają się, zapalają papierosy, ziewają, prostują kości, odwijają kanapki z folii. Mówią, że jadą szlakiem ojców. „Drogami pamięci”.

Drugiego byli w Pieniężnie pod pomnikiem dowódcy 3 Frontu Białoruskiego generała Iwana Czerniachowskiego. Przywitali ich tam weterani z Ludowego Wojska Polskiego.

„Bardzo was przepraszamy” – powiedzieli weterani. Wskazali na betonową podstawę pomnika, była rozbita. Na płocie ktoś powiesił flagę Armii Krajowej (generał Czerniachowski rozbrajał akowców).

„Przecież AK strzelała nam w plecy, kiedy wyzwalaliśmy Polskę od nazistów!” – oburzyła się wycieczka, choć wśród nich nikt nie przekroczył jeszcze siedemdziesiątki.

Trzeciego byli w Działdowie. Czerwona gwiazda obelisku podpułkownika Mikołaja Gierasimowa na cmentarzu radzieckim zamalowana była na czarno. Walerij Gromak, dawny korespondent „Krasnej Zwiezdy” (Czerwonej Gwiazdy) w Kaliningradzie, oficjalnej gazety rosyjskiego Ministerstwa Obrony, popłakał się. Odjeżdżając, na granitowej płycie obok stojaka na znicze wycieczka położyła zafoliowaną kartkę: „Szanowni Młodzieży, nie nieszcze Pamiątki. Serdecznie Wasz proszę”.

W Stargardzie usiedli w hotelowej restauracji razem z polskimi rekonstruktorami przebranymi w radzieckie uniformy. Obok śniadanie jedli niemieccy turyści. „Weź mi soku, Janusz” – rzucił po rosyjsku jeden z rekonstruktorów (miał na ramieniu kałasznikowa). Turyści z Niemiec w ciszy przeżuwali jajecznicę. Jeden wyciągnął telefon. Dziesięć minut

później pod hotel podjechała policja i wycieczka z Kaliningradu musiała tłumaczyć, co robi w mieście.

W Dąbrowie Górniczej wręczyli medal Dawidowi Zeganowi, który zatrzymał wandala niszczącego radziecki nagrobek. Dwa dni siedział w zasadzce przy pomniku, aż złapał chuligana na gorącym uczynku.

W Warszawie, w alei cmentarza żołnierzy radzieckich spotkali Irinę z Krasnodaru. „Dziadek umierał w Polsce dwa razy” – powiedziała im. To znaczy rodzina dwa razy dostała zawiadomienie o śmierci. Pierwsze od lekarzy, którzy uznali, że rana jest na tyle beznadziejna, że można już powiadomić rodzinę. Dziadek przeżył, ale zginął później w Warszawie. Irina odnalazła miejsce pochówku rok temu.

A teraz są tutaj, w Legnicy, dawnym sztabie Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej (PGWAR). Chcą obejrzeć miasto, złożyć kwiaty pod pomnikiem Braterstwa Broni.

Zaczyna kropić deszcz. Jana Szwiec otwiera parasolkę. Dwadzieścia pięć lat temu w Legnicy służył jej ojciec, a Jana spędziła w garnizonie dzieciństwo. Poszła do domu, w którym mieszkali. Pamiętała wielkie pokoje, balkon, jabłoń w ogrodzie. Zastała wszystko prócz jabłoni.

– Żyliśmy tu w przyjaźni. I komu to przeszkadzało? – pyta nas Michaił Pyriesin.

Z wycieczką pojechał z powodu natarczywych wspomnień. Od 1986 roku służył we Flocie Bałtyckiej w Świnoujściu. Od niedawna nie może przestać myśleć o tym, że był to najlepszy okres jego życia.

Walerij rozgląda się na boki. Mówi, że jest ostrożny. Uważa, żeby nie obnosić się z dumą, bo zaraz znajdzie się jakiś Polak, który każe mu się wstydzić.

Gdy kilka lat temu z okazji dwudziestej rocznicy wycofania wojsk radzieckich zjechało do Legnicy aż kilkuset Rosjan, Białorusinów i Ukraińców, w mieście zorganizowano protesty i demonstracje. Kibice legnickiej Miedzi na meczu wywiesili transparent: „Nie Mała Moskwa, lecz Wielka Legnica”. Marek Zawadka, dyrektor ośrodka kultury z Lubina, zorganizował konkurencyjne obchody: „Sowieckie piekło 39–56”. Próby

zerwania ze stereotypem Rosjanina okupanta, tłumaczył, to jak zrywanie ze stereotypem esesmana.

Walerij mówi, że nawet pomarańczowo-czarne wstążki gieorgijewskie musieli schować przed granicą.

– Ze strachu. A przecież was wyzwoliliśmy! Przecież za was umieraliśmy!

Idziemy przez miasto ospałym krokiem. Przypomina nam się, że kiedyś w Legnicy mawiano, że miasto z lotu ptaka przypomina talerz pierogów. Pół ruskich, pół leniwych.

Razem z wycieczką śladami ojców próbujemy rozpoznawać budynki. Nie jest to łatwe. Dom Oficera – radzieccy wojskowi spędzali tu czas wolny przy alkoholu i muzyce – to dziś kuria biskupia i wyższe seminarium duchowne. W budynku ZUS został wydany rozkaz rozpoczęcia inwazji na Czechosłowację w 1968 roku – to dawny gmach sztabu (lądowisko dla helikopterów to parking dla klientów ZUS). Obok skweru Orląt Lwowskich (dawny plac Przyjaźni Polsko-Radzieckiej) stoi budynek sądu okręgowego – dawna komendantura wojskowa.

Walerij opowiada o ojcu, który walczył w Polsce. Miał zginąć pod Katowicami. Taką wiadomość dostała jego matka w Nowoaleksiejewce.

– Ale chyba przeżył? – pytamy, bo Gromak jest jeszcze młody.

– Przeżył, trafił do szpitala. Do ojczyzny przywiózł sporo medali. Najbardziej dumny był z tego „Za wyzwolenie Warszawy”.

– Tam nie było za bardzo czego wyzwalać, Walerij – rzucamy.

– Widziałem na radzieckiej kronice tłumy warszawiaków. Wychudzonych i ubranych w łachmany. Cieszą się i wśród ruin witają Armię Czerwoną. A polskie gazety z tego czasu piszą: „Dziękujemy wam, Rosjanie, przed nami pokój i nowe życie. Tak długo na to czekaliśmy!”.

Drży z emocji, jakby schodzenie z głównej, ustalonej w rozkładzie trasy na boczne tory miało wymazać cierpienie i poświęcenie jego ojca. Albo sprawić, że Walerij rozsypie się w proch. Zniknie. Historia jest w nim mocno obecna. Chyba mocniej niż wszystko inne. Jakby wojna skończyła się wczoraj.

Rozmowa się nie klei, idziemy więc w milczeniu.

Zatrzymujemy się na placu. Pomnik polsko-radzieckiego braterstwa broni spływa wodą. Słychać pojedyncze chrząkania z tyłu, uroczyste przemówienia z przodu.

Jeszcze do początku lat dziewięćdziesiątych radzieckich pomników było w Legnicy kilka. Naprzeciw Domu Oficera stał Rokossowski. Pierwszy Rokossowski – sama głowa marszałka na prostokątnym postumencie – przez mieszkańców nazywany był „głowonogiem". Marszałek Nikołaj Ogarkow uznał jednak, że pomnik wypacza ludzką naturę Rokossowskiego i kazał zastąpić go inną, klasyczną figurą od pasa w górę (mieszkańcy Legnicy nazywali z tego powodu drugi pomnik „jajowcem").

Największy i najważniejszy zawsze był pomnik na placu Słowiańskim (wcześniej placu Stalina, wcześniej placu Rokossowskiego, wcześniej placu Fryderyka Wielkiego), przed którym stoimy. Przedstawia dwóch żołnierzy, radzieckiego i polskiego, którzy razem trzymają na rękach małą dziewczynkę.

Wyrzeźbił ich (z przetopionych pomników Fryderyka II i cesarza Wilhelma I) w 1951 roku Józef Gazy, artysta z Łodzi. Jak tłumaczył:

> Żołnierz radziecki, ściskając dłoń żołnierza polskiego, przekazuje mu niepodległość państwa polskiego. Żołnierz polski składa (żołnierzowi radzieckiemu) wyraz wdzięczności i przyjaźni. Dziecko, które trzyma na swoim ramieniu i które wsparło swoją rączkę o pewne ramię żołnierza radzieckiego, jest symbolem młodego pokolenia, które zostało uratowane od zagłady.

Ale mieszkańcy wiedzieli swoje: że dach w pracowni artysty był za niski i dlatego wojacy wyszli przysadziści. I dlaczego dwóch chłopów niesie małą dziewczynkę? „Dwóch kidnaperów" – nazwali rzeźbę. „Jan i Iwan". Pytali, czy to dziecko na pewno jest polskie. Ma fartuszek z falbankami, w jakim chadzały radzieckie pionierki, czy to oznacza, że dziewczynka została ukształtowana na wzór radziecki i wręczona Polsce? Trzymaj, niech rośnie w zdrowiu, kierunek został wyznaczony. Nazwano ją „Peerelka".

Jan, Iwan i Peerelka patrzyli sobie, jak historia galopuje przez Legnicę.

W 1956 roku mogli zobaczyć demonstracje na placu (na szyi czerwonoarmisty tłum zawiesił wtedy sznur).

W 1976 roku do konstytucji PRL została wpisana wieczysta przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, a nieznany sprawca próbował przepiłować dłonie żołnierzy złączone uściskiem.

W latach osiemdziesiątych pod stopami żołnierzy coraz częściej pojawiały się dwa słowa namalowane farbą: „Ruscy won".

Wiatr zmian dmuchnął w twarz rzeźbiarza Gazego. W 1987 roku był autorem jednego z pierwszych pomników Jana Pawła II (w Zamościu), pięć lat później, gdy z Polski wychodziły ostatnie oddziały rosyjskiej armii, rzeźbiarz wysłał list do prezydenta Legnicy. Pisał, że chciałby usunięcia rzeźby, której jest autorem, oraz zakopania jej dwa metry pod ziemią z powodu „podłego i oszukańczego stosunku ówczesnych władz radzieckich do Narodu polskiego".

Pomnika nie zakopano, jednakże rozmowy o tym, co zrobić z dwoma mężczyznami i dzieckiem, przez następnych trzydzieści lat trzęsły radą miejską w Legnicy i przypominały trochę naszą rozmowę z Walerijem.

Pewien radny zakrył pomnik spadochronem. Inny złożył interpelację: czy nie można odpiłować samego czerwonoarmisty? Statuę proponowano przetopić na inny pomnik (Henryka Pobożnego, który zginął pod Legnicą, Władysława Jagiełły, Jana Pawła II). Kłócono się, czy rzeźba symbolizuje bardziej ratunek przed nazizmem, czy radziecki kolonializm. Do urzędu miasta zgłaszali się kombatanci Ludowego Wojska Polskiego, oburzeni takimi pomysłami. Przekonywali, że to oni zostali uwiecznieni na pomniku jako dziewczynka.

W 1996 roku rzeźba nagle zniknęła. Okazało się, że na chwilę i z powodu remontu. Wróciła bez tablicy, na której była wzmianka o braterstwie. Od tego momentu nie wiadomo już właściwie, komu pomnik jest poświęcony – ot, dwóch facetów w mundurach niesie dziecko.

Potem w urzędzie zostały uchwalone przenosiny pomnika na cmentarz, ale najpierw zabrakło na to pieniędzy, a potem do władzy doszła lewica, która unieważniła przeprowadzkę.

Na placu pod pomnikiem jeździli deskorolkarze.

W 2005 roku Teatr imienia Heleny Modrzejewskiej w Legnicy wystawił spektakl, w którym żołnierze i dziewczynka schodzą z pomnika.

A siedem lat później artysta Grzegorz Kalman wykorzystał otwory wywiercone tymczasowo w pomniku przy okazji kręcenia filmu *Mała Moskwa* i dodał do nich inne wgłębienia, które ułożyły się w napis alfabetem Braille'a: „Wszystko jest złudzeniem, ale nawet ono jest odbiciem tego, co jest. Prawda jest w oczach patrzącego".

– Pomożecie mi zanieść kwiaty? – pyta Walerij, kiedy skończyły się przemówienia. Po twarzy spływają mu małe kropelki deszczu, które ociera rękawem kurtki.

– My? Dla ciebie to przecież ważniejsze.

– Noga mnie boli od rana i zmęczyłem się – nalega.

– Pomóżcie, pomóżcie! – zachęca Michaił Pyriesin.

– No, dobrze – mówimy i niesiemy wiązankę. Wycieczka wsiada do autobusu i wyrusza dalej po śladach ojców.

Kilka miesięcy później w publikacji o „drogach pamięci" znajdujemy zdjęcie, jak kładziemy wiązankę pod pomnikiem. Oraz wzmiankę o tym, że polscy reporterzy składają ją w podzięce za wyzwolenie.

Skaza (1945)

Głos utyka w przełyku, a może w sercu, w każdym razie nie można wypowiedzieć tego słowa. Szukamy innego, ale inne chyba nie istnieje. Mówimy więc tylko „on”, „tamten”, a reszta pozostaje nienazwana.

Nienazwane przekazała Małgorzacie Okrafce-Nędzy w 2003 roku babcia Pelagia. Sześć lat wcześniej wykryto u niej raka jajnika. Przeszła operację, chemię, ale choroba powróciła. Pojawiły się przerzuty.

– Gdy umierała, była radosna. W szpitalu, po operacji, kręciła wałki na włosach i malowała usta, bo doktorzy tacy przystojni. A niedługo przed śmiercią umówiła się z sąsiadką, że jeśli zasłony w kuchni będzie miała zasłonięte do południa, to będzie znak, że już umarła – opowiada Małgorzata.

Jeszcze póki Pelagia odsłaniała zasłonki, postanowiła dać wnuczce coś, czego nie chciała zabrać do grobu. Poczęstowała Małgorzatę ciastkami i opowiedziała o gwałcie.

Pelagia

Latem 1944 roku Pelagia pieli grządki w ogródku pod Toruniem. Obok płotu przechodzi niewysoki mężczyzna w kaszkiecie, w spodniach z szerokimi nogawkami. Kłania się nisko, chwyta za czapkę i szoruje nią przy ziemi. To Janek, znajomi wołają na niego „Groszek”. Jest od Pelagii siedem lat starszy. Handluje mięsem, ma do tego smykałkę, i nawet z Niemcami, którzy stacjonują w Toruniu, potrafi się dogadać.

Pelagia ma czworo rodzeństwa, matka pomaga we wsi przy porodach, a ojciec jest urzędnikiem kolejowym.

Na wzgórzu rośnie dąb z rozłożystymi konarami. Janek, nazywany „Groszkiem”, nabiera śmiałości, wchodzi do domu Pelagii i prosi jej ojca

o pozwolenie na krótki spacer z córką w tamtym kierunku. Ojciec wysłuchuje propozycji Janka i zgadza się, ale w zamian za zniżkę.

Nadchodzi zima. Ludzie czekają wyzwolenia. Niektórzy mają dreszcze z zimna, a niektórzy z obaw, bo pod Toruń dotarły już różne pogłoski o Armii Czerwonej.

Od lata Janek i Pelagia spotykają się przynajmniej raz w tygodniu. Ona zdążyła się zakochać. Ale tym razem spotkanie przerywają radzieccy żołnierze. Zatrzymują Janka za współpracę z Niemcami, a przy okazji aresztują Pelagię. Ją jednak zaraz wypuszczą.

Kwiecień 1945 roku, na zewnątrz zielenieją drzewa, ale Pelagia ogląda je przez okno. Nie wychodzi z domu, czeka, lecz wieści o Janku nie ma, jakby się roztopił razem ze śniegiem w tę ostatnią wojenną zimę.

Kroi chleb na kolację, rozkłada talerze. Drzwi otwierają się z hukiem. To trzech radzieckich żołnierzy. Coś krzyczą. Chwytają ją za ręce i wyszarpują rodzicom. Potem prowadzą drogą do budynku obok szkoły. Niedawno wprowadzili się tu oficerowie Armii Czerwonej. W izbie śmierdzi naftą i wódką, okiennice są zamknięte, lampa pali się małym płomieniem. W pokoju panuje półmrok, widać tylko kontury łóżka, stołu, sylwetkę człowieka, czerwony żar dopalającego się papierosa. „Rozbierze się” – mówi do Pelagii oficer. Potem gasi papierosa i każe jej położyć się na łóżku.

Po jakimś czasie – Pelagii trudno dokładnie powiedzieć po jakim, bo przez zamknięte okiennice nie widać upływu dnia i nocy, ale powiedzą jej potem, że były to trzy dni – każe jej się ubrać. Obolała biegnie do domu. Otwiera drzwi, ojciec – wygląda jak cień – przeprasza cicho, nie mógł nic zrobić. Matka siedzi na krześle i patrzy w ścianę.

Armie gwałcą, tak dzieje się w czasie wszystkich wojen. Na ziemi, którą zdobywa żołnierz, gwałcona jest kobieta, która tam mieszka. Podczas II wojny światowej gwałcone są kobiety na froncie wschodnim i na froncie zachodnim, w Niemczech i we Włoszech. Gwałcą amerykańscy marines

i żołnierze z 2 Armii Wojska Polskiego. Armie gwałcą, ale w gwałtach Armii Czerwonej z końca II wojny jest coś, co przekracza skalę.

Dwa miliony kobiet zostało zgwałconych w Niemczech. W Polsce żołnierze Armii Czerwonej najwięcej gwałcą na Mazurach, Śląsku i Pomorzu, tam gdzie jeszcze niedawno były Niemcy, ale dzieje się to także w centralnej Polsce, podczas wyzwalania. Pisze o tym historyk Marcin Zaremba w *Wielkiej trwodze*: kobiety porywane są z ulicy i z domów. Gwałcone są przedstawicielki „klasy chłoporobotniczej", napadane są kobiety wracające do domów z niemieckich fabryk i obozów koncentracyjnych. Gwałty są okrutne, bestialskie, wielokrotne. Bywa, że w jednej rodzinie ofiarami są trzy pokolenia kobiet. Bywa, że po wszystkim kobiecie wydłubywane są oczy, by nie mogła rozpoznać sprawcy. Bywa, że kończą się śmiercią.

Marcin Zaremba pisze o niemal pięćdziesięciu tysiącach Polek zgwałconych przez żołnierzy Armii Czerwonej. Na przykład w marcu 1945 roku do przędzalni lnu w okolicy Raciborza wbiega kilkunastu pijanych żołnierzy i siłą zabiera trzydzieści pracownic. „Zamknęli nas i pod groźbą zastrzelenia dopuścili się na nas gwałtu. Ja zgwałcona zostałam przez czterech" – zeznawała jedna z pracownic przędzalni.

Czerwiec 1945. Mieszkanka Katowic pisze: „Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji i zapadała noc, żołnierze rosyjscy zaczęli uganiać się za kobietami. Zostałam pochwycona przez trzech, którzy wszyscy dopuścili się na mnie gwałtu".

Lipiec 1945. W Kielcach zanotowano gwałty na trzydziestu kobietach i dziewczynkach. Pięć z nich, w wieku od dziewięciu do dwudziestu ośmiu lat, wylądowało w szpitalu (jedna z przegryzioną krtanią).

Styczeń 1946. Wniosek nauczycielki o urlop i zapomogę:

> W czasie powrotu mego z ferii świątecznych […] do wagonu, w którym jechałam, i do innych wagonów wkroczyły masy bolszewików. Zaczęli torturować i bić mężczyzn, rabować walizki i gwałcić kobiety […]. Wśród zamieszania i tumultu, wprawdzie po nasyceniu się bestii, udało mi się wyrwać i wyskoczyć oknem z pociągu. Bolszewicy w tej chwili zatrzymali pociąg i urządzili na nas obławę. Tak pokaleczona, ranna, zbita,

> po odjeździe tego pociągu dowlokłam się do najbliższej stacji i dopiero następnego dnia przyjechałam do Szprotawy. […] jestem chora i niezdolna na razie do pracy ze względu na to, że leczenie moje potrwa czas dłuższy, gdyż ogólne obrażenia, a zwłaszcza zaraźliwa choroba nie pozwala mi przebywać wśród otoczenia.

Poznań: radzieccy żołnierze proszą kobiety o opatrzenie rannych, potem je gwałcą.

Malbork: „Gwałcenie kobiet, bez względu na wiek i stan zdrowia na porządku dziennym” (sprawozdanie władz powiatu).

Gniezno: zastępca komendanta milicji wzywa kobiety, by nie opuszczały domów po godzinie dwudziestej drugiej (która wyjdzie, ma się poddać badaniu lekarskiemu).

Gdynia: chirurg ze szpitala raportuje, że codziennie zszywa zgwałcone dziewczynki.

Olkusz: na milicji zgłoszono dwanaście gwałtów w ciągu dwóch dni.

Pierwsza fala gwałtów przechodzi przez Polskę w styczniu wraz z wyzwoleniem. Druga wiosną, po zwycięstwie.

Jak to pojąć? Żołnierz Armii Czerwonej ma iść do przodu albo umrzeć. Codziennie jest poniżany i upokarzany. Nie wolno mu wspominać o strachu. Jeśli żołnierz ma żonę, dziewczynę, kochankę – nie widzi jej od lat. Nie ma też szans na romans, bo miejscowe kobiety nim pogardzają. A może myśli, że taka jest cena za życie i wyzwolenie, taka jest zapłata? Uważa, że ma do tego prawo w ramach zemsty i wyrównania krzywd za siostrę i matkę? Może upewniają go w tym radzieckie plakaty propagandowe, które zagrzewają do walki?

Plakaty jak ten: pomarszczona twarz w czapce z trupią czaszką i swastyką ślini się do młodej dziewczyny skrępowanej sznurem. Podpis: „Zabij faszystę-zboczeńca!”.

Albo ten: kobiety prowadzone kolumną do lasu przez niemieckich żołnierzy. W dolnym rogu dwoje małych dzieci. Wołają: „Obroń nas, towarzyszu czerwonoarmisto!”.

Lub ten: czarny cień w hełmie ze swastyką wielką łapą chwyta przerażoną kobietę za pierś. Napis: „Uchroń ukochaną przed zbrukaniem.

Zabij Niemca!”.

A może to lata wojny i oswajania śmierci? We wrześniu 1939 nie gwałci ani Armia Czerwona, ani Wehrmacht. Pod koniec działań wojennych w Armii Czerwonej walczą już więźniowie z gułagów, także zaburzeni, skazani za przestępstwa seksualne. Ale przecież nie aż tylu, by tłumaczyło to skalę przestępstw seksualnych. A może chodzi o poczucie bezkarności? Dowództwo po cichu zezwalało na gwałty. „Cóż jest tak odrażającego w tym, że po takich okropnościach [boju] zabawi się z kobietą? Trzeba zrozumieć żołnierza” – miał powiedzieć Stalin.

Odpowiedzi na pytanie o powody skali przemocy Armii Czerwonej wobec kobiet jest wiele, a jednak żadna z nich nie jest wystarczająca.

Pięćdziesiąt tysięcy kobiet w Polsce to liczba szacunkowa. Nie da się tego wyliczyć dokładnie, w milicyjnych raportach nie ma wszystkich przypadków. Przeważająca część kobiet nigdy gwałtu nie zgłosi, nikomu nie powie. O gwałcie się nie rozpowiada, na temat gwałtu się nie żali, z powodu gwałtu nie płacze się publicznie. O gwałcie się milczy. Nawet to, co zostało zapisane przez szeregowego milicjanta, wykreślane jest czasem przez jego przełożonego. Więcej można się dowiedzieć z innych statystyk. Przez Bydgoszcz przechodzi fala kobiecych samobójstw („Ziemia Pomorska” informuje, że powodem mogą być choroby weneryczne). Episkopat pisze list pasterski o „szerzeniu się zbrodni spędzania płodu”.

Historia tych kobiet wcale nie kończy się wtedy, ale trwa. Zostawia ślady.

Aleksandra

Latem 1945 roku Pelagia się boi.

Jak powiedzieć rodzicom, że minęły dwa miesiące, a ona nie dostała miesiączki? Gdy zbiera się na odwagę, pytają: „Z kim?”, chociaż muszą przecież wiedzieć. Potem ojciec mówi, że w Toruniu kacapskie usuwają, jak się tylko zezna, że z gwałtu. Matka przyprowadza kobietę z sąsiedniej miejscowości. Też została zgwałcona i niedawno usunęła.

„Jak mogłabym się spokojnie przyglądać, kiedy będzie się bawiło z innymi moimi dziećmi?” – pyta Pelagię, a może i siebie.

Pelagia ogląda swój brzuch, nie może się przyzwyczaić, że rośnie. Jest uparta.

Jak wiele kobiet zaszło w ciążę po radzieckich gwałtach? Nie wiadomo. Jak wiele urodzi dzieci? Nie wiadomo. Rodzą się, to pewne. Ile przeżyje? Krakowski Zakład Medycyny Sądowej w 1946 roku alarmuje: „coraz więcej porzucanych noworodków”. Ile dzieci będzie wiedzieć o swoim pochodzeniu? W latach pięćdziesiątych na podwórkach, w szkołach słychać nowe obelgi: „podciep”, „kacapskie dziecko”. Ile się nie dowie?

Córka Pelagii rodzi się 6 grudnia. Na imię dostaje Aleksandra, mówią do niej Ala. Co myśli Pelagia, gdy pierwszy raz na nią patrzy? Małe ręce, małe stopy, pępek. Połowa tamtego na zawsze zamknięta w genach. Jej istnienie to ślad pamięci o krzywdzie. Co myśli, kiedy ją karmi i ubiera? Czy musi siłować się ze swoją złością? Ręce i stopy robią się większe i większe i kiedyś (w którym momencie?) Pelagia przestaje myśleć, skąd się wzięły. Uczy się zapominać.

Matka Pelagii traktuje Alę oschle. Ojciec nie bierze dziecka na ręce. Tylko młodsze rodzeństwo Pelagii, Józek i Gieńka, się z nim bawią. Gdy idą razem nad jezioro, żeby karmić ryby chlebem, ojciec woła: „Nie róbta przed wsią wstydu!”.

Ala kończy dwa lata, Pelagia dostaje pracę w szwalni. Niesie filiżanki z kawą do gabinetu dyrektora, którego odwiedził właśnie gość. „Stanisław Wrona” – przedstawia się gość i całuje Pelagię po rękach. Potem czeka na nią przed wejściem, odprowadza na dworzec. Innym razem przynosi kwiaty. Jest trochę uparty, ale szarmancki. Pracuje w milicji. Spotykają się częściej i jeżdżą na pikniki.

Już kilka razy Pelagia zbierała się, by powiedzieć mu o dziecku, ale nie ma odwagi. W końcu mówi i martwi się, że to już koniec.

„Muszę to sobie poukładać” – odpowiada jej Stanisław. Ale potem wraca z nowiną. Dostał przeniesienie na Mazury, czy pojadą tam z nim? Pelagia rozpływa się ze szczęścia.

Do Mikołajek jadą pociągiem. W służbowej kawalerce przez dwa miesiące Pelagia śpi z Alą na materacu, bo dziecko boi się nowego miejsca. A Stanisław narzeka, że byłoby inaczej, gdyby mieszkali tu tylko we dwoje.

Przeprowadzają się do mieszkania w kamieniczce za mostem. Pelagia zatrudnia się w zakładzie krawieckim.

Pewnego wieczoru jedzą kolację. On wrócił z wyjazdu służbowego. Nad talerzem Pelagia prosi go o trochę pieniędzy. Pensja krawiecka, za którą prowadzi dom, nie starcza już na jedzenie dla trójki. Stanisław odkłada łyżkę, wstaje od stołu i uderza ją w twarz. Przekroczona granica przestaje być granicą. Od teraz będzie bił ją częściej. Pelagia zacznie się go bać, ale gdy będzie wyjeżdżał – tęsknić za nim.

Za odłożone pieniądze Pelagia kupuje używanego singera. Sąsiadowi szyje na nim spodnie i marynarkę, w zapłacie dostaje zielony kajak. Ali szyje granatową spódnicę i białą bluzkę, bo dziewczynka idzie do pierwszej klasy. Spod Torunia do Szczytna przenoszą się rodzice Pelagii. To całkiem niedaleko, często ich odwiedzają. Dziewczynka recytuje im wierszyki, a Pelagia tłumaczy swoje siniaki upadkiem ze schodów.

– Dwa albo trzy razy w szkole podstawowej mama wysłała mnie do dziadków na cały rok. Nie czułam się tam mile widziana, raczej tolerowana. Nigdy nie byłam dla nich wnuczką. Ale z kolei w Mikołajkach przeszkadzałam ojczymowi, i chyba mama chciała mu dać trochę spokoju – mówi dorosła Aleksandra. – Miałam do niej o to pretensje, bo tęskniłam. Chciałam z nią być. Nawet jeśli w Mikołajkach też było ciężko. Stach miał inne kobiety, znikał na tygodnie, nie dokładał do domu. Mama zarabiała, a ja sprzątałam, gotowałam, robiłam zakupy, musiałam być dorosła. To, że nie mam prawdziwego ojca, nie było dla mnie dziwne. W klasie miałam siedmioro albo ośmioro dzieci bez ojców, bo wszyscy zginęli na wojnie. I za każdym razem, gdy pytałam mamę: „Gdzie jest tata?”, odpowiadała właśnie: „Wiesz, on zginął”. I tyle. Zawsze miała tę samą odpowiedź. Na przerwie w szkole usłyszałam kiedyś: „Jesteś bękart”. Ale gdy spytałam, dlaczego tak o mnie mówią, mama powiedziała, że mówi się tak na każde

dziecko bez ojca. Tak nam płynęło życie. Kiedy Stachu ją bił, uciekałyśmy. Gdy było z nią źle, gotowałam zupę. Skończyłam podstawówkę i do liceum dla wychowawczyń przedszkolnych wyjechałam już do innego miasta.

– Po liceum mama zaczęła pracę w przedszkolu niedaleko Rybnika. Była bardzo młoda, gdy wyszła za mąż – opowiada Małgorzata, córka Aleksandry i wnuczka Pelagii. – Mój ojciec był przystojny, a ona chciała szybko założyć rodzinę, bo jej tego brakowało. Ale ojciec do zakładania rodziny się nie nadawał. Po alkoholu dostawał białej gorączki. Też sporo przeżył, choć wcale go to nie tłumaczy. Urodził się w 1943 roku w Berlinie. Jego matka Eryka uciekła tam przed frontem do ciotki. Wcześniej mieszkali na Mazurach we wsi Jurki. Mówili tylko po niemiecku, a dziadek Fryc służył w Wehrmachcie. Przyjechał do Berlina, zobaczył syna i wrócił na front. A niedługo później przyszło pismo z hitlerowskim pozdrowieniem, pieczątką i informacją: zaginiony. Po wojnie babcia Eryka i mój ojciec trafili do obozu, chyba gdzieś w Danii, przeszli przez choroby i głód. Nie wrócili na Mazury, ale i w Niemczech też nie zostali. Osiedlili się w Polsce, niedaleko granicy polsko-niemieckiej. Obrywało się w dzieciństwie ojcu za „bycie szkopem”, dostawał po głowie i w szkole, i na podwórku. A potem się spotkali, moja mama, córka radzieckiego sołdata, i ojciec, syn żołnierza Wehrmachtu.

Pelagia opuszcza Mikołajki po dziesięciu latach. Któregoś dnia na rynku, przy fontannie Króla Sielaw, spotkała znajomego z dzieciństwa, Tadka, kolejarza z Bielska, który w Mikołajkach był na wczasach. Zostawiła Stanisława, wyjechała z Tadeuszem, wprowadziła się do domu kolejowego i poszła do ołtarza w białej sukience.

Małgorzata:

– Mieszkałyśmy blisko, ale drogi babci i mamy się rozeszły. Babcia Pela denerwowała się przy moim ojcu i nie lubiła przebywać w jego obecności. Ja myślę, że czuła się bezsilna, patrząc, jaki jest i jak zawodzi. Kolejnego takiego mężczyzny w życiu nie mogła udźwignąć. Gdy Tadeusz umarł na

płuca, pracowała jeszcze jako dróżniczka, trochę szyła. I jeszcze raz wyszła za mąż. Miała pięćdziesiąt dwa lata.

Na emeryturze uprawiała warzywa i bułgarskie brzoskwinie. W lipcu 2003 roku w południe zasłonki w jej kuchni są nadal zasłonięte. Umiera z powodu krwotoku wewnętrznego.

– Nigdy nie powiedziała mojej mamie, kto jest jej ojcem. Rozumiem to. Jak można było powiedzieć prawdę własnemu dziecku? Ale powiedziała mnie, więc ja musiałam porozmawiać z mamą – mówi Małgorzata.

Aleksandra:

– Po pogrzebie Małgosia powiedziała mi: „Chciałabym ci coś przekazać".

Małgorzata:

– To było trudne, powiedzieć: „Mamo, jesteś z gwałtu". Ale jak żelazo jest już wykute, to nawet gdy uderzy się w nie z całej siły młotem, niewiele się odkształci. A mama była jak żelazo, doświadczona cierpieniem. Nie rozkleiła się.

Aleksandra:

– Nie mam żalu, że mi nie powiedziała. Byłam daleko, od dwudziestu dziewięciu lat mieszkam w Niemczech. A Małgosia była blisko. Poczułam… Ulżyło mi. To jakiś fakt, konkret. Wszystko ma ręce i nogi. Zrozumiałam mamę i jej życie.

Małgorzata:

– Mama mało mówi, bo jest przećwiczona w hamowaniu uczuć. Ale czasem chyba o tym myśli. „Ciekawe, czy ten Rusek jeszcze żyje?", zapytała mnie kiedyś. „Powinien płacić alimenty!" Oglądałyśmy akurat w telewizji program o reparacjach wojennych. Ten bezimienny Rosjanin, bo nie potrafię wymówić słowa „dziadek" (a „ojciec" też przychodzi mi z trudem), wywołuje u mnie mniejszą złość niż Stanisław, który znęcał się nad mamą i babcią. Dlaczego? Może chodzi o czas, może o upływ czasu?

Aleksandra:

– Myślę czasem, że powinniśmy się pozbierać, my, dzieci urodzone z wojny (chociaż jak niby można to zrobić?), i podzielić się swoimi

doświadczeniami. Bo nikt inny i tak nas nie zrozumie.

Małgorzata

– Podłączam EEG, czyli elektroencefalograf, i badam zmiany potencjału elektrycznego ucznia. Potem dostaję informację zwrotną – opowiada Małgorzata. – Zajmuję się biofeedbackiem. Pomagam dzieciom i młodzieży w problemach z emocjami i koncentracją. Uczę ich, jak dobrze oddychać i jak się odprężać. Wyszłam za mąż, mam dwóch synów i wychowuję ich w szacunku do kobiet. Ale czasem myślę, czy to w mężczyznach jest od początku, czy to przychodzi, gdy wojna zdziera warstwę ochronną. Nie wiem. W Krakowie usiadłam kiedyś przy stoliku w kawiarni, właśnie pierwszy raz sama zostałam matką. Naprzeciwko zbierała się demonstracja, biły bębny, grała muzyka. To była demonstracja za prawem do aborcji. Bardzo mnie zdenerwowała.

Małgorzata zaczęła działać w ruchu antyaborcyjnym. Spisała i wydała w katolickim wydawnictwie opowieść swojej babci. Tytuł: *Bóg liczy łzy kobiet*. Uważa, że prawo nie powinno dopuszczać aborcji – nigdy.

– Zawsze można oddać dziecko innej rodzinie. Można się przełamać. Babcia też miała wątpliwości, ale myśli o aborcji do siebie nie dopuściła. Dobrze na tym wyszła – przekonuje. – Moja mama była dla babci lekarstwem, była środkiem na cierpienie. Tak uważam. Że mama babcię zaleczyła. Babcia nie miała więcej dzieci, choć nie robiła nic, żeby ich nie mieć. Gdyby nie mama, byłaby samotna.

Chciałoby się jej w tym momencie przerwać i powiedzieć, że dziecko nie powinno być lekarstwem na krzywdy, tylko dzieckiem. Że w alternatywnej historii to wszystko nie musiało się wydarzyć. Może miałaby inne dzieci, może nie miałaby. To byłaby inna historia. Chciałoby się teraz Małgorzacie przerwać i to wszystko powiedzieć, ale jak? Bo to tak, jakby spierać się z jej istnieniem. W końcu w tamtej innej historii Małgorzaty, która właśnie pije herbatę, by nie było.

– Aborcja tak bardzo mnie dotyka, bo jest częścią mnie. Więc dla mnie nie może podlegać dyskusji. Mijają pokolenia, a kobiety z naszej rodziny wciąż mają zahamowania. Lęki, bolesne miejsca. Mama w ogóle nie ufa mężczyznom. Ja jestem wymagająca, chciałabym mieć nad nimi kontrolę, żeby czuć się bezpiecznie.

Małgorzata woła w stronę drugiego pokoju, w którym jest mąż, ale on milczy.

– Klątwa ciąży na mężczyznach w naszej rodzinie. Zawsze dawali plamę. A kobiety znajdowały sobie takich, którzy będą dawać plamę. Moja babcia, moja mama. Mnie zawiódł ojciec. A jedyny mężczyzna w tej gałęzi rodziny, na którym można było polegać, mój starszy brat, miał dwadzieścia pięć lat, gdy pierwszy raz dostał zawału. Zmarł kilka lat później. Nasza rodzina jest poszarpana. W drzewie genealogicznym mamy spróchniałe albo wyłamane gałęzie. Nie mamy rodzinnych wspomnień, tradycji i miejsc. Jest jakiś brak, dziura. Ale to też część mnie. Trzeba żyć razem z nią. A jednak uwiera. Myślę sobie czasem, że mam coś z tamtego Rosjanina, który służył w Armii Czerwonej. Mam też coś z dziadka Fryca, który walczył w Wehrmachcie. Czasem myślę, że mama poczęła się ze zła. I w niej, i we mnie istnieje skaza po dziadku. Ale moja mama żyje, bo i on żył. A i ja żyję, dlatego że on żył. Bez niego nie byłoby nas.

Brzeźnica-Kolonia. Atom i mrówka

Wejście w ziemi znajduje się wśród paproci, tuż za wyboistą drogą z płyt jumbo. Zaglądamy w jamę i wypatrujemy sarnich oczu, ale widać tylko ciemność, rozlaną jak atrament.

– Tam jest drabina – mówi Igor, wskazując głową.

Schodzimy po rozchwianych przęsłach, spada temperatura i na ramionach pojawia się gęsia skórka. W ciemności mocniej czuć zapach. Mchu, wilgoci, zatęchłej piwnicy.

Oświetlamy halę latarką. Ściany osmalone są dymem. Znowu wytężamy słuch, czy nie słychać sarniego szczekania, a potem idziemy dalej w labirynt ciemnych korytarzy.

– Kici, kici… – woła w tę ciemność Radek, miłośnik militariów. Ma na sobie spodnie moro, bluzę moro i czapkę moro. Jakby się przebrał za liść na wietrze, bo na dodatek chwieje się na nogach. Chłopcy zdążyli wcześniej chlapnąć.

– Kici, kici! – krzyczy.

Porośnięte lasem bunkry tworzą pułapki. Wpadają w nie sarny, utykają w nich dziki. Igor opowiada, że rok temu wyciągał już jedną sarnę z radzieckiego schronu. Wyrywała się i kopała, trzeba ją było związać sznurem. A dziś rano w tym bunkrze ludzie słyszeli kolejną, podobno wpadła i biegała po podziemnych korytarzach, które ciągną się setkami metrów. Są w nich zapadliny i pułapki.

– Kici, kici!

Cisza. Igor poprawia latarkę na czole. W Kłominie, dawnym radzieckim garnizonie, który znajduje się kilka kilometrów od bazy w Brzeźnicy-Kolonii, Igor Alejnikow służył od 1987 roku. Po wojsku pierwszy raz przyjechał tu w 2004 roku. Teraz przyjeżdża kilka razy w roku.

Z okolicznymi miłośnikami militariów z Bornego Sulinowa i Szczecinka jeździ na wyprawy: dżip, bunkry i procenty.

Nad nami dwa metry ziemi. Robi się jakoś duszno. Betonowa piwnica izoluje od świata głos, ciepło i czas. Bo wydaje się, jakby w tych murach stał w miejscu.

– Odosobnienie! Nie wiecie nawet, co robi z człowiekiem – powie Igor. – Żołnierz po zamknięciu w murach garnizonu był jak ta sarna zamknięta w bunkrze i funkcjonował inaczej. Mogłeś się przyzwyczaić i żyć, ale niektórzy nie wytrzymywali. Stąd fala, dezercje, samobójstwa. Ja po dwóch latach myślałem już tylko o tym, by wrócić do domu, poznać dziewczynę, zrobić na niej wrażenie. Wszyscy o tym gadali, ale nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać. Byliśmy niedoświadczeni jak szczypiorki. Niektórym odwalało. Mówili, że trzeba się przygotować, żeby nie dać plamy. Że bez tego nie pociągniesz. Mieli całe idiotyczne rytuały.

– Jakie?

– No… – przeciąga – przed powrotem do domu przyszywali sobie do przyrodzenia końskie włosy z grzywy albo ogona. „Jeżeli ten koń choruje, to weźcie go zastrzelcie!”, powiedział dowódca pułku, kiedy zobaczył z samochodu naszego jedynego garnizonowego konia, siwka, który się pasł na trawie. Ogon i grzywę siwek miał całe wytrzebione. Kierowca powiedział mu, o co chodzi, i zaraz była zbiórka, wszyscy spodnie w dół. Kto miał koński ogon, leciał do sanitariuszy na odpruwanie. No i podobnie było z tymi kulkami.

– Jakimi kulkami?

– Chłopaki wszywali sobie tam – Igor chrząka – pod skórę szklane kulki. Robili je z potłuczonych butelek. Szkło trzeba było najpierw wyszlifować, potem dwa miesiące jeszcze polerować w ustach. Wszywał to „chirurg”. W mojej jednostce był to mój kumpel, a… – Igor milknie. Jakby coś spadło. Wytężamy słuch, ale znów tylko cisza.

Idziemy dalej.

– Były tutaj. – Igor zamiata ręką powietrze przed sobą. – Podczas całej mojej służby przyjechałem do bazy w Brzeźnicy tylko raz. Nie byłem

w środku, bo żeby wejść do środka, trzeba było mieć więcej gwiazdek. Podjechałem tylko do wartowni, z dowódcą. Wysiadł, zamienił trzy słowa z oficerem i wróciliśmy. Znałem Wowkę, który tu służył, był kierowcą. Ale nawet on nie wiedział, co tu jest. „Igor, jak przyłożysz ucho do ziemi, to słychać szum", opowiadał. Śmiałem się. Też nie wiedziałem, że trzymano tu atomówki – mówi. – Wtedy nie wiedziałem nic – dodaje – oprócz tego, że bronię świata, pokoju i ojczyzny. Moja obrona pokoju i świata polegała głównie na zapieprzaniu w masce przeciwgazowej i kopaniu dołów. W masce ganiałem co środa. Okopy też kopałem w masce, leżąc na boku, żeby niby nie dostać wyimaginowanej kulki. Pot spływa do ust, a ty kopiesz, kurwa, saperką. Ale grunt tu przynajmniej fajniutki, piaszczysty.

Zaglądamy w korytarze, a chłopaki opowiadają, że atomówki znalazły się w miejscu, w którym jesteśmy, z powodu powolnej komunikacji – gdy w 1965 roku wojska Układu Warszawskiego ćwiczyły atak jądrowy na Europę, głowice jechały z ZSRR koleją i drogami, płynęły morzem i leciały w powietrzu, ale każda z tych dróg zajmowała za dużo czasu. Głowice zawsze docierały za późno. Dwa lata po manewrach ministrowie obrony PRL i ZSRR podpisali w Moskwie umowę: na zachodniej ścianie Polski, przy garnizonach radzieckich, ukryte wśród jezior i lasów, mają być zbudowane trzy magazyny broni jądrowej. Zaprojektowane przez Rosjan bunkry zbudowały polskie wojska inżynieryjne i cywilne przedsiębiorstwa, przekonane, że konstruują tajną instalację dla wojsk łączności.

– Rozdzielmy się, to szybciej nam pójdzie – wpada na pomysł Igor i niknie w korytarzu. Na ścianie sali widać jakieś niewyraźne cyfry.

W 1970 roku Armia Radziecka odebrała trzy identyczne magazyny: Obiekt 3001 (w Podborsku), Obiekt 3002 (w Brzeźnicy-Kolonii; po jego korytarzach właśnie błądzimy) i Obiekt 3003 (w Templewie). Otoczone murem z potrójnych zasieków i przewodów wysokiego napięcia, z góry przykryte pagórkami porośniętymi sosnami i paprociami. Między ogrodzeniami czekały psy uwiązane na długich łańcuchach, miny sygnałowe, strażnice ze strzelcami wyborowymi, stanowiska z bronią maszynową. Teren patrolował specnaz. Na spadochroniarzy, którzy

próbowaliby dokonać desantu na bunkier z nieba, przygotowano rzędy naostrzonych metalowych słupów. Drogi prowadzące do bazy przykrywała siatka maskująca. Z tego wszystkiego tam na górze został tylko beton.

Do magazynu z głowicami wchodziło się wtedy nie dziurą w ziemi, ale przez cztery pary stalowych drzwi, każde grube na pół metra. Odblokowywał je mechanizm hydrauliczny po wpisaniu kodu, zmienianego codziennie. Każdej hali strzegł alarm, a żołnierz w rozdzielni nadzorował dosłownie wszystko: ogrzewanie, chłodzenie i poziom fekaliów w zbiorniku. W każdym momencie mógł zablokować drzwi i uwięzić ludzi w środku.

Skarbiec atomowego Ali Baby.

Zamiast złota i szmaragdów, w temperaturze od plus pięciu do piętnastu stopni, na wózkach z ogumionymi kołami leżały przywiązane linami atomowe głowice.

Gdy tu sobie leżały, polscy dyplomaci domagali się w ONZ denuklearyzacji i likwidacji składów Niemiec Zachodnich.

Świecimy latarkami i próbujemy wyobrazić sobie, jak bunkier mógł wtedy wyglądać, ale to trudne. Sale i korytarze, już bez tynku i farby, pokryte sadzą i wilgocią, wyglądają tak samo. Na myśl przychodzi nam jedno słowo: zapomnienie. Jakbyśmy przedzierali się przez labirynt czyjejś podświadomości. Przez korytarze lęków żołnierza okresu zimnej wojny.

Ściany są czarne od dymu, bo po armii wprowadzili się do magazynów bezdomni, palili ogniska. Dziś czasem nocują tu turyści, eksploratorzy opuszczonych miejsc. Igor natknął się kiedyś na parę z Poznania, która spała w namiocie w hali atomowej.

Kolejny korytarz się kończy, zawalony gruzem, dalej nie przejdziemy. Duszno.

Słychać echo pijackiej czkawki Radka. Nie wiadomo, czy daleko, czy blisko. Coraz duszniej.

W Polsce o atomówkach wiedziało dwunastu apostołów – oficerów wysokiej rangi. Informacje były zamknięte w sejfach sztabowych, w kopertach podpisanych kryptonimem „Wisła”. W teczce Wisły można

znaleźć informację, że w połowie lat osiemdziesiątych w bunkrach było magazynowane: czternaście głowic o mocy 500 kiloton, trzydzieści pięć o mocy 200 kiloton, osiemdziesiąt trzy o mocy 10 kiloton, dwie bomby lotnicze o mocy 200 kiloton, dwadzieścia cztery o mocy 15 kiloton i dziesięć o mocy 0,5 kilotony. Sto sześćdziesiąt osiem ładunków jądrowych, mniej więcej po sześćdziesiąt w każdym magazynie.

W sumie to 1039,6 Hiroszimy („Little Boy” zrzucony na Hiroszimę miał 15 kiloton).

W razie wybuchu wojny Polacy mieli głowice odebrać i przetransportować dalej do radzieckich batalionów na Zachodzie. A gdy zajdzie potrzeba – użyć. Podczas ewentualnej wojny z NATO setki tysięcy żołnierzy, tysiące czołgów miały przejechać przez Polskę. Przygotowana była odezwa do władz Kopenhagi, bo w wypadku wojny Polacy mieli desantować się na plaże w Danii.

Zza zakrętu wychodzi Igor. Snop światła kieruje sobie na twarz.

– Przyjechałem kiedyś połazić samotnie po magazynie. Jak wracałem, natknąłem się w lesie na dziadka na rowerze, był na grzybach. Ciuchy miałem jak zwykle, mundur z demobilu z rosyjską naszywką na ramieniu. Zatrzymał rower. „Rosjanin? Co tu robisz?”, zapytał. „Tu jest bunkier atomowy. Zmieniałem akumulator, żebyśmy nie stracili łączności z satelitą”, jakoś mi się powiedziało. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak szybko pedałował – śmieje się Igor. Zwielokrotniony przez echo śmiech wywołuje ciarki, nie brzmi jak śmiech.

Korytarz zwęża się ku horyzontowi, nie ma drogi.

O głowicach jądrowych w Polsce wiedziało NATO. W planach kontruderzenia zachodnia Polska zmieniała się w atomowy rów. Bała się tego polska generalicja. Projekt Albatros zakładał wybudowanie trzech podziemnych schronów atomowych. Pewnego razu na odprawie szkoleniowej w Sztabie Generalnym generał Tadeusz Tuczapski, główny inspektor Obrony Terytorialnej, zaczął krzyczeć do generała Jaruzelskiego: „Trzeba dać więcej na obronę cywilną, żeby można było wybudować porządny bunkier, zamknąć w bunkrze stu Polaków, jebaków

z prawdziwego zdarzenia, i dwieście kobiet, żeby mogli odbudować naród polski. Dajcie nam na to pieniądze!”.

Atomówki wyjechały z Polski jeszcze przed 1990 rokiem i rozwiązaniem Układu Warszawskiego. NATO wykreśliło wtedy Polskę z listy celów atomowych. Ale teczka Wisły została odtajniona dopiero w 2006 roku.

Obiekt 3002, po którym chodzimy, to dziś podziemna ruina.

Obiekt 3001 w Podborsku jest własnością Muzeum Oręża Polskiego. Wyremontowano go, naprawiono suwnicę, wentylatory i pompy, odmalowano ściany i otwarto zwiedzanie. Ostatnio muzeum stara się o ćwiczebne wersje bomb i głowic.

W Obiekcie 3003 w Templewie część budynków na powierzchni rozsypała się, a reszta została rozebrana. Zostało tylko to, co pod – bunkry oddzielone od warstw ziemi metrową żelbetonową ścianą, z góry porosłe świerkowym lasem. W 2012 roku do jednego z bunkrów weszli naukowcy, chcieli liczyć nietoperze, które wlatują do środka przez szczeliny.

Na betonowej podłodze znaleźli kopiec mrówek. Przekopali go, ale w środku nie było larw ani królowej. Same robotnice. A jednak kopiec żył i funkcjonował od dawna. Skąd przybywały nowe mrówki? Okazało się, że spadają z nieba prosto do Hadesu. Na powierzchni, nad szybem wentylacyjnym, znajdował się zwykły kopiec, lecz metalowa pokrywka skorodowała i nieostrożne mrówki spadały przez dziury. Choć mogłyby wrócić po ścianie, nie wiadomo, dlaczego nie wracają nigdy. Stają się mrówkami podziemnymi, w wiecznej ciemności i wiecznym chłodzie budują swój kopiec. Żyją tam na granicy śmierci, bo brakuje pożywienia. Czym właściwie się żywią? Nie wiadomo. W podziemiach żyją rok, trzy razy krócej niż na powierzchni. Obok kopca jest ogromne cmentarzysko owadów, kilkucentymetrowa warstwa trupków. Mrówcze miasto nigdy nie mogłoby więc funkcjonować, gdyby nie wciąż nowe mrówki spadające z góry.

Wychodzimy po rozchwianej drabinie na powierzchnię. Oślepiają nas promienie słońca, jakbyśmy nie widzieli go od tygodnia. Nie znaleźliśmy

sarny, choć wśród zalanych korytarzy wydawało się przez chwilę, że słychać chrobot i ciche skomlenie.

Czerwone strażnice (1956–1993)

A jak album

Dwa naboje do kałasznikowa dyndają przy grubej zielonej księdze ozdobionej czerwono-białym ornamentem. Do pierwszej strony przyklejone jest wezwanie. Na podstawie rozporządzenia ZSRR „O powszechnej służbie wojskowej” Igor Władisławowicz Płakuszczij zostaje powołany do wojska. Na pożółkłym papierze widnieje podpis komisarza wojennego, który nakazuje rekrutowi stawić się w biurze 18 października 1984 roku o godzinie dziesiątej. Wymienia obowiązki powołanego:

1. Stawić się do poboru w ubraniach i obuwiu dopasowanych do pogody, w krótko ściętych włosach. Przy sobie mieć: parę spodniej bielizny (majtki i koszulkę), ręcznik, walizkę albo worek na rzeczy osobiste, a także łyżkę, kubek i artykuły higieny osobistej.
2. Dodatkowo zabrać ze sobą: paszport, bilet wojskowy, informacje o wynikach przygotowania fizycznego; kierowcy – prawo jazdy, członkowie partii – bilet partyjny.

Na drugiej stronie – godło Gery, miasta garnizonowego w Niemczech Wschodnich, i napis: „Dla pamięci o służbie w Grupie Wojsk Radzieckich w Niemczech”. Pastelowe rysunki: kota w butach, dziewczyny całującej żołnierza, maszerującego wojaka, który wygląda jak mały chłopiec w dorosłym mundurze. Nakreślone kredką rakiety i czołgi, wklejone zdjęcia – na tle moździerzy, pod choinką na Nowy Rok. Na końcu fotografia matki (zwykle daje się wizerunek dziewczyny, ale nie miał żadnej przed wojskiem) i napis: „Ona czekała na mnie 730 dni”.

Wertujemy album dokładnie.

– To mojego ojca – mówi Julia. – Służył w radzieckim garnizonie w NRD. Mam go w ręku pierwszy raz od dziesięciu lat. Rodzina od strony taty to głównie Rosjanie, Ukraińcy, a jak szukać dalej, to również Tatarzy i Żydzi. Polakami byli dziadkowie od strony mamy.

Ze środka wypada stos listów.

Dzień dobry wszystkim! Przesyłam wam wielkie czerwonoarmiejskie pozdrowienie! Mam się dobrze, jeśli nie liczyć tego, że nie śpię czwartą dobę. Siedzimy teraz w stołówce i czekamy na wyjazd. Podszywamy kołnierze, zmniejszamy ubrania, bo za duże. Naszą kompanię rozrzucili po innych, ale miałem farta: razem ze mną trafiło dwanaście osób z mojego miasta. Chłopaki są w porządku. Kiepsko będzie, jeśli nas w Niemczech rozdzielą, bo zaprzyjaźniliśmy się i razem trzymamy. W pojedynkę lepiej nie chodzić: „dziadki” [starsi stażem] *od razu zabierają ubranie, bo dali nam nowiuśkie mundury. Tutejsze jedzenie z domowym nie może się równać, zrzuciłem ze trzy kilo. Pogoda w porządku, marzliśmy tylko pierwszego dnia. Kończę, bo chcę jeszcze do kumpli napisać, a czasu zostało mało.*

(26 października 1984 roku. Stempel na kopercie: Ałma Ata, Kazachstan)

Zwyczaj przygotowywania albumu wojskowego liczy sobie co najmniej pół wieku. Albumy zabierały dużo pracy. Trzeba było znaleźć w kompanii rysownika i ustawić się w kolejce do szkicowania, nadać list do rodziny i poprosić o zwrot wysłanych wcześniej odbitek, zgromadzić pocztówki z miejsca służby, pamiątkowe łuski i naboje. Album miał dokumentować wspomnienia, robić wrażenie na przeglądających go znajomych i krewnych.

Przeglądamy albumy „Polaków”, jak nazywają się weterani PGWAR.

Naklejki z orłem bez korony i odrysowane kontury PRL. Zdjęcia żołnierzy na pace – banknoty sprzed denominacji: 100 złotych z Waryńskim, 200 złotych z Dąbrowskim, 1000 złotych z Kopernikiem. Rysunek nagiej dziewczyny pod krzyżem (napis: „Kochajcie nas, póki żyjemy”), czołgów i wyrzutni rakietowych, kraksy na drodze („Życie kierowcy wojskowego jest piękne jak stewardesa, ale czasem równie krótkie jak jej spódnica”). Na ostatnich stronach: „Dovidzena Polska”.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zeszłego stulecia kierownictwo polityczne armii walczyło z albumami. Uważano, że pachnie to subkulturą. Robiono więc je po kryjomu, po nocach. Potem albumy trzeba było zaaprobować na wypadek, gdyby trafiły w ręce szpiegów: nie mogły zawierać zdjęć ujawniających informacje o lokalizacji i rodzaju wojsk ani technice będącej na wyposażeniu. Najlepiej, by prezentowały nieszkodliwy żołnierski folklor i pochwałę dla służby w siłach zbrojnych ZSRR.

B jak bojcy

– Nie wiedziałem, do jakiego kraju trafię. Komisja poborowa mnie zbadała i wpisała do kartoteki numer oddziału. Najpierw wylądowaliśmy w Kujbyszewie, dziś to Samara, w ćwiczeniowej jednostce strzelniczej. Przez pół roku przygotowywaliśmy się do służby za granicą – mówi Fanis Biktaszew rodem z Baszkirii, czołgista, w latach 1978–1980 służył w świętoszowskiej kompanii remontowej. – Na komisji poborowej żołnierz wypełniał kwestionariusz, który przechodził potem przez KGB. Kto miał służyć poza granicami ZSRR, nie mógł mieć na Zachodzie krewnych, a w rodzinie osadzonych. Musiał natomiast posiadać średnie wykształcenie, mile widziany był wyuczony zawód.

Igor Alejnikow:

– Byłem przekonany, że trafię gdzieś za granicę, bo na komisji pytali mnie, czy mam rodzinę albo znajomych w Europie. Wiedziałem na pewno, że nie pojadę do Afganistanu. Jestem jedynakiem, a tam jedynaków nie zabierali.

Fanis Biktaszew:

– Do Bornego Sulinowa dostaliśmy się samolotem. Leciałem pierwszy raz w życiu.

Igora Alejnikowa do Kłomina przywieźli uazem. Trzęsło.

Potem przez miesiąc trwał kurs mołodoga bojca, młodego wojownika. Żołnierze z nowego poboru przed złożeniem przysięgi siedzieli

w koszarach, uczyli się obsługiwać broń, biegali na poligon, ćwiczyli defilady.

– Trafiłem do kompanii łączności, bo byłem specjalistą od elektroniki – mówi Igor.

Mamy teraz kwarantannę, to znaczy, że przez dwa miesiące będą nas wszystkiego uczyli. Przysięgę składamy 25 listopada, ale od jutra zaczynamy prawdziwe wojskowe życie: bieganie na 5 kilometrów, zajęcia fizyczne.

Przez 3 dni wozili nas pociągami po różnych miastach, aż dotarliśmy tutaj. Gdzie jesteśmy, nie mogę powiedzieć. Nie wolno. Tak samo z rodzajem wojska. Podczas podróży przez Niemcy, zdążyłem obejrzeć miasta – Weimar, Lipsk, Frankfurt, Gerę [Gera podkreślona – znak dla rodziny, że tam właśnie jest]. *Wszystkie miasta czyste i piękne. Na ulicy nie znajdziesz rzuconego papierka. Budynki ładne, tylko wszystkie takie kwadratowe i trójkątne. Miasto wygląda jak ze świata zabawek.*

(28 października 1984 roku)

Podpułkownik Rustam, pilot, w latach 1988–1992 służył w Brzegu, Legnicy i Kołobrzegu:

– W Polsce najpierw zdziwiły mnie kościoły. U nas wtedy religii nie było, więc średnio rozumiałem, o co chodzi. Wszedłem kiedyś do kościoła, bo zobaczyłem dziwny widok: mali chłopcy w garniturach jak panowie młodzi, małe dziewczynki w sukniach ślubnych. Wszedłem i wysłuchałem kazania. Potem zapytałem jednego Polaka, o czym było. A on: „O Bogu!”. „A czemu – tak go pytałem – u was taki porządek? Bo u nas wielki kraj, ogrom bogactw, a przy tym bałagan”. A on mi na to: „Bo macie wielki kraj pełen bezbożników!”.

Fanis Biktaszew:

– Zaskoczyła mnie ziemia. U nas wszędzie czarnoziem, u was piasek. Taki piasek u nas tylko w okolicach rzek, a u was nawet ziemniaki na nim rosną. I liście. U nas w Baszkirii rano wstajesz, patrzysz w okno, a wszystkie grubym dywanem leżą na ziemi. A te kasztany, co rosły w garnizonie… Posprzątasz plac, a już podchodzi dowódca i mówi: „Masz tam brudno”. Patrzysz: na ziemi dwa liście, ale jakie wielkie! Widać je z daleka.

Pobudka o 6 rano, godzina ćwiczeń, bieganie na trzy kilometry. Wczoraj był bieg z automatem i w masce przeciwgazowej. Aby nie upaść i nie zatrzymać się, mówiłem do siebie: „Biegnij, Igorze, jesteś mężczyzną”. Po treningu śniadanie, a po śniadaniu maszerowanie na placu i znowu trening fizyczny. To zajmuje około pięciu godzin. Obiad. Po obiedzie znowu maszerowanie i ćwiczenia. Potem kolacja. Po kolacji czas wolny. Ten czas wolny też nie jest wolny – przyszywamy, czyścimy, czegoś nas uczą. Pod koniec dnia po prostu umierasz. Ale nie przejmuj się, mamo. Choć ciężko, żyć się da. „Dziadki” się nie czepiają, pogoda świetna, ciepło, trawa i drzewa zielone, a w domu już pewnie śnieg spadł.

(1 grudnia 1984 roku)

C jak codzienność

Igor Alejnikow:

– Głównie biegaliśmy. To właśnie robił radziecki żołnierz: biegał. Bieg z automatem, bieg w maskach przeciwgazowych, bieg ze strzelaniem. W masce biegało się co środę, trzeba było ją nosić przy sobie. Najgorzej było w sierpniu. I najgorzej było w masce kopać okopy saperką. A poza tym mieliśmy dużo obowiązków. Trzeba było uprać ubrania, zaszyć dziury, napisać list do mamy, przyciąć włosy, uprasować mundur. W garnizonowym klubie w weekendy wyświetlali filmy. Była tu też biblioteka, ale nikt do niej nie chodził. Potem zmienił się dowódca i w niedziele zamiast wolnego urządzali święta sportowe. Oznaczało to tyle, że znowu musimy biegać, po dziesięć kilometrów.

Fanis Biktaszew:

– W czasie wolnym czyściło się mundury i prało bieliznę. Pilnowali. Jeśli ktoś z oficerów zauważył, że masz brudny kołnierzyk, wywoływał na apelu i w obecności innych mówił: „Popatrzcie, to jest brudas, to niechluj”. A i ubieraliśmy się nie byle jak. Półwełniane ciuchy, w ZSRR takich w wojsku nie dostali. W końcu reprezentowaliśmy ojczyznę. Raz w tygodniu kąpaliśmy się w gorącej bani. A tak na co dzień to się myliśmy w lodowatej. Podłogi w koszarach były betonowe, ogrzewanie na węgiel. Przedtem to były stajnie, stacjonowała w nich armia Paulusa. Na ścianach

nadal wisiały metalowe kółka, do których kiedyś przywiązywano konie. W środku zimno i wilgotno. Budzi cię jasne słońce, a z sufitu kapie woda.

Teraz nazywamy się „młodszymi synami”, za pół roku będziemy „starszymi synami”, a za półtora roku – „dziadkami”. W naszej jednostce żyje się dobrze. „Dziadek” jest w porządku i nie gania nas nocami jak inni. Polubił mnie, w ogóle nie rusza i nawet pozwolił z wypłaty kupić szelki, a nie wolno ich nosić w pierwszym roku służby. Raz nawet przyszywał mi kołnierzyk, choć według niepisanych praw to ja mu powinienem.

(1 grudnia 1984 roku)

D jak diedowszczina

Igor Alejnikow:

– Do kompanii trafiłem jako jedyny „młody” żołnierz. Wtedy w wojsku fala była na porządku dziennym, ale jako że byłem sam, to mnie za bardzo nie ruszali, bo byłoby od razu widać. A po miesiącu, kiedy dotarli do kompanii inni „młodzi”, ja już byłem „stary”.

Pierwszy przypadek fali – po rosyjsku diedowszcziny od przydomka „dziadków”, żołnierzy z dłuższym stażem służby – w Armii Czerwonej był odnotowany w 1919 roku. Trzech „starszych” żołnierzy z 1 pułku 30 Dywizji Strzeleckiej pobiło śmiertelnie swojego młodszego kolegę, bo nie zgodził się wykonać za nich pracy. Zgodnie z prawem wojennym winni zostali rozstrzelani. Po tym przez niemal pół wieku nie odnotowano w ZSRR przypadku fali. Według jednej z wersji pojawiła się ona znów po 1967 roku, gdy z powodu niskiej demografii po wojnie politbiuro partii podjęło decyzję, by do armii powoływać osoby o przeszłości kryminalnej. Zostało to przedstawione jako próba socjalizacji obywateli, którzy zboczyli ze ścieżki prawa. W rzeczywistości niedawni więźniowie zaczęli wprowadzać do wojskowej codzienności przemoc i poniżające obrzędy, a do języka – żargon złodziejski.

Aleksandr Kowalow na internetowym blogu publikuje wspomnienia swojego ojca Giennadija Wiktorowicza, powołanego w 1985 roku do wojsk desantowych ZSRR: „Sposobów na »wychowanie« żołnierzy było całe

mnóstwo. Na przykład jeśli chodził z rękoma w kieszeniach, to następnym razem nasypywali mu tam piasku i zaszywali kieszenie. Kara kończyła się dopiero wtedy, gdy piasek samoczynnie się wysypie, prześlizgując przez tkaninę”. Albo pisze o obyczajach panujących w stołówce: „»Porządek na stołach!« oznacza zakończenie posiłku. Czas jego trwania zależał od nastroju sierżanta. »Porządek na stołach!« mogło zabrzmieć po trzech minutach i żołnierze musieli biec. Zupa na obiad była zwykle bardzo gorąca. Żołnierze mieli więc wybór: oparzyć sobie usta albo być głodni”.

Wiaczesław Minkiejew, w latach 1982–1992 służył w legnickiej jednostce łączności:

– Fala polegała na tym, że „młody” żołnierz robił wszystko, co „dziadek” uważał za poniżej swojej godności: mycie podłóg, toalet i brudnych naczyń, sprzątanie łóżek. Ofiarę fali bardzo łatwo było rozpoznać. Tam, gdzie dochodziło do przemocy, chłopaki byli wiecznie przestraszeni, pasy mieli pozapinane na ostatnią dziurkę. Nawet papierosy inaczej palili, wewnątrz dłoni, jakby się bali snajpera. I sposób chodzenia mieli inny: albo powolny krok, albo bieg na wpół zgiętych nogach.

Fanis Biktaszew:

– Tak, „starzy” zmuszali do robienia różnych rzeczy, ale źle na tym nie wyszliśmy. Jestem z wioski, mój ojciec był uczestnikiem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, pokazywał mi, jak zawijać onuce. „Ucz się, przyda ci się to w wojsku”. Ale do armii trafiali chłopacy, którzy nie potrafili nic: ani sobie uprać, ani zaszyć dziur w ubraniu. Jeśli „starzy” wiedzieli, że coś potrafisz, nie czepiali się. A jeśli chodziłeś niechlujnie ubrany, dziur nie umiałeś załatać, to zaczynali cię ganiać. Wojsko robiło z ciebie prawdziwego mężczyznę!

Aby awansować z „młodego” żołnierza na „starego”, a potem na „dziadka”, trzeba było przejść rytuał. W różnych jednostkach wyglądał on inaczej. Aleksandr Kowalow pisze na blogu o zwyczaju charakterystycznym dla wojsk desantowych: „W koszarach stawiało się taboret nóżkami do góry. »Młody« miał wgramolić się na niego w taki

sposób, by na jednej parze nóżek znajdowały się jego stopy, a na drugiej – dłonie. Tymczasem koledzy bili go z całej siły taboretem po tyłku”.

W kompanii samochodowej żołnierze z krótszym stażem odbywali „jazdy”, czyli mieli w koszarach pełzać pod łóżkami.

W różnych jednostkach były też różne hierarchie. Przykładowo w wojskach desantowych najpierw zostawało się „duchem”, czyli żołnierzem bez praw i głosu, a potem „słoniem” (od treningów w masce przeciwgazowej).

Problem fali w wojsku podjęto pod koniec lat osiemdziesiątych, w czasach głasnosti w prasie. Reformy Gorbaczowa zachęcały do krytyki negatywnych zjawisk w społeczeństwie.

„Pracowaliśmy według specjalnego planu: budowaliśmy górkę, sprzątaliśmy teren, na obiad nas nie zabierali. Kompania na zajęcia jechała samochodami, a my musieliśmy biegać na pozycję i z powrotem” – opisywała „Znamienka” przypadek czterech żołnierzy, którzy po odbyciu pięciodniowego aresztu za picie alkoholu nadal byli nękani przez sierżantów.

„Znamienka” była gazetą garnizonową, więc na jej łamach pojawiły się artykuły o przymuszaniu żołnierzy do wyczerpujących przysiadów, pompek, biegów na wiele kilometrów, o biciu ich, o przydzielaniu im poza kolejnością najtrudniejszych prac, o wysyłaniu ich do karnego batalionu i aresztu.

> *Wczoraj były przenosiny z „młodszych synów” do „starszych synów”. Dostałem sześć razy metalową blaszką od paska. Do tej pory mnie dupa boli. Mamo, dziwisz się naszym tradycjom i pytasz, czy będą mnie jeszcze bili przy awansie na „dziadków”. Odpowiadam – będą, we wrześniu. Dwadzieścia cztery razy, ale już tylko nitką przez poduszkę.*
>
> (27 marca 1985 roku)

G jak guba

Igor Alejnikow:

– Nie mogliśmy samowolnie opuszczać garnizonu. W Sypniewie w ciągu dnia siedzi połowa oficerów. Pójdziesz, to cię zawrócą, spędzisz trzy dni w areszcie, czyli gauptwachcie, przez nas nazywanej „gubą”. W każdej gubie była izolatka. U nas mieściła się pod wieżą w jednostce. Wszyscy się tej wieży bali, bo komendantem garnizonu był bardzo wredny facet. Izolatka to niewielka cela z łóżkiem, zimna, nieogrzewana. Siedzisz tam, leżysz, cokolwiek robisz przez trzy doby, w założeniu myślisz o swoim złym zachowaniu. W środku była jeszcze toaleta. Posypywali ją chlorem, więc nie dało się oddychać. Mój kolega trafił do takiej izolatki. Ja, jako że byłem w służbie telefonicznej, odłączyłem linię. Natychmiast zadzwonił do mnie dowódca z krzykiem, że nie ma kontaktu z izolatką, i kazał to naprawić. A linię naprawiało się akurat obok drzwi do celi. Otworzyłem śrubokrętem zamek, powiedziałem koledze: „Posiedź choć chwilę na trawie, ogrzej się”. Ale zdarzało się, że ktoś uciekał z wojska. Najczęściej moskwianie, przyzwyczajeni do dobrego, sytego życia. Cierpieli z braku snu i jedzenia i po miesiącu dawali dyla. Niektórzy wieszali się w lesie. A niektórych znajdowali i zawracali. Rocznie dwie albo trzy osoby. W moim oddziale jednego znaleźliśmy po paru dniach. Oddział, który miał uciekiniera, nie był karmiony, dopóki nie znajdzie dezertera. Jeśli dobę później nie znajdował, szukał cały pułk i też nie karmili. Potem na poszukiwania wyruszała dywizja, też głodna. Po trzech dniach takiego szukania chodziłem po lesie i myślałem: „A niech on już się powiesi, bo inaczej idiotę gołymi rękami zabiję”.

Dziś w klubie był trybunał wojenny, za dezercję sądzili żołnierza z naszej jednostki. Wszyscy byliśmy obecni. Uciekł z wojska i chował się dwadzieścia siedem dni. Popełnił kilka przestępstw. Dostał dwa lata batalionu dyscyplinarnego.

(12 grudnia 1984 roku)

I jak izwiestia

„Znamienką” nazywano dziennik Północnej Grupy Wojsk – „Znamia Pobiedy” (Sztandar Zwycięstwa). Wychodził on regularnie na terenie Polski

od 1946 roku i miał trafiać w ręce każdego żołnierza i pracownika cywilnego Armii Radzieckiej. Codziennie, oprócz poniedziałków, w powietrze nad Legnicą wzbijały się samoloty z gazetą na pokładzie i rozprowadzały drukowane izwiestia (wiadomości) po garnizonach. Kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy każdego dnia. Prawdopodobnie, bo wielkość nakładu „Znamienki" stanowiła tajemnicę wojskową, podobnie jak fakt drukowania gazety w Legnicy. Nie ujawniano nazw i lokalizacji garnizonów. Pisano: „N-ska jednostka", „N-ski oddział".

Wojciech Kondusza, badacz radzieckiej historii Legnicy, który przekopał się przez wydania „Znamienki" zgromadzone w archiwach, w artykułach poświęconych dziennikowi pisze, że „Znamienka" publikowała artykuły o historii i współczesności Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, przemówienia przywódców i biografie postaci historycznych, pisane w duchu hagiograficznym.

Drukowała w odcinkach tryptyk Leonida Breżniewa: *Małają Ziemlę* (Małą ziemię), wspomnienia z Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, *Wozdrożdienije* (Odrodzenie) o odbudowie po wojnie krajowej gospodarki i *Celinę* (o zagospodarowaniu stepowych ugorów).

„Mięśnie żołnierzy twardnieją podczas szkoleń poligonowych, zajęć w salach gimnastycznych i na placu ćwiczeniowym. Natomiast siły duchowe czerpią oni z leninowskich prac" – zachęcała do czytania pism Wodza Rewolucji, zwłaszcza dzieła zatytułowanego *Lenin o osobliwościach i historycznym powołaniu radzieckich sił zbrojnych jako armii nowego typu*.

Na fali popularności serialu *Czterej pancerni i pies* dziennik umieszczał na łamach fragmenty powieści. Żołnierze żartowali z tytułu: *Odin Gruzin, tri Polaka, russkij tank i sobaka*.

Pisał o bezinteresownej pomocy radzieckich żołnierzy udzielanej bratniemu narodowi polskiemu w czasie pożarów, powodzi, śnieżnych zim:

> Pracująca w lesie polska obywatelka Kosior ciężko zraniła się w nogę. Potrzebna była szybka pomoc medyczna, a lokalnego szpitala w pobliżu nie było. Mąż rannej przywiózł żonę motorem do radzieckiej jednostki. – Pomóżcie, proszę, przyjaciele… –

ze łzami w oczach prosiła kobieta łamanym językiem rosyjskim. – Proszę się nie denerwować, wszystko będzie dobrze – uspokajał kobietę radziecki oficer. W punkcie medycznym nasi lekarze, st. lejtnant służby medycznej A. Czemieris i W. Iwanowa, uważnie przebadali ranną i udzielili koniecznej pomocy. Polska rodzina gorąco dziękuje radzieckim lekarzom.

Podnosił morale żołnierzy: „Maria Fiodorowna Uljanowa jest pielęgniarką na oddziale zakaźnym w szpitalu wojskowym. Jest bardzo sumienna i pracowita, sympatyczna i skromna. Jeśli dyżur ma przodownica pracy Uljanowa, na oddziale jest porządek, a chorzy dobrze i na czas obsłużeni", oraz: „Z powodzeniem pełnią służbę żołnierze-łącznicy, których cechuje wysoki poziom przygotowania bojowego i politycznego, czyli kaprale A. Jeżow i T. Gardobchadze". Publikowano też wspomnienia w duchu patriotycznym:

Odkąd dorosłem i zacząłem prowadzić świadome życie, czuję się dłużnikiem wobec naszych ojców – bohaterów wojny. I kiedy miałem iść do wojska, pojechałem najpierw do Korsunia Szewczenkowskiego, trafiłem do muzeum i złożyłem przysięgę żyjącym i zmarłym za moją ziemię, za moje szczęście, że będę służyć Ojczyźnie jak oni, wiarą i prawdą…

Dziennik zamieszczał artykuły na temat dostatniego życia w ZSRR i problemów w USA: bezrobocia, biedy, przestępczości, narkomanii, zabójstw, klęsk żywiołowych. Od sierpnia 1980 roku publikował komunikaty o stanowisku PZPR, która „walczy o dalszy rozwój Polski w duchu ideałów socjalizmu", i ruchu Solidarność, „wspieranym przez Stany Zjednoczone i zachodnie centra dywersyjne".

Po pierestrojce, pod koniec lat osiemdziesiątych, dziennikarze „Znamia Pobiedy" zaczęli pisać o złych warunkach w jednostkach i brakach w zaopatrzeniu. Majorowi, naczelnikowi Wojentorgu (sklepu dla wojskowych), gazeta zarzuciła złe kierowanie handlem i fałszowanie dokumentacji:

W sklepach wojskowych nikt nigdy nie widział kolorowych telewizorów, a jednak niektórzy mogli je kupić. Polscy obywatele w latach 1987–1988 kupili u niego

szesnaście sztuk takich telewizorów. Do sklepu trafiały tylko pieniądze. W ten sam sposób polscy znajomi i przyjaciele majora kupowali meble, wyposażenie kuchenne, pralki i inne deficytowe artykuły. Różnica między ceną rynkową a państwową trafiała do jego kieszeni.

W czasie likwidowania garnizonów pojawiła się rubryka „Diełowoj mir” (Świat interesów), w której podawano kursy walut w bankach i kantorach, giełdowe ceny samochodów i ceny mieszkań w byłym ZSRR, publikowano porady biznesowe i oferty pracy.

W przeddzień rocznicy Wielkiego Października w 1992 roku w garnizonowym dzienniku opublikowano artykuł, w którym można było przeczytać:

Z Październikiem, jak i osobą Lenina, związanych było wiele różnych wydarzeń: krwawa wojna domowa i wojenny komunizm, masowe represje w stosunku do chłopstwa. Przestępstwa przeciw Cerkwi, kulturze i inteligencji. […] To także zasianie w społeczeństwie klasowej wrogości, zerwanie z ogólnoludzkimi wartościami, nihilizm w stosunku do norm prawnych, demokracji i jej instytucji; to zwycięstwo stalinowskiej linii w kwestii narodowej, kierowanie się w polityce „wielką i niepodzielną Rosją”.

Przez czterdzieści siedem lat wydano 15 437 numerów „Znamia Pobiedy”. Ostatni ukazał się 15 maja 1993 roku.

Razem z dwoma kolegami jesteśmy pomocnikami majora. Spodobał mu się mój charakter pisma i już trzeci dzień siedzę w sztabie nad papierami – przepisuję na czysto. Od trzech dni nie maszeruję – najlepiej! Moje stopy dochodzą do siebie. Może zostanę sekretarzem tego majora? Fajny facet, wciąż się śmieje. To on zrobił nam zdjęcie. Mam już trzy fotografie – jedną wysyłam wam, a dwie zostawiam dla siebie, do albumu.

(6 listopada 1984 roku)

J jak Józef Stalin

Pod koniec 1989 roku „Znamienka” opublikowała wyniki minisondażu przeprowadzonego w jednostkach wojskowych PGWAR. Na pytanie: „Czy wierzysz w to, co się wam mówi na zajęciach politycznych?”, spośród

dwudziestu jeden osób poddanych sondażowi tylko siedem odpowiedziało twierdząco. Reszta uznała, że wierzy „częściowo”. Żołnierze skarżyli się dziennikarzom, że zajęcia są przez prowadzących traktowane formalnie, przez co są nudne. „Po 15–20 minutach zainteresowanie tematem jest bliskie zeru. Jedni rozmawiają, drudzy coś czytają, inni drzemią” – opowiadał na łamach prasy żołnierz.

Inne wypowiedzi: „Pisaliśmy pod dyktando kierownika grupy. Pisaliśmy tak długo, że nie wiedzieliśmy, o czym piszemy. Pisaliśmy o umiłowaniu pokoju, armii, oczywiście niezwyciężonej”. „Zadaniem żołnierza, słuchacza zajęć politycznych, jest bojowo zaraportować, zuchowo zameldować: u »nas« lepiej niż u »nich«”.

Po utworzeniu Północnej Grupy Wojsk w 1946 roku do jednostek dotarły rozporządzenia Ministra Sił Zbrojnych ZSRR w sprawie ideologicznego przygotowania radzieckich oficerów. Podstawą rozwoju powinna być samodzielna nauka pism Lenina, klasyków marksizmu, dokumentów partii i radzieckiego kierownictwa. Do garnizonów wysłano lektorów, a w Domach Oficerów i klubach zaczęto tworzyć gabinety partyjne. Powstały uniwersytety marksizmu-leninizmu, partyjne szkoły, kółka.

Zajęcia polityczne odbywały się dwa razy w tygodniu. Tematy pierwszych z nich: „Zebranie partyjne – szkoła bolszewickiego wychowania”, „Planowanie pracy organizacji partyjnej”, „Prace organizacji partyjnej na rzecz powiększenia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) i wydawania dokumentów dla dołączających do partii”.

W każdej jednostce był zampolit, zastępca dowódcy do spraw politycznych. Propagował miłość do ojczyzny socjalistycznej, krzewił nienawiść do wrogów klasowych, objaśniał ustawy i przysięgi wojskowe, skłaniał do lektury pism Lenina – to żołnierze wykonywali niechętnie. Większość nie rozumiała czytanego tekstu.

Na forum internetowym poświęconym PGWAR jeden z byłych żołnierzy pisze: „O ile Stalin pisał pragmatycznym i prostym językiem, o tyle czytanie pozostałych autorów graniczyło z masochizmem. Dlatego wśród

żołnierzy popularne były broszury – cienkie książeczki, w których streszczane były główne myśli wodzów rewolucji. Im cieńsza, tym większą popularnością się cieszyła”.

Zampolit miał też dbać, by żołnierze byli nakarmieni i obuci.

Mówiło się: dowódca jednostki jest dla „młodych” ojcem, a zampolit – matką.

W weekendy i święta zampolici organizowali żołnierzom rozrywkę. Uczyli pieśni: „W naszych sercach nosimy ojczyznę, jej tarczą i groźnym mieczem jesteśmy. Żołnierze Północnej, na granicach pokoju bronimy”.

Pamiętali o urodzinach i składali życzenia. Zmuszali do pisania listów do domu.

Fanis Biktaszew:

– Przychodził zampolit i pytał: „Kiedy, towarzyszu szeregowy, napisałeś list do domu? Czy wasza matka, towarzyszu, się w domu nie denerwuje? Czy chcecie, towarzyszu, żeby się denerwowała? Jak możecie nie myśleć o matce?”. Jeśli sprawdził, że list nie był pisany od miesiąca, to sadzał w pokoju z portretem Lenina, wręczał długopis, kartkę. „Pisz”, mówił.

Wczoraj dostałem list od was i od chłopaków. Wieczorem przed ciszą nocną nam rozdali. Od razu tak zatęskniłem do domu, że nie mogłem zasnąć. Piszecie, że zrobiliście remont – chciałbym zajrzeć choć jednym okiem. Przesyłek do nas słać nie wolno, ale jeszcze o tym napiszę, bo może coś uda się zrobić. Urlop w naszej jednostce trudno dostać, ale postaram się. Past do zębów, które zabrałem z domu, nie używałem. Jedną ukradli, a drugą oddałem kapitanowi w Ałma Acie. Kupił koniak tamtejszym oficerom, żeby wszystko dobrze się ułożyło.

(1 listopada 1984 roku)

K jak karate

Podpułkownik Rustam:

– Z Polakami ćwiczyłem karate. Mój sensei w Brzegu był Polakiem, miał brązowy pas. Zdawałem u niego na pasy niebieski i żółty. Prosto z lotniska pod Brzegiem po służbie jechaliśmy do hali sportowej.

Karate w ZSRR uznawano za „obcy twór zgniłej zachodniej cywilizacji”. Gdy jednak Andrzej Kaczkowski, inicjator kyokushin w Legnicy, obwieścił nabór do grup, na treningi zgłosili się również radzieccy oficerowie. Kaczkowski w ciągu czternastu lat, od 1978 do 1992 roku, wyszkolił w sztukach walki trzystu radzieckich żołnierzy i pracowników cywilnych. Prosili, by ich udziału nie dokumentować. Chcieli się szkolić w tajemnicy. Groziło za to wysłanie do ZSRR.

Wczoraj w sześć osób z naszej dywizji poszliśmy na dyskotekę. Posadzili nas przy oddzielnym stoliku, mnóstwo jedzenia i alkoholu. Oficer, który był z nami, kazał od razu sprzątnąć cały alkohol. Zamiast tego piliśmy colę i soki. Niemcy byli zdziwieni, bo oni mogą w wojsku pić. Ale i bez tego dobrze spędziliśmy czas. Po raz pierwszy od roku tańczyłem z dziewczyną. Co prawda nie dało się z nią porozmawiać. Wróciliśmy do jednostki po pierwszej w nocy.

(12 maja 1985 roku)

L jak listy

Fanis Biktaszew:

– Listy były jedyną formą kontaktu. Koperty darmowe, więc wieczorami pisaliśmy. Mieliśmy schemat. Najpierw, że list otrzymałem i oczywiście bardzo się cieszę. Pozdrowienia dla krewnych i sąsiadów. Itede. Potem, że wszystko u mnie w porządku. Jaka pogoda. W szczegóły lepiej było nie wchodzić, kto jest dowódcą, czym się dokładnie zajmujesz. Nie można było też pisać, w jakim państwie odbywa się służbę ani w jakim rodzaju wojsk. A jeśli komuś udawało się zrobić zdjęcie, to nie mogły na nim widnieć rejestracja samochodu, napisy, po których można było zlokalizować, na przykład, pomieszczenie sztabowe. Listy były sprawdzane, czasem widniała na nich pieczątka: „Wasza korespondencja została otwarta przez cenzurę wojskową”. Dlatego zampolit zalecał, bym pisał po rosyjsku, choć listy wysyłałem do Baszkirii. Odpowiedź przychodziła po miesiącu. Rozdawali je wieczorem przed kolacją. Jak ktoś nie dostał, musiał zatańczyć, zaśpiewać, wyrecytować wierszyk. Czytaliśmy po kilka razy, bo

czuło się w nich rodzinę, za którą tęskniliśmy. Otwierałem kopertę i najpierw wąchałem. Wydawało mi się nawet, że list pachnie moją mamą.

Jutro na urlop jedzie Berik. Zajrzy do was. Przekazałem przez niego różne rzeczy. A to lista, co przez niego przekażecie dla mnie:
30 rubli [przekreślone, napisane „20”, znowu przekreślone i wstawione „30”]
3 gazowe napełniacze dla zapalniczki
2 baterie dla zegarka, te małe
Papierosy Medeo albo Kazachstańskie
Cukierki.
(7 maja 1986 roku)

Fanis Biktaszew:

– Jeśli ktoś z jednostki wyjeżdżał do domu na urlop, to reszta informowała swoje rodziny, kto jedzie i gdzie mieszka, żeby można było coś przekazać. Najwięcej przed końcem służby, jak trzeba było szykować album i kupować prezenty. Mnie dowódca obiecał urlop na Nowy Rok 1980. Potwierdził 27 grudnia, dzień później wylądowałem w jednostce medycznej z zapaleniem wyrostka robaczkowego, 29 grudnia dowiedzieliśmy się, że cztery dni wcześniej rozpoczęła się interwencja w Afganistanie. Automatycznie anulowano wszystkie urlopy.

Mamo, wyślij mi razem z listem (na razie na próbę) 10 rubli. Ale zrób to tak: złóż kartkę na dwoje, włóż do środka 10 rubli, a brzegi kartki zaklej, żeby nie było widać pieniędzy. Tylko napisz mi w liście, że wysyłasz, bo nie będę wiedział, jeśli ruble wyciągną.
(12 grudnia 1984 roku)

Fanis Biktaszew:

– Wartość miały nominały powyżej dziesięciu rubli. Jeśli ktoś wracał z pieniędzmi z urlopu, pieniądze na czas transportu ukrywał w tubce po paście do zębów albo w puszkach z konserwami. Ale były też sposoby na przesyłanie pieniędzy. Mam urodziny w sierpniu. Zimą ni z tego, ni z owego dostaję list z kartką „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin”.

Do kartki przylepiona jest druga kartka. To znak, że w środku, między nimi, coś schowane.

Po powrocie do jednostki dostaliśmy wypłatę – 25 marek. To było trzy dni temu, pieniędzy już nie mam. Oddałem dług 10 marek, kolejne 10 marek zostawiłem na Nowy Rok, a 5 wydałem na zakupy. Musiałem jeszcze pożyczyć 5 marek – zrzucaliśmy się na żelazko, mopy, szczotki, flamastry. Mamo, jeśli następnym razem będziesz wysyłać pieniądze, to w liście o nich nie wspominaj. Napisz po prostu list czerwonym długopisem. Będę wiedział, że w środku powinny być ruble.

(23 grudnia 1984 roku)

Fanis Biktaszew:

– W jednostce nie można było wymienić pieniędzy, robiliśmy to na stacji, do której dostarczano węgiel dla garnizonu. Często nas tam oszukiwali polscy cinkciarze. Za dziesięć rubli powinniśmy dostać dwieście złotych, ale Polacy często robili tak, że brali jeden banknot, na niego kładli drugi złożony na pół, na to znowu wyprostowany. Kiedy w pośpiechu się przeglądało, to liczyło się jeden za dwa. A wymieniać walutę musieliśmy bardzo szybko, bo mógł nas zauważyć patrol.

M jak mapy

Rajmund Prus oprowadza nas po Bornem Sulinowie i złości się, gdy słyszy, że do Bornego nie można było wjechać, że nie było go na mapach. Było, a przynajmniej po 1956 roku. Wyjmuje podarty atlas z roku 1978, strona ósma. Tu, proszę zobaczyć, Sulinowo, a tu Borne. Inna mapa z 1968 roku, zwykła, ogólnodostępna karta 1 : 1 000 000. Jest Sulinowo. Atlas szkolny. Mapa gospodarcza Polski. Jest Sulinowo? Jest. Potem na chwilę zniknęło. Mieszkańcy Pomorza wiedzieli, że mieści się tu baza, ale nie znali szczegółów. Z dworca PKS w Szczecinku wyjeżdżał autobus z tabliczką „Borne Sulinowo”. W Szczecinku stał pułk przeciwlotniczy z jednostki. Ci, którzy tam mieszkali, chcieli od czasu do czasu pojechać do Bornego na zakupy czy do kina. Podobnie jak ci, którzy mieszkali w Bornem Sulinowie – po pracy chcieli pojechać do Szczecinka, zobaczyć inne

miejsce, więc wsiadali do autobusu i jechali. Autobus woził też Polaków, ale wszyscy wysiadali w ostatniej wsi przed bazą, w Krągach. Dalej trzeba było mieć przepustki. Kto wprowadzał, miał obowiązek dopilnować, by wprowadzany nie chodził gdzie popadnie po mieście. Mógł pójść na film, do sklepu, do Domu Oficera. Rajmund Prus mówi, że były trzy sposoby, żeby dostać się do garnizonu w Bornem Sulinowie:

– Pierwszy sposób był oficjalny. Wojskowy wybierał się na uroczystości albo był zaproszony na mecz, więc czekała na niego przepustka. Drugi był półoficjalny. Przyjechali koleżanka albo kolega żołnierza i trzeba ich wpuścić. I jeszcze trzeci, nieoficjalny, który można przedstawić w skrócie jako „dziura w płocie”. W płotach, jak świat stary, zawsze są jakieś dziury. Każdy wiedział gdzie. Można też było przepłynąć łódką przez jezioro, ale tylko wtedy, gdy była szarówka. Dopóki zdarzały się pojedyncze przypadki, to nikt nic nie mówił. Dopiero jak się ich nazbierało więcej, to robiła się awantura. Jeśli chłop przechodził przez ogrodzenie i trafił na wartownika, to ten zatrzymywał go do przyjazdu milicji. Milicja zabierała człowieka i zaczynała dochodzenie. Sprawdzali, czy chłop przelazł przez płot i poszedł jedynie do sklepu, wtedy szafa gra. Ale jak się kręcił po okolicy, to trzeba było się upewnić, czy to nie szpion. Pierwszy raz byłem w Bornem w 1957 roku, jeszcze jako dziecko. Ojciec, wojskowy, miał przepustkę. Matka dwa razy w roku balowała w Domu Oficera. Potem przyjeżdżałem, jak sam byłem już w wojsku.

Aleksandr Iwanow, w latach 1953–1956 służył jako oficer w Bornem Sulinowie i Legnicy:

– Do Bornego Sulinowa przyjechałem jesienią 1953 roku, w czasie zimnej wojny. Obcym dostęp do Bornego był wtedy ograniczony. Nie widziałem, by w miasteczku zamieszkiwali polscy cywile albo personel. Ale kiedy służbowo wyjeżdżaliśmy do Szczecinka, a to się zdarzało co tydzień, mogłem tam spotkać Polaków.

Jutro o 5 rano wyjeżdżamy na szkolenia. Nie wiadomo, ile potrwają. Jesteśmy w gotowości bojowej w związku ze śmiercią Czernienki. RFN obok, można się

wszystkiego spodziewać, a my stanowimy pierwszą linię obrony. Cały czas nam mówią o możliwej wojnie.

(12 marca 1985 roku)

O jak ochotnik

Leśniczy Jadwiga Piasecka najpierw zobaczyła przy drodze wypatroszone wnętrzności, odcięte nogi i głowy kilku saren i koziołka. Parę kroków dalej leżała skóra łosia. Rozejrzała się: na pobocze ktoś rzucił niedopałki papierosów Stolicznyje, w zarośla cisnął pustą butelkę – jak głosił napis cyrylicą na etykiecie – po wodzie mineralnej. Droga biegła przez poligon wojsk radzieckich w lasach nadleśnictwa Czaplinek niedaleko Bornego Sulinowa. Był grudzień 1980 roku.

W sprawie nielegalnego polowania rozpoczęto śledztwo. Mieszkańcy okolicznej wsi zeznali, że dwa tygodnie wcześniej zajechało do nich uazem kilku radzieckich oficerów i oferowało mięso łosia (nikt nie kupił, obawiali się, że zatrute). Jeden ze świadków zaoferował pomoc w rozpoznaniu. Wojskowy z uaza często sprzedawał wioskowym koks.

Śledztwo umorzono. Organy PGWAR, pisze historyk Wojciech Kondusza, nie wykryły kłusowników (przy okazji szukano też oficera, który handlował z Polakami koksem, równie bezskutecznie). Świadek nie rozpoznał sprawcy podczas okazania. A wiceprokurator z Bydgoszczy uznał: skoro od polowania minęło pół roku, istnieje duże prawdopodobieństwo, że poszukiwani żołnierze wrócili do ZSRR.

W styczniu 1980 roku w czasie obchodu jednego z obwodów łowieckich myśliwi usłyszeli strzały. Na śniegu zobaczyli ślady krwi, a w pobliżu – kilku radzieckich wojskowych z dubeltówkami. Na zarzuty żołnierze odpowiedzieli, że wcale nie polowali na zwierzynę, a broń pożyczyli od kolegi, by poćwiczyć strzelanie do drzew i czapki na kiju. Nie zgodzili się wylegitymować ani oddać broni do depozytu.

Czasem złapani na nielegalnym polowaniu radzieccy ochotnicy (myśliwi) twierdzili, że znajdują się na swoim terenie, więc nie muszą się

przed nikim tłumaczyć. Na komendę leśniczych „rzuć broń” przeładowywali karabiny i spokojnie ruszali dalej.

Podpułkownik Rustam wspomina:

– W Kołobrzegu zapisałem się do kółka łowieckiego. Nie jestem myśliwym, ale podszedł do mnie dowódca eskadry i powiedział, że mam się zapisać, bo dzięki temu jednostka ma większy przydział terenów.

Dokładnie dwieście hektarów na jednego wojskowego – postanowiono o tym w lutym 1948 roku, na przeciwdziałającej kłusownictwu konferencji między przedstawicielami PGWAR i polskiego rządu. Każdy hektar miał kosztować wojsko od dwóch do dwudziestu złotych rocznie, a zgłoszeni do polskich kół łowieckich radzieccy oficerowie na wiosnę zaczęli dostawać legitymacje. Kłusownictwa to nie zmniejszyło. Okazało się, że w budżecie Północnej Grupy nie przewidziano środków na dzierżawę terenów.

Jak pisze Wojciech Kondusza, gdy na polowanie udawał się generał, miał przywileje. Polski myśliwy, który towarzyszył polowaniu z generałem na głuszce, opowiadał, że na dzień dobry każdy pasażer dostał szklankę wódki. Gdy byli w drodze, siedzący obok kierowcy oficer zauważył stado saren, plandekę rozpruto i – stojąc na pace – zaczęto strzelać z kałasznikowa do zwierzyny. Do polowania na głuszce nie doszło, bo zanim grupa dotarła na miejsce, była już zbyt pijana.

Kiedy marszałek ZSRR Moskalenko zechciał postrzelać do jelenia, przygotowania trwały dwa tygodnie. Komisje sprawdzały obwód, instalowano w lesie urządzenia łącznościowe, szykowano udogodnienia: dwie salonki na polanie, kuchnia, restauracja. Marszałek przyjechał do lasu uazem z plandeką, wyścielanym w środku atłasem. Przebrał się w ubranie myśliwskie, zajął pozycję. Piętnaście minut później poprosił o lornetkę, zlustrował teren, stwierdził, że czas kończyć polowanie, i odjechał.

P jak pajok

Tatiana Niedźwiedzka, w latach 1986–1991 tłumacz w prokuraturze PGWAR w Bornem Sulinowie:

– Nazwisko mam po mężu. Pochodzi z rodziny polskich Sybiraków, ale nie zna polskiego i nigdy do Polski nie przyjeżdżał. Ja skończyłam na uniwersytecie w Leningradzie filologię polską i angielską. Pracowałam jako przewodnik turystyczny w Intouriście. Oprowadzałam po Leningradzie zagraniczne wycieczki, głównie polskie. Ale w 1986 roku ruch turystyczny ustał. Trzeba było zarobić na rodzinę, mieliśmy już wtedy z mężem malutką córeczkę. A radzieckie garnizony potrzebowały tłumacza. W Bornem Sulinowie najpierw pół roku mieszkałam w hotelu oficerskim. Pokój na dwie osoby ze wspólną toaletą i prysznicem na korytarzu. Zima 1987 roku była bardzo mroźna. Z powodu tych mrozów codziennie odłączali prąd. Temperatura w pokojach nie przekraczała dziesięciu stopni. Wykąpać się pod prysznicem było trudno, bo na korytarzu zrobiło się jeszcze chłodniej. Pół roku później dostałam mieszkanie, pokój z kuchnią w Kwadracie, naprzeciwko sztabu dywizji. Meble do mieszkania każdy brał z oddziału kwatermistrzowskiego. Płaciło się za dzierżawę. Niektórzy w ogóle nie meblowali mieszkań, żeby przyoszczędzić. Przed blokiem na ławce siedziały najczęściej żony oficerów i plotkowały. Nie lubiły nas, pracowników cywilnych. Uważały, że zabieramy ich mężom pracę. Dookoła mieliśmy wszystkie sklepy: z żywnością, chemią i ubraniami, księgarnię. Niedaleko znajdował się punkt rozdania przydziału produktów (pajok) z paczki: półtora kilograma mięsa na osobę miesięcznie, masło, śledź, chleb. Wtedy były czasy deficytów, dlatego każda jednostka dostawała talony. Teoretycznie wszyscy powinni byli dostawać po równo. Ale pułki były duże, a talonów mało. W jako tako dużych pułkach talony dochodziły tylko do dowództwa. Talony były na obuwie, odzież wierzchnią – kurtki, płaszcze, bluzki, sukienki. Na swój rozmiar nie zawsze się trafiało, więc ludzie brali w nadziei, że przyda się komuś z krewnych w Rosji. Kiedy przychodziła dostawa, to pierwsze docierały do niej żony dowództwa. One, o ile wiem, brały wszystko, co im potrzeba, bez talonów. A już potem to, co zostało, trafiało dalej do pułków. Jedzenie mieliśmy z paczki za talony albo trzeba było odwiedzać sklepy, gdzie udawało się coś dokupić. W tamtych czasach w porównaniu z Petersburgiem asortyment

w tych sklepach nie wyglądał zachwycająco. Ale dla osób z innych regionów Związku Radzieckiego było to jako tako, całkiem w porządku. Wyjazdy na polskie terytorium nie były dobrze widziane, a raczej były zakazane. Ale nasz naród wszelkimi sposobami próbował dostać się do Szczecinka. Przepustek na wyjazd do Szczecinka nie trzeba było mieć. Ludzie jechali tam przede wszystkim po ciuchy i alkohol, bo u nas w kraju i w dywizji była prohibicja i w jednostkach nie sprzedawano alkoholu. Ale naród z powodzeniem pędził bimber z wody, drożdży i cukru.

Przedwczoraj u Niemców na polach zbieraliśmy pomidory. Więcej zeżarliśmy, niż zebraliśmy. A żarliśmy też tylko do momentu, aż znaleźliśmy niedaleko ogródek z jabłkami, gruszkami i śliwkami. Tak przepracowaliśmy cały dzień. Tylko raz pojechaliśmy do pracy w niemieckiej fabryce dżemów, konfitur i marmolady. Przywieźliśmy sobie stamtąd trzy dziesięciolitrowe słoje z marmoladą i konfiturą. Starczyło na całą dywizję. Tylko że teraz Niemcy nie chcą nas więcej zapraszać.

(lipiec 1985 roku)

R jak roskładka

Igor Alejnikow:

– Karmili kiepsko. Była na przykład sieczka, która powstawała z różnych startych drobno zbóż. Gotowali ją codziennie, ale za każdym razem pod inną postacią: raz dodawali do zupy, innym razem gotowali z niej kaszę. Kolory tych dań też były inne: od przypominającego asfalt do białego. Można więc powiedzieć, że kuchnia była różnorodna. Czasem dawali kaszę gryczaną, rzadko się zdarzał ryż. W dni wolne dostawaliśmy po dwa gotowane jajka. Rano i wieczorem po piętnaście gramów masła. W każdą środę była ryba. O! A w purée ziemniaczanym parę razy natrafiałem na mysie ogonki. Ale jeść chcesz, więc przesuwasz ten ogon i jesz dalej. Rybę dawali zepsutą. Przywozili ją w dużych zamrożonych bryłach. Kiedy się ją rozmrażało, w całym pomieszczeniu śmierdziało. Ale ryba to nie było samodzielne danie, raczej dodatek do jedzenia. Wszystkie porcje obliczano w Ministerstwie Obrony Narodowej. Oni tam stwierdzili,

że żołnierz potrzebuje tyle a tyle ryby. Więc te porcje były raczej jako suplementy diety.

Normy dziennej diety żołnierzy Armii Radzieckiej w 1990 roku:

chleb pszenny – 400 g

makaron – 40 g

kasze, ryż – 120 g

mięso – 150 g

ryba – 100 g

margaryna – 20 g

ogórki, pomidory, nowalijki – 40 g

ziemniaki – 600 g

Wasilij Bierdnikow, w latach 1989–1991 służył jako kucharz w Świdnicy, Szprotawie i Świętoszowie:

– Do moich obowiązków należało oporządzanie produktów, czyli krojenie mięsa, warzyw, patroszenie i krojenie ryby. No i oczywiście gotowanie potraw. Potrawy gotowano według roskładki, czyli schematu żywienia, z zachowaniem norm co do ilości i zawartości poszczególnych produktów. To był nasz najważniejszy dokument. Jak na wojsko, w moich stołówkach jadało niezbyt dużo ludzi, do czterystu osób. Dzięki temu jedzenie było, można powiedzieć, jadalne. W Świdnicy sala oficerska znajdowała się w żołnierskiej stołówce. Oficerowie jedli z jednego gara z żołnierzami. Mało tego, żywili się tam też towarzysze ze sztabu. A w Szprotawie z kolei menu dla oficerów było inne niż dla żołnierzy. Pamiętam, że oficerowie mieli nawet wołowe ozory w śmietanie. Popularny był bigos. Jak byśmy się starali, smak wychodził zawsze obrzydliwy. I śmierdziało koszmarnie. Dlatego „bigosem” zaczęto nazywać każde niejadalne danie w stołówce.

Nadieżda Dmitrijewna, żona radzieckiego oficera, w latach 1985–1992 kierowniczka garnizonowej stołówki:

– Nie wiem, z czego u was gotuje się go oryginalnie, ale u nas w jednostkach bigos robili ze wszystkiego. Podgniłej kapusty, obierek ziemniaków, starego mięsa albo zmielonej tuszonki z konserw

turystycznych. A mięso! Kiedyś do stołówki w Świdnicy dotarło mięsiwo w puszkach. Przebijała pieczątka z niemieckim orłem. Znaleźli w poniemieckich bunkrach. Dodali do kotletów i nakarmili żołnierzy. Z tych samych bunkrów wyciągnęli puszki z sokiem winogronowym. Data ważności: 1945 rok. A dowództwo podzieliło je między poborowymi i rozdało na weekend.

Jelena Władimirowna, w latach 1988–1992 medyk w sanczasti (oddziale medycznym) w Legnicy:

– Jeden chłopak przez kilka tygodni skubał sobie paznokieć. W końcu wdało się zakażenie, stopa spuchła, niemożliwe było włożenie obuwia. I chłopak trafił do nas. Innych dwóch się pobiło. Celowo. Dali sobie po razie, twarze ozdobili krwiakami. Potem oczywiście poszli za karę do izolatek, ale najpierw trafili do nas. Skaleczyli się nie dla wagarów, ale dla pożywienia. Jedzenie dla chorych dostarczali ze stołówki dla oficerów i dowództwa.

Dziś święto [rewolucji październikowej] *– najlepsze życzenia! Pobudka była o siódmej rano zamiast szóstej. Po śniadaniu mieliśmy konkurs na najlepsze wykonanie piosenek wojskowych między plutonami. Nasz pluton zajął 1. miejsce. W nagrodę dostaliśmy jabłka, gruszki i ciastka. Potem poszliśmy do kina. W ogóle to bardzo często chodzimy do kina – w soboty, niedziele, czasem w normalne dni po kolacji. Potem mieliśmy najważniejsze – świąteczny obiad. Oprócz codziennych dań, czyli barszczu, kisielu, kaszy gryczanej, na stołach były: jabłka, gruszki, cukierki, wafle, ciastka, lemoniada. Nażarliśmy się na całego! W ogóle w wojsku częściej ma się ochotę na coś słodkiego niż w domu. A pamiętacie, jak w domu nie jadłem kotletów? Tutaj wszamałbym nawet cudze. Czekam na wypłatę, by skoczyć do kawiarni w naszej jednostce. Tam sprzedawane są różne cukierki, ciastka, słodkie napoje.*

Wieczorem mieliśmy świąteczne zebranie. Z koncertem przyjechał do nas niemiecki zespół pieśni i tańca.

(7 listopada 1984 roku)

Sz jak szkolniki

Rodzice Iriny Kosienko zastanawiali się, czy nie odesłać jej do ZSRR. Irina była córką radzieckiego oficera, chodziła na polskie dyskoteki. Jedna z koleżanek, Iwona, uczyła ją polskiego. „Ojciec przez ciebie dostaje reprymendy” – strofowała córkę matka. Gdy Irina pisała egzamin maturalny, pilnował jej człowiek ze służb specjalnych. Z powodu kontaktów z Polakami była niepewnym elementem.

Razem z radzieckimi oficerami przyjeżdżały tu ich żony i dzieci. Chodziły do radzieckich szkół w garnizonach.

– Myślałem, że wszystkie „republiki przyjaźni” wyglądają tak samo – mówi Alksander Miedwiediew, który również jako dziecko radzieckiego wojskowego mieszkał w Polsce.

Wyjeżdżał z Mińska przy minus dwudziestu stopniach, miał na sobie śniegowce, futro z postawionym kołnierzem i obwiązanym dookoła szalikiem. O piątej rano pociąg dotarł do Legnicy. Gdy wysiadł na peronie, minął go jakiś biegacz w stroju sportowym. Ktoś inny w dresach ćwiczył gimnastykę, a szkolniki, czyli uczniowie, szli na lekcje w lekkich kurtkach. Dwa dni Aleksandr nie chodził do szkoły, trzeba było pojechać na targ i kupić nowe ubrania.

– I wtedy na straganach zobaczyłem znaczki pocztowe z nagimi kobietami, świerszczyki. Sprzedawała to jakaś dziewczyna. Mówiła: „Chodź, obejrzyj”. A ja sobie myślałem: „Matko, jaka prostytutka, pornografią handluje”. Niby takie państwo jak u nas, a jednak inne.

Irina Kosienko do Polski po raz pierwszy przyjechała w lutym 1983 roku.

– Padał śnieg, wielkie płatki jak w bajce. Przyjechałam z Chabarowska i też mieliśmy tam często śnieg, ale ten zrobił na mnie duże wrażenie. Legnica bardzo się różniła od Chabarowska, który był młodym miastem, nie miał starówki i takich wiekowych budynków.

Dzieci polskie i radzieckie bawiły się w piaskownicy. Konflikty zaczynały się z wiekiem, gdy szły do oddzielnych szkół. Polscy chłopcy

położyli na środku drogi piłkę, do której wsypali gruzu i gwoździ. Do przechodzącego tędy akurat radzieckiego rówieśnika krzyknęli: „Ruski, podaj”. Kopnął. Złamał sobie kość w stopie.

Michaił Złatkowski (grafik znany na Zachodzie jako Mikhail Zlatkovsky) w generalskiej willi Kwadratu spędził lata 1945–1952: „Pamiętam, że nasz wielki dom otoczony był wspaniałym ogrodem. Kiedyś zostawiłem w nim swoje zabawki. Jakiś mały polski chłopiec chciał sięgnąć po jedną z nich przez ogrodzenie. Wybiegłem, przestraszył się i uciekł. „Jak chcesz, to ci ją dam. Weź”, powiedziałem. „Chciałem ją ukraść, a nie dostać”.

Jurij Asaułow mieszkał w Legnicy nieco później, w latach 1956–1963: „Niekiedy widziałem, jak polscy chłopcy z oddali rzucali kamieniami w naszych żołnierzy. Ale częściej widziałem, jak prosili żołnierzy: »Daj gwiazdkę«”.

Irina Kosienko przyjechała niedawno do Legnicy i poszła odwiedzić dawne mieszkanie przy ulicy Wojska Polskiego. Zrobiła sobie pamiątkowe zdjęcie na tle budynku.

– Do środka nie wchodziłam, teraz tam inni ludzie mieszkają. Głupio.

Na zawodach bokserskich w Lipsku chłopak z naszej dywizji został znokautowany. Upadł i uderzył się głową o podłogę. Nie szło go ocucić. Powieźli go do szpitala, zostawili nieprzytomnego. Do Gery wróciliśmy bez niego. Wczoraj się dowiedzieliśmy, że on zmarł, nie odzyskując przytomności. W wojsku był dopiero dwa miesiące. Jutro będą wysyłać jego ciało do domu.

(23 grudnia 1984 roku)

W jak wyroki

Tatiana Niedźwiedzka:

– Moim ojcem-dowódcą był wtedy Waraksin Gieorgij Zotiejewicz. Do moich obowiązków należało tłumaczenie spraw karnych z rosyjskiego na polski i z polskiego na rosyjski, ale też uczestniczenie w przesłuchaniach. Przesłuchiwano zarówno naszych wojskowych, jak i polskich

mieszkańców. To były albo sprawy karne (rozbój, kradzieże), ale o niszczenie mienia, które najczęściej zdarzały się wtedy, kiedy nasze wojska wyjeżdżały na szkolenia w teren. Na przykład jechali nasi na ćwiczenia, skrócili drogę przez pola, zniszczyli uprawy. Rolnik poszedł na skargę do milicji, milicja do nas, a my zakładaliśmy akta na sołdatów.

Jadwiga Mamoń w 1973 roku jako jedyna w legnickiej milicji miała za sobą państwowy egzamin z języka rosyjskiego. Powierzono jej więc sprawy związane z obywatelami radzieckimi.

„Bardzo kłopotliwą dla dowództwa PGWAR sprawą było wykrycie przez milicjantów gangu okradającego samochody. Stanowiło go kilkunastu synów oficerów radzieckich. Kilku z nich wpadło podczas włamania do auta. Grupa miała na koncie ponad pięćdziesiąt okradzionych samochodów. Zabierali z nich radia, lusterka i inne akcesoria. W końcu ich wyłapano" – opowiadała w „Gazecie Wrocławskiej".

Wysoki wyrok – piętnaście lat więzienia – orzekł sąd PGWAR dla radzieckich obywateli, którzy zabili Polaka 21 marca 1989 roku w Sypniewie. W Starowicach żołnierz radziecki pobił śmiertelnie obywatela polskiego. Prokuratura PGWAR skazała go na jedenaście lat pozbawienia wolności.

Jadwiga Mamoń: „Rosjanka pracująca w kuchni wojskowej wsiadła do taksówki. Poprosiła, żeby zawieźć ją do domu. Nagle wyciągnęła nóż i uderzyła nim kierowcę. Uciekła. Została jednak szybko złapana. Polski sąd skazał ją na więzienie. Wyrok odsiadywała w jednym z naszych zakładów karnych. Przedstawiciele władz radzieckich zapytali ją, czy nie zgodziłaby się odbyć kary w ZSRR. Stwierdziła jednak, że polskie więzienie się jej podoba. Pracuje tam w pralni. Ma dobre jedzenie. I lepiej jej się żyje niż na wolności w ZSRR. Głośno było o morderstwie popełnionym na trzydziestoletnim obywatelu radzieckim, pracowniku cywilnym. Jego ciało znaleziono ukryte w wersalce w mieszkaniu przy ulicy Armii Czerwonej, dzisiaj generała Andersa. Ten człowiek znał wielu Polaków. Spotykał się z nimi. Milicja sporządziła nawet portret pamięciowy osoby podejrzanej o zabójstwo, ale go nie złapano. A już pod koniec mojej pracy, na początku

lat dziewięćdziesiątych, kilku Polaków zgwałciło córkę radzieckiego pułkownika. Jednego z nich namierzyliśmy, bo zgwałcona dziewczyna opisała, że miał czerwone spodnie”.

Katastrofa. Zniknął automat [kałasznikow]. *Szukaliśmy dwie doby, ani na chwilę nie kładliśmy się spać. Zasypialiśmy na stojąco. Nocą szukaliśmy przy świetle księżyca i latarek. Znaleźliśmy w sławojce, kiedy wydobyliśmy stamtąd całe gówno. Wrzucił go tam jeden młody Czeczen, bo chciał się zemścić na koledze. Trwa śledztwo, pewnie będzie sąd.*

(8 lipca 1986 roku)

Z jak Zapad

Podpułkownik Rustam:

– Z oficerami Wojska Polskiego widywaliśmy się regularnie. Byli na lotnisku w Oławie. Razem skakaliśmy ze spadochronem. Przy lotnisku była bania, w której po wspólnych ćwiczeniach się wygrzewaliśmy. Potem szliśmy do baru. Polacy kupowali butelkę piwa i przez parę godzin ją sączyli albo jedną butelkę puszczali na czterech. A my zsuwaliśmy stoły, kupowaliśmy cztery skrzynie piwa i wyciągaliśmy suszoną rybę. Technik walił nią w stół, żeby pokazać, jaka twarda. Patrzyli na nas jak na dzikusów. Barman nic nie mówił, robiliśmy mu utarg. Razem z Polakami piliśmy i śpiewaliśmy *Podmoskownyje wieciera* (Podmoskiewskie wieczory). Jeden temat był tabu: polityka. Podczas wspólnych ćwiczeń krajów Układu Warszawskiego, w 1988 roku, i szczytu w 1989 roku niedaleko Bornego Sulinowa kąpaliśmy się z polskimi żołnierzami w jeziorze. Zagadnąłem jednego, czy daleko mieszka jego rodzina. Mówi: „Ooooj, daleeeeeko! Czterdzieści kilometrów stąd!”. Śmieszne. Ja miałem trzy tysiące kilometrów do domu.

Fanis Biktaszew:

– Do tej pory śni mi się w nocy Polska, śni mi się Zapad, czyli Zachód. Dla mamy przywiozłem chustę, piętnaście lat w niej chodziła. Mój mundur wojskowy nadal wisi w szafie.

Igor Alejnikow:

– Po skończonej służbie wracałem do Kłomina. Lubię powspominać.

Władimir Zudilenkow:

– Jestem pewien, że niedługo wszystko się ułoży, a wiatr rozwieje nad nami czarne chmury. Ale jest problem! Czy naród rosyjski wybaczy innym? Czy wybaczy Polakom, że go zdradzili? Zapomnieli o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. W sąsiednim kraju faszyzm podniósł się z kolan. Ludzi zabijano bez sądu i śledztwa. A Polska o tym zapomniała. Przecież nic złego Polakom nie zrobiliśmy. Jak tak teraz sobie o tym myślę, to polski naród po prostu chciał zmian. Wtedy oczywiście o tym tak nie myślałem.

Fanis Biktaszew:

– W moim mieście w Baszkirii nazywają mnie „Polakiem”. Jestem przewodniczącym Stowarzyszenia Weteranów Wojsk Układu Warszawskiego, które założyłem. Mam w stowarzyszeniu też „Niemców”, „Mongołów”, „Węgrów”. Na rocznicę wycofania wojsk robimy pamiątkowe medale dla weteranów służby w Polsce. Będzie napisane: „Nagrodzony pamiątkowym medalem na 25-lecie wycofania”. Będziemy chłopakom wręczać, we wrześniu.

Kłomino. Widmo i las

Las podchodzi coraz bliżej. Korzenie wgryzają się w mury. Mech porasta chodniki, spod pokrzyw i trawy przebija plac defiladowy. Spomiędzy betonowych kikutów wyrastają dzikie krzewy. Ze szkieletów ukrytych między sosnami i brzozami bloków zwisają kable. Raj złomiarzy, miasto widmo dla dwunastu mieszkańców. Kłomino. Dojechać można, tylko błądząc wąskimi leśnymi drogami, które były kiedyś wewnętrznymi drogami garnizonu.

– Mijamy pierwszy punkt kontrolno-przepustkowy. – Igor Alejnikow pokazuje na krzaki. Wracamy z nim z atomowego bunkra. – Tu jeszcze mogli dojechać Polacy. Las, który zjada garnizon, za moich czasów był raczej parkiem, trawa była podcięta, droga szeroka – tłumaczy.

Budowę Kłomina zakończono w 1972 roku. Było ogrodzone potrójnym płotem i drutem kolczastym pod napięciem. Za drutem pięć tysięcy mieszkańców, żołnierzy i oficerów z rodzinami, sklepy, koszary, garaże, kino.

Kiedy żołnierze wynieśli się stąd w 1992 roku, Kłomino zostało własnością Skarbu Państwa. Umierało powoli. Las podchodził bez pośpiechu.

Gdy pod koniec lat dziewięćdziesiątych Kłomino przejął samorząd, szabrownicy, nazywani w Kłominie „ekologami”, w połowie już oczyścili miasto. Wykuwali z tynku przewody elektryczne, wymontowywali drzwi do mieszkań i umywalki, zrywali kaloryfery i rury centralnego ogrzewania. Do mieszkań dostały się wilgoć i zimno, tapeta odchodziła ze ścian, wykładzina na podłodze puchła jak ciasto. Po dachówkę przyjeżdżały traktory z przyczepami. A korzenie drzew sięgały fundamentów. Gałęzie zaglądały w okna.

Plany na Kłomino były wielkie: mieli się tu sprowadzić osadnicy za mienie zabużańskie, miały powstać ośrodek dla uchodźców, baza NATO, więzienie, ośrodek uzdrowiskowy, bloki dla rodzin z Kazachstanu, miasteczko dla emerytów albo poligon paintballowy. Zanim ustalono przyszłość miasta, las podszedł za blisko. Budynki zaczęły grozić zawaleniem i większość trzeba było wyburzyć.

W pobliskim Bornem Sulinowie remontowane były mieszkania komunalne. Lokatorów przeniesiono więc do Kłomina. W mieście widmie, na zesłaniu, zostali na dekadę. Piechotą szło się stąd pół dnia do najbliższej wioski, nie jeździł żaden autobus. Nie było ciepłej wody.

Aleksander zamieszkał w Kłominie z żoną Jolantą i dwójką dzieci. Raz w lesie znalazł ciężarowego kamaza przykrytego liśćmi, pełnego min. Innym razem zawołał go syn – włożył rękę do rakietnicy pozostawionej w krzakach. Osiemnastoletnia Wioletta zamieszkała w Kłominie z mamą i młodszą siostrą. Wcześniej spalił im się dom. Marzyła, żeby się zakochać, ale z Kłomina trudno było wyjechać. Czasem przez kilka dni nie było prądu. O tym, że przyszedł Nowy Rok, dowiedziała się z nieba. W oddali zabłysły fajerwerki. W nocy lepiej było nie wychodzić z mieszkania, w świetle gwiazd trwał szaber.

Mieszkańców komunalnych w końcu przeniesiono. W Kłominie powstało wysypisko śmieci. Czasem ćwiczą tu policjanci z oddziałów antyterrorystycznych – udają, że odbijają zakładników z rąk porywaczy i odpalają ładunki wybuchowe. Po całym kilkutysięcznym miasteczku został tylko jeden wyremontowany blok, pośrodku lasu.

Ewa jest w nim właścicielką jednej klatki.

– Pracuję w kancelarii prawnej w Świdnicy. Przyszła do mnie kiedyś pewna kobieta. Jej mąż kupił za kosmiczną kwotę ten budynek w przetargu. I zmarł. Musiała zapłacić ogromny podatek. Doradziłam, co zrobić, a ona powiedziała, że jak się uda, to połowa budynku dla mnie. Machnęłam ręką. Zadowolony klient zawsze obiecuje złote góry. Ale po pół roku stanęła w drzwiach: przyszła się rozliczyć. Rodzicom oddałam dwa mieszkania, siostrze jedno. Panu Stanisławowi sprzedałam za bezcen dwie skrajne

klatki. Mieszkają tam pracownicy z jego gospodarstwa rolnego, które prowadzi w okolicy. To, że Kłomino jest opuszczone, potraktowałam jako atut, chciałam trafić do ludzi z marzeniami. Przeliczyłam się. Zostałam tak z tym gruzem w lesie. Ale do miasta widma jeździmy sobie przynajmniej na urlop w majówkę – mówi.

Jedno z mieszkań w bloku wykupił Igor.

– Tamte dwa czteropiętrowe „leningrady" były budowane na moich oczach, stawiali je polscy robotnicy. A ten ostatnio został zburzony. Gdy tu trafiłem do wojska, miał dopiero wykopany dół pod fundamenty. Wiecie, nowoczesne były jak na tamte lata. Zapalasz na dole światło, wchodzisz na piętro, a światło na klatce samo gaśnie. Rozdziawialiśmy wtedy usta, że taka technologia. W „leningradach" mieszkali oficerowie. Szeregowi tłoczyli się w poniemieckich garnizonowcach… – opowiada.

– Igor?

– Tak?

– Dlaczego tu ciągle wracasz?

– Tu, w zamknięciu – odpowiada po chwili, kiedy maszerujemy razem po tym, co zostało z placu defiladowego – wszystko wydawało się prostsze. Wiedziałeś, co robić. Najlepsze lata spędziłem w Kłominie. Z chłopca zmieniłem się w mężczyznę.

– A co mówią ludzie, kiedy słyszą, że tu służyłeś?

– Polacy? Pytają, gdzie zakopano kabel telefoniczny. Kabel to miedź, to ołów. W skupie za metr można podobno dostać pięćdziesiąt złotych. A ja wiem, którędy się on ciągnie do samego Bornego Sulinowa, to dziesięć kilometrów.

– I mówisz im?

– Nie mówię, bo mi żal. Kiedy wyjeżdżałem, zaczynała się budowa nowej stołówki żołnierskiej. Przyjechałem w 2004 roku, jeszcze była w idealnym stanie. Wziąć ziemniaki, garnek i gotować. A teraz nic już nie ma. Zostało tylko to, co pod ziemią. Kanalizacją można dojść w wiele miejsc, i ja wiem jak. Jest tu studnia: wrzucasz tam kamień, słychać, jak spada na kafelki. Musi tam być jeszcze jedno piętro pod ziemią. Pewien

oficer powiedział mi, gdzie znajduje się wejście. Nie chcę go pokazywać Polakom, bo zniszczą jak stołówkę.

– Ale po co tu ma być stołówka?

– A po co niszczyć? Boli mnie, jak ją rozbierają na cegły. Bo czuję się, jakby mnie tu okradano – odpowiada Igor pośrodku szumiącego lasu.

Festiwal romansu (1965)

– „Sierioża, w polskich kinach jest film o twojej matce”, powiedział przez telefon wujek Stiepan. Wujek przed laty służył w Świnoujściu, poznał tam polską rodzinę, z którą wymieniali listy. Napisali mu o filmie. Moja mama nie żyła od czterdziestu czterech lat – opowiada Siergiej Nowikow. – Włączyłem przeglądarkę internetową i zacząłem szukać. W jednej recenzji przeczytałem, że pierwowzorem głównej postaci jest Lidia Nowikowa. Znalazłem piracką wersję filmu i zacząłem ściągać. Długo szło, przerywało. Kiedy pasek postępu doszedł do stu procent, zrobiłem sobie herbatę, usiadłem w fotelu i włączyłem.

6 października 1965 roku, wieczór. Jadwiga Mamoń ma dwadzieścia lat, jest praktykantką na komendzie milicji w Legnicy. Miesiąc wcześniej została przydzielona do grupy operacyjno-dochodzeniowej. Właśnie słucha, co mówi do niej przejęty dyżurny: „Zgłosiło się dwóch chłopców, wracali z grzybów przez Lasek Złotoryjski i na konarze jednego z drzew zauważyli wiszące ciało”. Jadwiga Mamoń jedzie to sprawdzić z drugim milicjantem. Szukają w parku wskazanego drzewa, jest ciemno, więc konary oświetlają reflektorami samochodu. Kobieta, na którą pada snop światła, wygląda, jakby stała na palcach i trzymała się gałęzi. Ale to złudzenie, gałąź nadłamała się od ciężaru ciała i jej stopy tylko muskają ziemię. Ma blond włosy, bluzkę z krótkimi rękawami, czarną spódnicę. Wisi na kolorowej apaszce skręconej w sznur. Nos i oczy wydziobały już ptaki. Zostaje zidentyfikowana. To zaginiona Rosjanka, poszukiwana od trzech dni żona radzieckiego oficera. Mamoń przekazuje więc sprawę radzieckiej prokuraturze. Do domu musi ją odprowadzić kolega. Tej nocy i kilka następnych będzie spała z siostrą. To pierwsze zwłoki w jej milicyjnej karierze.

– Dziecięcy rower, którym jeździłem po parku i po garnizonie. Jednopiętrowy dom, w którym mieszkaliśmy nad Kaczawą. W piwnicy węgiel, którym pomagałem ojcu grzać w piecu. Eleganckie garniturki, szyte na miarę przez mamę dla mnie i mojego brata Walerija. Korytarze podstawówki przy Lotniczej. Tyle. Niewiele pamiętam z Polski – mówi Siergiej Nowikow z Mińska na Białorusi. Do Legnicy przyjechali w 1962 roku. Ojciec Zinowij był starszym lejtnantem w pułku lotnictwa transportowego. – Zajmował się zaopatrzeniem. W domu zazwyczaj go nie było, latał w delegacje. Mama Lidia pracowała jako bufetowa w stołówce dla lotników. Szyła też i dziergała, dobrze jej to wychodziło. Zamawiały u niej żony oficerów, a później również Polki. Rozmawiała z nimi po polsku, bo nauczyła się od babci w rodzinnej wsi Kustowicze na Białorusi. Tamtej jesieni zacząłem drugą klasę. Któregoś dnia okazało się nagle, że musimy wyjechać. Nie pamiętam, czy rodzice tłumaczyli mnie i bratu dlaczego. Wszystko działo się w pośpiechu, w nerwach. 2 października wracałem ze szkoły. Mama stała na ulicy, przed domem. Rozmawiała z sąsiadką, ciocią Niną. „Może przyjdę pomóc, szybciej wam pójdzie to pakowanie”, proponowała Nina. Mama mnie zauważyła i pogłaskała po głowie. Powiedziała, że musi gdzieś pójść, coś załatwić. I że zaraz wróci, i potem razem będziemy zbierali do walizek moje zabawki. Ubrała się lekko, choć siąpiło i zrobiło się już dość chłodno. Miała na sobie bluzkę z krótkimi rękawami i spódnicę, które sama uszyła. Na szyi zawiązała kolorową apaszkę – przypomina sobie Siergiej Nowikow.

Tej nocy jego matka nie wróciła do domu. Następnego dnia po południu pod szkołę na Lotniczej podjechał radziecki oficer, przyjaciel ojca. Powiedział Siergiejowi i jego bratu Waleremu, że zabiera ich za granicę. Potem zawiózł ich do hotelu w Brześciu, a tam oznajmił: „Poczekacie tu na rodziców”.

– Nic więcej nie mówił – przypomina sobie Siergiej. – Po kilku dniach w drzwiach stanął ojciec. Sam. „Mamy nie ma. Umarła”, powiedział. Popłakałem się. Nie pytałem, co się stało, wtedy nie było to dla mnie

ważne. Potem dowiedziałem się, że gdy czekaliśmy w hotelu w Brześciu, mamę znaleziono na drzewie w parku i odbył się jej pogrzeb.

8 października 1965 roku. Na cmentarzu tłumy, jakich Legnica dawno nie widziała. Tak opowiadają dziś mieszkańcy Legnicy i tak piszą dziennikarze: „nieprzebrane tłumy", „całe miasto przyszło". Czas szlifuje wspomnienia jak morze kamienie. Trudno z tej historii wyłowić jej pierwotny kształt. Czy tak było? Czy żałobników i chryzantem przybywało z czasem?

Tadeusz Gumiński, badacz historii Legnicy i twórca Muzeum Miedzi, śmierć i pogrzeb Nowikowej zapisał w notatkach: „Przyczyną tragedii było polecenie wyjazdu z Polski w ciągu trzech dni denatki i jej męża. Zachowanie jej, charakteryzujące się licznymi kontaktami z Polakami, miało budzić zastrzeżenia".

Polak, z którym kontakty budziły zastrzeżenia radzieckich władz, miał być tylko jeden. Wiera Szeriemienko, siostra Lidii, przypomina sobie, że na wakacje do rodzinnej wsi Kustowicze siostra przyjechała z różą. Wytłumaczyła, że dostała ją od pewnego Polaka. Polak ten miał nazywać się Edward Jońca (to już informacja od dawnych sąsiadów). Był żonaty, miał małego syna i pracował w Wojskowej Służbie Wewnętrznej w stopniu sierżanta. Jego żona uczyła w technikum elektronicznym.

Z Lidią mieli poznać się w Domu Oficera na tańcach (tak opowiada siostra Lidii Wiera Szeriemienko). Nie, to niemożliwe, polski sierżant nie chadzał tańczyć do Domu Oficera, poznali się na podwórku, przy garażu, mieszkali niedaleko siebie (to dawni sąsiedzi).

Co było między nimi? Gdzie się spotykali? (Podobno w piwnicach, żeby nikt ich nie zobaczył, wspominają sąsiedzi). O czym rozmawiali?

A może nie było żadnego romansu i żadnego polskiego oficera, był tylko donos do władz za tańce z Polakami, za szycie sukienek dla Polek?

Takie rzeczy też się działy.

Nie, nie, to była miłość, największa miłość, jaką widziało miasto (mówią dziś mieszkańcy Legnicy, którzy opiekują się grobem Lidii).

Podobno to żona Edwarda poszła do prokuratury (twierdzą sąsiedzi oraz siostra Wiera). Zinowij i Lidia zostali wezwani na rozmowę dyscyplinarną i dostali nakaz wyjazdu. Człowiek radziecki nie miewał romansów, a zażyłe kontakty z Polakami były zabronione.

W romans nie wierzy Siergiej Nowikow:

– To była tylko miłość platoniczna. Polski oficer jedynie się zalecał. Jego żona się poskarżyła i to była już poważna sprawa. KGB strzegło moralności radzieckiego człowieka.

Wiadomo tylko, że podczas pakowania walizek Zinowij mocno pilnował Lidii. Powiedziała mu, że idzie po papierosy, ubrała się lekko. Po drodze porozmawiała z sąsiadką, pogłaskała po głowie Siergieja.

Potem znaleziono ją w parku.

Dlaczego to zrobiła? Nie wyobrażała sobie życia bez Polaka (o tym są przekonani dawni sąsiedzi oraz mieszkańcy opiekujący się jej grobem)? A może bała się życia po powrocie? Złości męża? Do Lasku Złotoryjskiego musiała przejść pół miasta, dlaczego tam, skoro park miejski był po drugiej stronie drogi? W samobójstwo nie wierzy Wiera. Uważa, że siostra zbyt uwielbiała życie, by sobie je odbierać. Tylko że tak zawsze mówią bliscy samobójców. W samobójstwo wierzy, choć przychodzi mu to z ogromnym trudem, Siergiej.

– Tak bardzo nas przecież kochała – wzdycha.

Na pogrzebie 8 października (niech będzie taki jak w opowieściach, pełen ludzi i kwiatów) zjawia się podobno jej ukochany Edward Jońca, przynosi różę (to jedna z wersji opowiadanych na mieście). Podobno zostaje potem przeniesiony do Wrocławia i rozpada mu się małżeństwo (tu są dwie wersje: albo on miał pretensje do żony z powodu śmierci Lidii, albo to ona miała dość i zostawiła jego).

W archiwach Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu znajdują się dokumenty Edwarda Jońcy: ze służby odszedł pięć lat później, w 1970 roku, w stopniu ogniomistrza artylerzysty, miał wtedy trzydzieści osiem lat. Ludzie mówią, że zginął w wypadku samochodowym (nie ma żadnych dowodów). Założył nową rodzinę i wyjechał (nic o tym nie

wiadomo). Regularnie przyjeżdża na grób Lidii, zawsze zostawia różę (nikt go nigdy nie spotkał).

Wiadomo, że Lidia Nowikowa miała trzydzieści trzy lata, gdy jej ciało zostało znalezione w Lasku Złotoryjskim w październiku 1965 roku, tuż po tym, gdy dostała nakaz wyjazdu z Polski za kontakty z Polakami. A historia jej śmierci zaczęła potem krążyć po Legnicy w opowieściach.

Jako przyczynę samobójstwa radziecka prokuratura podała chorobę psychiczną. Radziecki człowiek nie popełniał samobójstwa.

A przecież miłość oficjalna była wielka i gorąca.

W latach pięćdziesiątych hucznie świętowano miesiące pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej, w zakładach pracy obchodzono wieczornice przyjaźni. W legnickim parku miejskim organizowano Festyn Przyjaźni, po drogach jeździł Wyścig Przyjaźni.

Na manifestacjach wyrażano „gorące uczucia, jakie żywimy do braterskiego Kraju Rad". Wzajemną przyjaźń i miłość sławiono w odczytach, w kronice filmowej i w prasie. Kursowały pociągi przyjaźni. Działacze Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej sadzili szpalery jarzębiny, które nazwali Alejami Drużb. Przy Domu Oficera w Legnicy powstał Międzynarodowy Klub Przyjaźni „Czerwony Goździk", w którym występowały zespoły muzyczne, omawiano zagadnienie „Synów bratnich armii łączy braterstwo broni", a dla radzieckich żołnierzy organizowano wycieczki pod hasłem: „Poznaj kraj, w którym służysz". W Białogardzie, czyli radzieckim garnizonie nazywanym „Betlejem" z powodu czerwonej gwiazdy na koszarach przy trasach wylotowych, z okazji Dnia Zwycięstwa i Dnia Kobiet organizowano bratersko-siostrzane spotkania w zakładach pracy, podczas których zapewniano się o wzajemnych gorących uczuciach.

Tymczasem za prawdziwie poufałe, przyjacielskie albo miłosne kontakty między żołnierzami radzieckimi a Polakami groził nakaz wyjazdu. W niektórych wypadkach mogło się skończyć zesłaniem w odległe miejsca na mapie ZSRR.

Czy to dlatego historia Lidii Nowikowej tak szybko zaczęła krążyć po Legnicy? Opowiadana w kolejkach i przy obiadach, w różnych wersjach, wariantach, z różnymi szczegółami. Zakazana miłość – na przekór rodzinom, klasie społecznej, niechęci etnicznej – najbardziej pociąga.

Swietłana Adamiec, która przyjechała do Legnicy w 1988 roku i została kierowniczką rosyjskiej apteki wojskowej w Legnicy, sprzedając leki, poznała Marka, cukiernika. Chodzili ze sobą kilka tygodni, gdy zauważyli, że są śledzeni. Kiedy złożyli wniosek o ślub (pracownicy cywilni mieli łatwiej), do Swietłany przyszedł oficer KGB. Pokazał zdjęcia robione z ukrycia. Złożył ofertę: zgoda na ślub za donosy.

„Wasz ojciec Michaił Jefimowicz Hadyka – tłumaczył oficer – to bohater wojenny. A wy, czy zrobicie to dla ojczyzny?" Odmówiła. W ciągu doby miała wrócić do ZSRR, ale jej przełożony, lekarz wojskowy, oddał jej paszport (władze zabierały go przy wjeździe). Przez dwa tygodnie do ślubu Swietłana i Marek ukrywali się.

Walentyna Gusiewa służyła w jednostce paliwowej w Raszówce. Pracowała tam jako tokarz. Zakochała się w Polaku, Edwardzie Lupie. Władze groziły, że odeślą ją do kraju. Matka Edwarda poradziła, żeby napisać list do przywódcy ZSRR Leonida Breżniewa. Dostali zgodę.

Ewę poznała z Olegiem przyjaciółka. Miał pomóc w zakupie wołowiny w radzieckim sklepie za murem. Był pracownikiem cywilnym prokuratury, żeby się pobrać, musiał złożyć wymówienie. Ślub wzięli w Rosji, w Nowogródku. Mieszkali tam przez trzy lata, bo na tak długo Oleg dostał zakaz przyjazdu do Polski. Ewa i Oleg prowadzą dziś w Legnicy warsztat samochodowy.

Potajemnych ślubów udzielał proboszcz Jan Mateusz Gacek z kościoła Najświętszego Serca Jezusa w Legnicy. Najwięcej polsko-radzieckich ślubów odbyło się na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy miłość stała się interesowna. Rosjanie chcieli zostać legalnie w Polsce, ślub z rozwodem kosztował w 1991 roku na czarnym rynku kilkanaście milionów starych złotych.

Romanse zawiązywały się w legnickiej restauracji Zodiak, w szkołach.

I na wsiach przy Bornem Sulinowie. Józefinie ze Starowic koło Bornego Sulinowa zostały po miłości beczka radzieckiego smalcu i córka Sylwia. Wiktor był oficerem. Gdy wyjeżdżał z ostatnimi kontyngentami rosyjskimi, Sylwii nie było jeszcze na świecie. Z początku pisał, że wróci. Potem przestał.

Opiekunka szkolnego koła Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej przy Zespole Szkół Samochodowych w Legnicy Raisa Slep organizowała spotkania przy samowarze: do polskich uczniów samochodówki przemycała na potańcówki Rosjanki ze szkół numer 30 i 32.

– Chodziliśmy na polskie dyskoteki – opowiada Irina Kosienko, która dzieciństwo spędziła w Świdnicy i Legnicy.

Mąż jej siostry był adiutantem dowódcy Północnej Grupy Wojsk Wiktora Dubynina, a ojciec radzieckim oficerem.

– Mieliśmy zakaz przyjaźni z Polakami, bo podejrzewano ich o szpiegowanie. Mama mówiła: „Przez ciebie nas wszystkich odeślą do domu, a tatę ukarzą”. W Świdnicy miałam sporo przyjaciół Polaków. Mieszkaliśmy w blokach obok. Jedna klatka schodowa zasiedlona Rosjanami, a wszystkie pozostałe Polakami. Razem chodziliśmy na dyskoteki, wyjeżdżaliśmy na wycieczki, były nastoletnie miłości. Za te spotkania rodzice chcieli mnie w końcu odesłać, żeby ojciec nie miał problemów. Mieliśmy umówiony znak: chłopaki głośno włączali muzykę, a my wiedziałyśmy, że pora wychodzić. Budynek miał dwa wyjścia – główne i tylne. Z tyłu za budynkiem zaczynał się park. Wymykaliśmy się więc tylnym wyjściem i śmigaliśmy do parku.

Na drzewach nożykiem wycinali: „aneż” i „żum”. Co znaczyło muż i żena, mąż i żona. Na wspak.

– Z hotelu w Brześciu pojechaliśmy z ojcem do Stiepianki, miasteczka wojskowego pod Mińskiem – opowiada dalej Siergiej Nowikow. – Przyjechała do nas babcia, mama ojca, pomóc zająć się mną i bratem. Dziadkowie ze strony mamy nigdy nie pogodzili się z jej śmiercią. Mieli żal do taty, że nie upilnował. Po dwóch latach ojciec się ożenił i mieliśmy

drugą matkę. Urodził mu się trzeci syn. Nigdy nie wracał ani do Legnicy, ani do tego, co się stało. O tym, że to było samobójstwo, dowiedziałem się od naszych sąsiadów, którzy byli naszymi sąsiadami również w Polsce. To była ta sama eskadra i w Mińsku dostali mieszkanie służbowe obok naszego. Kiedy dorosłem, chciałem już wiedzieć, dlaczego mama miałaby popełnić samobójstwo, ale jakoś głupio było mi pytać ojca. Nigdy o tym nie porozmawialiśmy, zmarł w 1992 roku. Chciałem być lotnikiem jak on. Nie dostałem się do szkoły, ale skończyłem studia techniczne, wstąpiłem do armii i służyłem w wojskach lotniczych. Odszedłem przed rozpadem ZSRR. Brakowało mi pieniędzy, ruszyłem handlować do Polski. Najlepiej znałem Legnicę, więc tam pojechałem. Pasek żołnierski, żelazko, zegarek. Sprzedawałem na rynku to, co znalazłem u siebie w domu. Potem odwiedziłem grób matki. Postawił go wujek Stiepan, który służył w Świnoujściu trzynaście lat po jej śmierci.

Kobieta z porcelanowej fotografii ma blond włosy i ciemne oczy. Urodzona: 10 października 1932. Zmarła: 8 października 1965 (błąd, 8 października był pogrzeb). Napis: „*Doczeri, mamie, siestrie*”, córce, mamie, siostrze.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wandale rozbili fotografię.

Dziś to jedyny rosyjski nagrobek na cmentarzu. Tylko z niego, po porządkach robionych w Legnicy z mogiłami radzieckimi, szczątki nie trafiły do zbiorowej mogiły. Pozostałych dwieście dziewiętnaście kobiet i mężczyzn leży w grobowcu z czarnego marmuru. Po premierze filmu do grobu Nowikowej ruszyły wycieczki. Mieszkańcy dopytywali w biurze cmentarza, czy grób na pewno zostanie. Nagrobek odnowiło Stowarzyszenie „Tarninów”, opłacili kwaterę na dwadzieścia lat.

Zastępczyni kierownika cmentarza Alicja Różycka mówiła: „To legnicka Julia. Musi zostać”.

Mniej więcej wtedy do Siergieja zadzwonił wujek Stiepan z wiadomością o filmie.

– Nie wiedziałem, że w Legnicy wszyscy znają jej historię. Nie wiedziałem, że w ogóle ktokolwiek ją zna – mówi Siergiej.

Waldemar Krzystek wychował się kilkaset metrów od radzieckiego Kwadratu w Legnicy. Na podwórku bił się z Rosjanami. Pierwsza dziewczyna, którą pocałował, była Rosjanką. Miała na imię Nona, startowali do niej we dwóch z Rosjaninem Saszką. Kiedy Waldek miał trzynaście lat, Nona zaprosiła go do domu. Przedarł się przez mur garnizonu, jej rodziców nie było, więc zaczęli się całować. Nagle zapiekło go ucho.

„Może tak jest, że od całowania piecze ucho" – myśli trzynastoletni Krzystek. Ale widzi, że to matka Nony ciągnie go i chce oderwać od córki.

O miłości i śmierci Lidii Nowikowej opowiedziała Krzystkowi matka, kiedy szli przez cmentarz w Legnicy. Trzydzieści lat później Waldemar Krzystek, reżyser, kręci *Małą Moskwę*, film o miłości żony radzieckiego pilota i polskiego oficera. W 2008 roku dostaje Złote Lwy za najlepszy film roku.

Nie robił dokumentacji. Scenariusz pisał na podstawie historii, która krążyła po mieście.

Ale w filmie mąż Lidii także jest lotnikiem. Oblatywaczem, który nie poleciał w kosmos z powodu choroby. Ma na imię Jura. Lidia to Wiera (a polski oficer to Michał, nie sierżant Edward, nie ma też żony ani dziecka). Zamiast szyć sukienki i pracować w bufecie, filmowa Lidia śpiewa zachwycająco na balach. Z romansu z polskim oficerem rodzi jej się córka. Lidia z ekranu planuje się też rozwieść. Czas także nie jest dokładny. Akcja filmu rozpoczyna się w 1967 roku, potem toczy w czasie inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

Ostatnie sceny filmu wyglądają tak: po wielu latach i po rozpadzie ZSRR Jura, mąż Wiery (czyli Lidii), przyjeżdża odwiedzić grób zmarłej żony. Jest z nim dorosła już córka Lidii i polskiego oficera. „To była największa miłość w naszym mieście" – mówi jej mieszkanka Legnicy, która przyszła

odwiedzić grób. Na cmentarzu pojawia się też z kwiatami polski oficer Michał, jej biologiczny ojciec.

Siergiej Nowikow siedzi w fotelu. Skończyła się herbata. Skończył film, który ściągnął z internetu.

– Wiem, że to tylko film. Że tak nie było. Ale jednak bardzo mi się podobał – mówi.

Potem siada przy biurku i pisze list do prezydenta Legnicy. „Chcielibyśmy się spotkać z panem, świadkami wydarzeń, z reżyserem filmu". Dodaje też, że chciałby zabrać matkę na Białoruś, do domu.

Do Legnicy przyjeżdżają: Siergiej, jego żona Tamara, ich syn Aleksandr z żoną Larysą oraz siostra Lidii Wiera. Spotykają się z reżyserem Krzystkiem i aktorami. W południe są na cmentarzu. Wiera całuje zdjęcie, Siergiej układa kwiaty, Tamara zapala świeczki. Wszystko filmują kamery regionalnej telewizji.

„Niech mama tu zostanie – mówi Siergiej. – To już nie jest prywatna historia naszej rodziny".

*

Grób odwiedza zawsze we wrześniu. Wtedy do Legnicy przyjeżdżają pieśniarze z Białorusi, z Rosji i Polski i śpiewają ballady o miłości.

– Spytali mnie ostatnio, jaką piosenkę lubiła moja mama. Jest taka jedna. Śpiewała ją zawsze przy stole: *Lata ulatują jak ptaki*. Pochodzi z filmu *Dobrowolcy* (Ochotnicy). W filmie radziecki oficer śpiewa kobiecie: „A lata lecą, ulatują jak ptaki. Brakuje czasu, by spojrzeć za siebie. Radość ze spotkań i gorycz rozstania, wszystko przeszliśmy, towarzysze przyjaciele. Na ścieżce, którą kiedyś szliśmy w miłości, dzisiaj rośnie krzew" – mówi Siergiej.

Każdego września w Legnicy odbywa się Festiwal Romansu Polsko-Rosyjskiego imienia jego matki.

Kęszyca Leśna. Chrystus i żołnierz

Stajemy jak wryci i rozdziawiamy usta. Obchodzimy go z tyłu i z boku, a teraz znów stajemy od frontu. Próbujemy go pojąć. Do czegoś odnieść, porównać z czymś, co znamy.

I nic.

Im dłużej się wpatrujemy, tym trudniej go zrozumieć, tym bardziej wydaje się dziwaczny, osobliwy.

Czołga się przed nami ogromne, zwaliste cielsko. W seledynowym mundurze wychodzi ze zwałów jak podziemne stworzenie z horroru klasy B. Prawą łapą, ogromną, podpiera się o grunt. Drugą zaciśniętą ma na zwoju kabli. Czołga się przez piasek w naszą stronę. Oczy ma jak śliwki, a usta wygięte w przerażeniu. Czy raczej rozpaczy? W każdym razie radziecki żołnierz wojsk łączności na pomniku wygląda, jakby tuż przed chwilą przeżył atak atomowy.

Pomnik stoi na głównym placu Kęszycy Leśnej, niedaleko Międzyrzecza – w dawnym radzieckim garnizonie Gródek (Armia Radziecka swoje garnizonowe miasteczka często nazywała Gródkami). Historia garnizonu jest dziwna jak pomnik. W czasie wojny niemieckie koszary nazywały się Obóz Dżdżownic i były częścią Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Stacjonował tu Legion Waloński belgijskiego faszysty Léona Degrelle’a. Przy Jeziorze Kęszyckim szkoliły się też hinduskie, tadżyckie, uzbeckie i ormiańskie oddziały Hitlera. Po wojnie garnizon zajęło Ludowe Wojsko Polskie, a po 1956 roku – łącznościowcy Armii Radzieckiej. Wtedy zaczęły krążyć plotki. Prokurator wojskowy Aleksandr Liskin, który służył w Gródku w latach sześćdziesiątych, rozpowiadał, że pod koszarami i dalej pod dnem jeziora ciągną się labirynty korytarzy Obozu Dżdżownic, zabezpieczone mechanicznymi pułapkami jak z filmów przygodowych. Że bunkry są zasilane przez podziemną

elektrownię wodną i można tam znaleźć tajną broń i skarby Hitlera. Szukać skarbów (a najpierw jednak samego wejścia do labiryntu) przyjeżdżali do Kęszycy w czasie urlopu radzieccy oficerowie ze Świętoszowa, z Legnicy i z Pstrąża. Kiedy Rosjanie wyjechali, mieszkańcy pobliskiej wsi Nietoperek dołożyli swoją opowieść: radzieckie wojsko miało potopić w jeziorze wszystkie czołgi, transportery i granatniki.

Nurkowie, którzy sprawdzali jezioro, nie znaleźli labiryntu ani czołgów, tylko parę rowerów i jeden aparat do pędzenia bimbru.

Do dawnych koszarowców po armii wprowadzili się ludzie i powstała wieś – Kęszyca Leśna. Jeden plac, podstawówka, ochotnicza straż pożarna, dom kultury. W radzieckiej stołówce działa Lubuski Nazaret, diecezjalny ośrodek konferencyjno-wypoczynkowy. Wciąż w Kęszycy jest sporo pustostanów. Mają wybite okna, a na murach napisy „SPRZEDAM” i numery telefonów.

– Po ile te radzieckie koszary? – pytamy, dzwoniąc pod jeden z nich. Starsza pani, która odbiera, niedosłyszy. Krzyczy do słuchawki, że pół miliona. Czterystumetrowy budynek kupiła, bo chciała odsprzedać z zyskiem. Czeka na klienta od dwudziestu lat.

Wracamy pod pomnik.

I nic.

Nic się nie zmieniło. Dalej nie mieści się nam w głowach. Pod wykrzywionym łącznościowcem spotykamy Jerzego Kardelę ze Stowarzyszenia „Kęszyca Leśna Sobie i Sąsiadom”.

– Mieszkanie w Kęszycy kupiłem w 1996 roku. W promocji, bo w ramach rekompensaty za mienie zabużańskie – opowiada. – Ale sprowadziłem się dopiero osiem lat później, na emeryturę. Spokojny kącik, ludzie przyjeżdżają tu na wakacje, na grzybki. Ale trochę załatwiła nas fabryka pap, która otworzyła się pięćset metrów dalej. – Kręci głową. – A jak się nasz wojak… – Kardela celuje palcem w przerażoną twarz żołnierza – …podoba?

– Z jednej strony to paskudne. Ale z drugiej… w życiu czegoś takiego nie widzieliśmy.

– Dlatego to atrakcja.

– Siedzę w remizie naprzeciwko i mam na niego oko – dołącza do rozmowy szef ochotniczej straży pożarnej Jarosław Ataman. – Najczęściej ludzie zatrzymują się przejazdem i robią zdjęcia. Ale raz nie przyuważyłem: 11 listopada wymazali nam go czerwoną farbą. Przyjezdni, chyba z Międzyrzecza.

– Jak ten człowiek może być gloryfikacją komunizmu? – pyta retorycznie Kardela. – Od razu widać, że to ofiara wojny. Ledwo żyje i ledwo patrzy. Jakby błagał: „Boże drogi, daj mi już wyjść z tego pola”. To nie komunizm, raczej antykomunizm – tłumaczy.

Żołnierz jest zagrożony przez ustawę dekomunizacyjną, która nakazała rozbiórkę wszystkich radzieckich pomników wdzięczności i braterstwa.

Pierwsze wybudowano jeszcze w 1944 roku, ale zorganizowana pomnikowa fala wezbrała rok później. Z 476 rzeźb co najmniej 251 zostało wzniesionych do końca lat czterdziestych. Pomniki upamiętniały najpierw żołnierzy Armii Czerwonej, później radziecko-polskie braterstwo broni. Najwięcej stanęło ich przy granicy zachodniej, a najmniej na południowym wschodzie.

W PRL były metą pochodów pierwszomajowych. Miejscem odświętnego składania wieńców. Ale też celem wywrotowych ataków. Plamy z farby traktowane były przez władze jak strzały z pistoletu.

W nocy z 16 na 17 czerwca 1981 roku brązową farbą oblano pomnik Wdzięczności w Chocianowie. Zatrzymany został Krzysztof Szpond, członek NSZZ „Solidarność” przy Fabryce Urządzeń Mechanicznych, „osoba wrogo ustosunkowana do ustroju”. Dzień wcześniej, ustalili milicjanci, wypytywał o farbę potrzebną do „wykonania pewnego zadania”. Gdy Szpond jest w areszcie, ktoś jednak znowu maże monument, tym razem farbą białą. Mieszkańcy twierdzą, że widzieli, „jak robili to radzieccy żołnierze”. „Podejrzani to osoby przebrane w mundury” – notują milicjanci. Sprawców nie odnaleziono.

W lipcu 1981 roku trzech młodych mężczyzn oblewa farbą olejną koloru orzechowego pomnik Wdzięczności w Jędrzejowie. Piszą na cokole: „ZSRR

huje”. Zostają złapani i dostają karę więzienia.

W czerwcu 1983 roku na pomniku Wdzięczności w Słupsku ktoś maluje napisy „*Gott mit Uns*” i „*Deutschland über Alles*”. Śledztwo o kryptonimie „Fanatyk” stoi w miejscu.

Po czterech miesiącach śledczy dostają list od Waldemara O., osadzonego z więzienia w Nowogardzie. Przyznaje się do winy. Pomysł, tłumaczy, zalągł mu się w głowie w restauracji Turek, gdzie bawiła się niemiecka wycieczka. „Ktoś z tego towarzystwa wysunął propozycję, czy znalazłby się ktoś taki odważny, co mógłby dokonać w Słupsku jakiegoś wyczynu” – pisze Waldemar. Zgłosił się, bo chciał dalej pić wódkę, którą mu fundowali.

Z końcem PRL znikają też pomniki Wdzięczności – najpierw lawinowo. W listopadzie 1990 roku – Armia Radziecka jest jeszcze w Polsce – minister obrony ZSRR marszałek Dmitrij Jazow, który to obserwuje, ostrzega: „Wojsko bierze pod ochronę pomniki i groby żołnierzy, jednocześnie nie dopuści do budowy pomników »faszystów i ich najmitów«, a wzniesione zniszczy”.

Przez kolejne dwadzieścia lat demontowane są raczej po cichu. Czasem zdejmuje się same gwiazdy, sierpy i młoty. Czasem pomnik przenosi się na cmentarz, a na pustym cokole wznosi się inny (najwięcej na poradzieckich cokołach stoi marszałków Piłsudskich). Te, które zostały, dalej były polewane farbą: 17 września 2013 roku sześciu mężczyzn owija pomnik Wdzięczności w warszawskim parku Skaryszewskim folią spożywczą; w 2014 roku w Goleniowie czerwona gwiazda z pomnika zostaje opakowana w worek na śmieci.

Ale teraz zniknęły. Nie ma już kolumny Zwycięstwa w Stargardzie. W Lidzbarku Warmińskim betonowe figury czerwonoarmistów trafiły do miejskiego magazynu. Tablica z oławskiego pomnika znad Odry też miała być zdjęta, ale wcześniej zdążyli ją ukraść złomiarze. Ciężki sprzęt usunął wojaków z pomnika w Choszcznie. W marcu 2018 roku zdemontowanych zostało też dwóch kidnaperów, pomnik Jana i Iwana, pod którym z rosyjską

wycieczką składaliśmy kwiaty dwa lata wcześniej. Wszystkie zostały usunięte zgodnie z nowelizacją ustawy dekomunizacyjnej.

Tymczasem w Kęszycy Leśnej powstał ruch oporu.

Na słupie pod budynkiem straży pożarnej wisi rozmokła kartka z apelem mieszkańców:

> My, podpisani niżej mieszkańcy Kęszycy Leśnej, prosimy władze, aby wykorzystały wszelkie prawne możliwości i nie dopuściły do rozbiórki […]. Pomnik nie propaguje komunizmu. Kęszyca Leśna to kompleks koszarowy, a anonimowy żołnierz stanowi całość z charakterem zabudowy, z racji wielkości i nietypowego ułożenia stanowi atrakcję turystyczną. Jest punktem spotkań. Nie ma dystynkcji ani uzbrojenia, to człowiek przymusowo wbity w mundur, uwikłany nie ze swej woli w historię.

Niżej apel członków Stowarzyszenia „Kęszyca Leśna”, w którym Stowarzyszenie przypomina, że pod pomnikiem organizowane są festyny i rozgrywane zawody, na przykład Bieg Żołnierza – start i meta są przy pomniku.

– Może zamontowałbym kamerę na dachu straży pożarnej? Co, Jurek? Kamera pomogłaby też ustrzec się przed dzieciakami – rzuca Jarosław Ataman.

– Lubią wchodzić żołnierzowi na plecy. Wydeptały mu zagłębienie – tłumaczy Kardela. – Wykruszyło mu się przy kręgosłupie, ale zaszpachlowaliśmy ranę.

No i przecież pod radzieckim żołnierzem na placu defiladowym co roku umiera także Jezus Chrystus, przypominają mieszkańcy. Tak zdecydował proboszcz, ksiądz Jacek Błażkiewicz. Za pierwszym razem do udziału w kaźni Chrystusa namówił tylko trzydzieści osób. Mękę filmował na pamiątkę z drabiny. Po kilku latach w drodze krzyżowej pod radzieckim łącznościowcem udział biorą prawie wszyscy mieszkańcy Kęszycy Leśnej.

Elżbieta, miejscowa krawcowa, uszyła lekkie szaty, tuniki i peleryny. Sołtys Andrzej załatwił drewno, które przerobił na pochodnie. Rzymskie hełmy i zbroje zamawiają w internecie. Murarz Marcin, nazywany w Kęszycy „Boczkiem”, gra sługę Judasza, który eskortuje Jezusa. Starsza

mieszkanka idzie pod krzyż o kuli rozpaczać jako płaczka. Jezusem został kleryk Łukasz. W modlitwach prosi, by nie przyćmić rolą prawdziwego Syna Bożego. Mężczyźni w strojach Rzymian i faryzeuszy robią posępne miny. Kobiety i dzieci, przebrani za jerozolimskich Żydów, wołają: „Na krzyż! Na krzyż!”.

Czołgający się łącznościowiec z gipsu o smutnej twarzy, najdziwniejszy z wszystkich radzieckich pomników braterstwa i wdzięczności, pozostał więc w Kęszycy. Mieszkańcy dobrze się przygotowali do obrony. Zdjęli mu sowieckie insygnia, a z barwy khaki przemalowali na bijący po oczach seledyn.

– W ten sposób został też przez nas zdemilitaryzowany – wyjaśnia Jerzy Kardela. – Bo jaki żołnierz ubrałby na wojnę seledyn? Żeby spać spokojniej, jeszcze go dodatkowo spolonizowaliśmy.

– Jak?

– Na ramieniu namalowaliśmy mu biało-czerwoną flagę. A na hełmie orzełka.

Manewry (1980 –1981)

Sierpień

W ciszy, w której słychać tylko muchy odbijające się od szyb, rozlega się nagle dźwięk telefonu. Wwierca się w sen, który dopiero co przyszedł. Generał Stanisław Postnikow zrywa się z krzesła i rozgląda, potem rozespany podnosi słuchawkę. Prostuje się i napina, jakby chciał zasalutować. Potem kiwa głową i zapisuje na kartce: „Przygotować zapasy amunicji i prowiantu, wszystkie jednostki utrzymać w gotowości”.

Jest sierpień 1980 roku. Trwa lato, które zmieni się w przyszłoroczną zimę.

Przed pięcioma laty generał był zastępcą dowódcy PGWAR, a od kilku miesięcy dowodzi Nadbałtyckim Okręgiem Wojskowym, którego wojska stacjonują na Litwie, Łotwie, w Estonii i w Kaliningradzie. Poznał więc Polskę, a jego oddziały znajdują się teraz przy jej granicach. To właśnie w tej sprawie dzwoni do niego zaniepokojony marszałek ZSRR Siergiej Sokołow. W Polsce strajki rozlały się z Wybrzeża na cały kraj.

„Jak długo mamy czekać?” – pyta Postnikow.

„Dopóki nie będzie nowych rozkazów” – słyszy.

Czeka resztę sierpnia i cały wrzesień. W końcu dostaje rozkaz, by amunicję rozpakować i powrócić do codziennych obowiązków. A potem kolejny, że znów trzeba szykować pociski.

*

Radzieccy żołnierze w jednostkach PGWAR chodzą na patrole w hełmach. Dzieci oficerów jeżdżą na lekcje autobusami ochranianymi przez konwojentów z kałasznikowami. Żołnierze wzmacniają mury jednostek. A w Świętoszowie przygotowują okopy.

17 września zostaje powołany Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”.

To organizacja nacjonalistyczna, występująca przeciw pokojowi i Związkowi Radzieckiemu. Podjudzani przez nią Polacy profanują pomniki, bezczeszczą cmentarze, na których leżą nasi, polegli z niemieckim okupantem żołnierze – tłumaczą podczas pogadanek politycznych zampolici.

Żołnierze nie rozumieją. Czy nie pomagali Polakom przy powodziach i podczas mrozów? A latem nie wspierali w sianokosach? Czy bronią tu pokoju? Niektórzy oficerowie przyjaźnią się z polskimi rodzinami, inni handlują z nimi paliwem i węglem. Ale teraz kontakty zamierają.

W październiku generał Postnikow dostaje zadanie. Ma ruszyć z oddziałem na rekonesans przez Polskę, zapoznać się ze stanem dróg, z wytrzymałością mostów, sprawdzić, jakie mogą być sposoby pokonania rzek.

Na granicy polsko-radzieckiej wita go kilku zdenerwowanych oficerów Wojska Polskiego razem z zastępcą szefa Sztabu Generalnego Antonim Jasińskim. Proponują pomoc w charakterze „przewodników”.

„Dziękujemy przyjaciołom i grzecznie odmawiamy” – opisze to spotkanie generał Postnikow w książce *W dalekich garnizonach*.

Starsi oficerowie PGWAR pamiętają, że czołgi już raz wyjechały z bram garnizonów i ruszyły na Warszawę. W październiku 1956 roku sekretarzem PZPR miał zostać, bez uzgodnienia z Rosjanami, uważany za reformatora Władysław Gomułka. Wtedy z ZSRR przyleciał do Polski Nikita Chruszczow, by zablokować jego wybór. Do portu w Zatoce Gdańskiej próbował wpłynąć krążownik Żdanow, ale pozwolenia nie dał dowódca polskiej marynarki kontradmirał Jan Wiśniewski. Rozkaz ataku na radzieckie kolumny, które zmierzały na Warszawę z Bornego Sulinowa – w razie niepowodzenia rokowań z Chruszczowem – miał wydać z kolei lotnikom z Poznania generał Jan Frey-Bielecki. Wtedy Gomułce udało się

przekonać radzieckich towarzyszy, że wpływy w Polsce nie są zagrożone. Czołgi zawróciły.

Solidarność rośnie, zmienia się w masowy ruch społeczny. Radzieccy generałowie zachęcają polskich, by uporali się w końcu z problemem. Ale polskiemu wojsku też nie wierzą. Obserwują ćwiczenia, rozpytują o nastroje, stan gotowości, stosunek do ZSRR. Oficerowie w cywilnych ubraniach słuchają nawet kazań w kościołach. Nie wszyscy rozkazy rozpoznania wypełniają należycie. Garnizon w Kęszycy ma za zadanie rozpoznać sytuację w polskiej dywizji zmechanizowanej z Krosna Odrzańskiego, ale tylko to pozoruje.

Wojsko radzieckie wkroczy do Polski 8 grudnia 1980 roku, tak zaplanował marszałek ZSRR Nikołaj Ogarkow. W ćwiczeniach wezmą udział dywizje z Czechosłowacji, NRD i ZSRR. Ale nie Wojsko Polskie. „Zostaniecie w koszarach” – mówi polskim generałom Ogarkow. Ćwiczenia nie były wcześniej planowane. Noszą kryptonim „Sojuz-80” (Związek-80), ale polscy oficerowie mówią: „Są już”. Mają obawy, bo inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 roku też poprzedziły manewry (w czerwcu – o kryptonimie „Szumawa”, a potem „Pochmurne lato”). Ćwiczenia Ogarkowa zostają jednak odwołane.

W styczniu 1981 roku do Polski przylatuje Wiktor Kulikow, głównodowodzący wojskami Układu Warszawskiego i zastępca ministra obrony ZSRR. Do Armii Czerwonej wstąpił w 1939 roku, w Polsce walczył z Niemcami. Teraz ma zamieszkać w majątku Helenów, gdzie wiadomości z Moskwy będzie odbierał od niego generał Jaruzelski.

Na zaśnieżonym lotnisku w Legnicy dwa tygodnie później ląduje inny samolot. Wysiadają z niego: generał Władysław Aczałow, dowódca 7 Gwardyjskiej Dywizji Powietrznodesantowej, pułkownik Fiłatow, dowódca 106 Dywizji Powietrznodesantowej, generał Dmitrij Suchorukow, głównodowodzący Wojskami Powietrznodesantowymi, oraz dwóch generałów-lejtnantów, obaj w mundurach pułkowników. Jadą do

radzieckiego Kwadratu, gdzie dołącza do nich jeszcze dwóch, mówiących po polsku, oficerów. Potem wszyscy ruszają do Warszawy.

Najpierw na lotnisko. Bramy są zamknięte, ale ochrony nie widać, przecinają więc kłódkę i mkną po pasie startowym, tuż za lądującym z hukiem samolotem. Próbują obliczyć długość pasa startowego, a zanim dogoni ich ochrona, odjeżdżają.

W Alejach Jerozolimskich przy gmachu Komitetu Centralnego PZPR udają pijanych, którzy chcą sfotografować się na tle budynków. Ochroniarze są uprzejmi, zapraszają też do środka. Więcej kłopotów jest z siedzibą Narodowego Banku Polskiego, ale i tu zrobią kilka zdjęć.

Misja się powiodła.

Generał Suchorukow opowiada, że w razie czego w pierwszym rzucie powinna ruszyć 7 Dywizja Aczałowa, zająć najpierw lotnisko, a potem pomóc w desancie pozostałych oddziałów, które opanują budynki KC, Sejmu, NBP, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Obrony. Linią graniczną dla działań dywizji Fiłatowa i Aczałowa ma być ulica Marszałkowska.

23 lutego 1981 roku podczas Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego sekretarz generalny Leonid Breżniew mówi, że „socjalistycznej, bratniej Polski ZSRR nie opuści w biedzie i nie da jej skrzywdzić”.

Radzieckie grupy rekonesansowe w ramach ćwiczeń przeprowadzają rozpoznanie Huty Warszawa, FSO Żerań, Stoczni Gdańskiej, budynku TVP oraz zakładów przemysłowych w Elblągu, Szczecinie, Wrocławiu i Świdniku. Manewry „Sojuz-81” tym razem dochodzą do skutku. Mają się skończyć w marcu, ale po pobiciu przez milicję trzech działaczy Solidarności podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy zostają przedłużone „na czas nieokreślony”.

Zaproszeni na manewry są ministrowie obrony wszystkich krajów Układu Warszawskiego. Po zakończeniu ćwiczeń stanowisko dowodzenia nie zostaje usunięte. Łączność zostaje wzmocniona dodatkowymi węzłami.

Otwarty jest most powietrzny do garnizonów w Polsce, ze wsparciem przylatuje z ZSRR siedemdziesiąt samolotów, do tego czterdzieści trzy śmigłowce transportowe.

Połowa 1981 roku. Siergiej skończył szkołę oficerską dla pilotów helikopterów wojskowych. Jest dowódcą Mi-8. Nie był dobrym studentem, więc wydaje mu się, że na służbie wyląduje raczej na Dalekim Wschodzie. Tymczasem dostaje przydział na prestiżowych zachodnich obrzeżach ZSRR, pod Lwowem (opowie to wszystko po latach rosyjskiemu dokumentaliście Dmitrijowi Kabakowowi). Anteny od telewizorów w jednostce nastawione ma na Polskę. W polskiej telewizji ogląda zachodnie filmy (w radzieckiej takie puszczają rzadko), ale z miesiąca na miesiąc zauważa, że filmów zaczyna być mniej, a wiadomości przybywa. Siergiej nie zna polskiego, ale domyśla się, że nie jest dobrze. Nawigator pułku rozdaje mapy. Tłumaczy, że celem jest Kraków, i każe przygotować trasę przelotu inną niż ćwiczone dotychczas. Potem jest czas na zajęcia praktyczne. Żołnierzom rozdano broń. Są wożeni na poligon, gdzie strzelają, rzucają granaty. Dowódcy mówią, że na wszelki wypadek. Śmigłowce zostają uzbrojone w rakiety bojowe. Podczas lotów piloci strzelają bez przerwy. Na lotnisko przyjeżdżają oddziały desantowe, mieszkają w namiotach na lotnisku. W razie gwizdka desantowcy mają wskoczyć do helikoptera Siergieja i lecieć z nim do Krakowa.

W Moskwie Jurij Andropow, szef KGB, pyta oficera radzieckiego wywiadu Nikołaja Leonowa: „Czemu właściwie Polacy się buntują?”. Leonow odpowiada, że chyba chodzi między innymi o ceny mięsa. „A ile wynosi tam spożycie mięsa?” Leonow mówi, że prawie pięćdziesiąt kilogramów na osobę rocznie. „A u nas trzydzieści osiem kilogramów i się nikt nie buntuje”.

To nie do końca prawda. Niewielkie protesty inspirowane Solidarnością odbyły się w Gruzji i na Białorusi. Gdy Solidarność ogłasza *Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*, które wzywa związkowców z krajów bloku

radzieckiego do obrony praw, w radzieckich fabrykach dyrektorzy nakazują pisać robotnikom zbiorowe odpowiedzi.

Po ZSRR krąży wierszyk:

Cena wódki – osiem rubli?
Będziem chodzić chlać do kumpli!
Wy przekażcie sekretarzom:
Że za dychę wyjdziem z twarzą.
Jak alkohol będzie droższy,
to zrobimy wam jak w Polszy.
Gdy wyniesie dwadcać piać,
znów Zimowy będziem brać!

W Polsce bywają jednak radzieccy oficerowie, którzy wpraszają się do domów, żeby posłuchać zachodnich rozgłośni rosyjskojęzycznych, choć grozi im za to zesłanie do ZSRR, a czasem więzienie.

Jacek Cieślicki, działacz Solidarności z Dolnego Śląska, uważa, że trzeba przekonywać żołnierzy radzieckich do postulatów Związku. „Nie ma niczego od tych kontaktów ważniejszego dla naszej racji stanu!” – pisze w „Solidarności Zagłębia Miedziowego”. Trzeba cierpliwie tłumaczyć, przekonywać i się nie zrażać. W końcu zrozumieją, że na co dzień żyje im się podle.

W Legnicy planowany jest nawet kolportaż ulotek po rosyjsku o programie Solidarności. Dostarcza je z Wrocławia działacz Solidarności Andrzej Cyrano. Na teren Kwadratu wnosi je szwagierka Cyrana. Na przepustce od znajomej Rosjanki przylepiła swoje zdjęcie.

„Wszystkie siły rzucono na wypełnienie zadań” – podaje 4 września radziecka gazeta „Wo sławu Rodiny” (Ku Chwale Ojczyzny), a „Prawda” zamieszcza relację swoich korespondentów: „Mijają ostatnie godziny przed bojem. Walka będzie treningowa, ale to jednak walka”.

Kolejne wojskowe manewry, kryptonim „Zapad-81” (Zachód-81), rozpoczynają na Białorusi i Litwie tydzień przed I Krajowym Zjazdem Delegatów Solidarności.

Generał Postnikow:

> Zaproszono całe kierownictwo armii i floty. […] Wojska się zmobilizowały przy granicach z Polską, a statki demonstrowały swoje możliwości na Bałtyku. To miała być lekcja dla liderów Solidarności i ich zachodnich popleczników. Siły Układu Warszawskiego są gotowe i w razie konieczności pospieszą z bratnią pomocą.

Radzieckie gazety relacjonują manewry, jakby relacjonowały prawdziwe walki.

5 września „Wo sławu Rodiny" publikuje apel Tamary Krutieł, przędzarki piątej kategorii z fabryki czesankowej w Mińsku (*Wracajcie ze zwycięstwem*). Po zakończonych manewrach przędzarka zaprasza żołnierzy w odwiedziny do fabryki.

9 września – drukuje relację pułkownika Chołodkowa (*Walka o lokalnym znaczeniu*), opisującego „czyn batalionu czołgowego, który zdobył górkę Biezymiannają [Bezimienną], gdzie znajdowało się zgrupowanie przeciwnika".

A 11 września – relację z „czynu szeregowego Manochy, który podczas desantu uratował życie młodszemu sierżantowi Uporowowi" (dostali za to obaj imienne zegarki).

13 września agencja TASS podaje, że ćwiczenia „Zapad-81" zostały zakończone.

> Armia przybyła na przegląd polowy. My wszyscy, dwieście sześćdziesiąt trzy miliony, i każdy z nas z osobna mamy swój udział w tym pokazie siły i mocy. Tworzyliśmy ją sami – pracą, męstwem, honorem wielu pokoleń. Odmawialiśmy sobie tego, co niezbędne, by armia stawała się silniejsza. I ta moc dziś jest w stanie pokonać każdego agresora, wroga socjalizmu, wolności i pokoju

– recytuje lektor w kronice filmowej o ćwiczeniach (*Taki żołnierz jest niezwyciężony*).

„Gratuluję szczęśliwego zakończenia manewrów! W warunkach rosnącego zagrożenia wojną na barkach radzieckich żołnierzy spoczywa odpowiedzialność za pokój na świecie" – mówi na koniec do żołnierzy marszałek ZSRR Dmitrij Ustinow.

> Byliśmy w ciągłej gotowości bojowej. Szczególny nacisk kładziono na nasz okręg. Główną siłą uderzeniową miała być dywizja ulokowana w Jaworowie pod Lwowem. O planach innych okręgów nic nie wiem, oprócz tego, że w operacji miały wziąć udział także okręgi białoruski i nadbałtycki. Dołączenie wojsk państw sojuszniczych Układu Warszawskiego stało pod znakiem zapytania. Nie uczestniczyłyby na pewno wojska NRD, bo to wywołałoby powstanie – opowie po latach w wywiadzie dla gazety „Sobiesiednik" (Rozmówca) generał major Władimir Dudnik, wtedy w dowództwie Karpackiego Okręgu Wojskowego (Ukraina). – Osobiście miałem do tego stosunek negatywny, a przecież byłem zampolitem. […] Ale gdybyśmy dostali rozkaz, wypełnilibyśmy go. Mieliśmy plany, mapy z trasami, z zaznaczonymi obszarami koncentracji wojska. Wszystko, jak należy. Dwukrotnie wyjeżdżałem na rekonesans miejsc, których zajęcie zakładano. Pamiętam dowódcę polskiej dywizji czołgowej, który po rozmowie w sztabie wyszedł nas odprowadzić. „Nie róbcie nam Pragi. Sami damy radę!" – powiedział.

Wchodzą? Przegrupowanie wojsk radzieckich trwa na trasie Moskwa–Brześć. Na Białorusi, w rejonie Grodna, czeka ze swoją dywizją w stanie gotowości generał Wiktor Dubynin. Do Legnicy zostaje przerzucona z Afganistanu brygada szturmowa śmigłowców.

Nie wchodzą? 29 października 1981 roku szef KGB Jurij Andropow ma stwierdzić, że ZSRR nie powinien jednak wprowadzać do Polski wojsk (podobnie wypowiedział się ponoć minister obrony ZSRR Dmitrij Ustinow).

Wchodzą? Na spotkaniu dowódców państw Układu Warszawskiego w nocy z 4 na 5 grudnia 1981 roku w Moskwie szef sztabu generalnego marszałek Ogarkow mówi, że tolerowanie kontrrewolucji i unikanie użycia siły doprowadziło do rzezi na Węgrzech w 1956 roku, a minister obrony ZSRR Ustinow przypomina, że „niepokojące wydarzenia w Polsce mają wpływ na zdolności obronne Układu Warszawskiego". I że „trzeba działać zdecydowanie".

Nie wchodzą? W zeszycie, który prowadzi generał Wiktor Anoszkin, adiutant marszałka Kulikowa, pod 10 grudnia można przeczytać informację przekazaną z radzieckiej centrali generałowi Jaruzelskiemu, że wprowadzenia wojsk nie będzie.

Radzieccy żołnierze w garnizonach w Polsce dostali zakaz opuszczania koszar. Ćwiczą pozorowane ataki i walki w terenie zabudowanym – na placach ćwiczeń postawiono makiety bloków mieszkalnych. Na dachach powstają stanowiska strzelnicze ze snajperami. Dyżurni śpią z karabinami przy łóżkach, nie rozbierają się do snu. Na murach pojawiają się reflektory, w nocy świecą bez przerwy.

Generał Stanisław Postnikow jest zmęczony. Zaplanował sobie urlop od 5 grudnia. Szef sztabu generalnego Ogarkow radzi jednak, by na urlop wybrał się gdzieś niedaleko Moskwy. Postnikow razem z żoną wyjeżdża więc do sanatorium Archangielskoje pod Moskwą. Ma tam spędzić dwadzieścia cztery dni. Po trzech wzywa go szef sztabu generalnego. Postnikow przyjeżdża w cywilu, bo do sanatorium nie zabrał munduru. Ogarkow informuje go, że w Polsce w najbliższym czasie zostanie wprowadzony stan wojenny. „Koniec tolerowania kontrrewolucji” – tłumaczy. Postnikow jedzie do Rygi. „Znowu szykowaliśmy jednostki do okazania Polsce bratniej pomocy. Samochody ponownie załadowaliśmy amunicją”.

Grudzień

Wyje alarm.

> Tamtego dnia akurat miałem dyżur, chwilę się zdrzemnąłem. Ale zaraz mnie obudzili, dowódca i oficerowie naszej jednostki. Kazano mi natychmiast eskortować oficerów wywiadu, którzy mieszkali niedaleko. Musieli pójść do domów po walizki z najpotrzebniejszymi rzeczami. W Legnicy spadł śnieg, więc szliśmy na piechotę. W kieszeni miałem naładowaną broń. Było cicho i spokojnie.
>
> (Oleg Fomin, Legnica 1978–1984)

> Wszyscy na rozkaz dowódcy otrzymaliśmy broń. Potem znosiliśmy worki z piaskiem i urządzaliśmy stanowiska strzeleckie. Ja dostałem karabin maszynowy i razem z trzema innymi żołnierzami zająłem pozycję. Dowódca powiedział: „Na rozkaz zaczniesz strzelać w kierunku rogatek. Nie daj nikomu przejść”.
>
> (Paweł Somow, Oława 1981; Legnica 1981–1983)

W niektórych garnizonach zostaje ogłoszony alarm OKOP (ochrona i obrona garnizonu), w Legnicy – alarm bojowy (Faktor 041). W Szprotawie na lotnisku nie ma megafonów, więc żołnierze mają swój sposób ogłaszania alarmu: przez garnizon przejeżdża wóz straży pożarnej na sygnale. Jeden to alarm w pułku, dwa – w batalionie. Trzy oznaczają powszechny alarm bojowy.

> Dopiero co napełniliśmy kieliszki w pracowni radiotechnicznej, a tu podjeżdża wóz i wyje. Zamarliśmy z kieliszkami w dłoni, liczyliśmy po cichu. Były trzy. Poczuliśmy strach.
>
> (Wiktor Leontiew, Szprotawa 1979–1984)

Przed bramami garnizonów ustawiają się transportery opancerzone. Lotniska mają patrolować podwójne warty. Żołnierze dostają rozkaz obserwacji tras wylotowych z miast. W pociągu, który jedzie tej nocy z ZSRR do Legnicy, konduktor każe zakryć okna materacami.

> Ja cały czas siedzę w śmigłowcu. Prawie nie mogę wyjść za potrzebą. Wyje syrena, włączam silnik, ustawiam się do startu, w szyku, razem z innymi helikopterami. Czekam na rozkaz, ale nie pada. W końcu jest rozkaz, by wyłączyć silniki. Po kilku godzinach znowu rozkaz startu. Startujemy. Lot nie jest długi. Mniej niż godzinę. Lecieliśmy wzdłuż granicy. W jedną stronę, trochę w drugą, w szyku.
>
> (Siergiej, pilot Mi-8, Lwów)

– Nas obudzili w nocy alarmem ćwiczeniowym – opowiada z kolei Władimir Zudilenkow (Strachów–Świętoszów 1981–1983). – Staliśmy poza garnizonem w kolumnie przez dwie doby. Dziwiliśmy się z chłopakami, że po prostu stoimy. Zwykle odbywały się jakieś manewry albo strzelanie, a tu nic. W tamtym okresie, jeszcze przed stanem wojennym, takie ćwiczenia dywizje urządzały regularnie. Dlatego nikt się za bardzo nie przejął wydarzeniami tamtego dnia. Nie sądzę nawet, by niżsi stopniem oficerowie cokolwiek wiedzieli. Dopiero później, po powrocie do garnizonu, dowiedzieliśmy się, że wprowadzono stan wojenny.

> Po powrocie do bazy od razu tankujemy maszyny. Każą nam czekać na rozkazy. Nad ranem pozwolono nam pojechać do domów. Dano nam dobę na odpoczynek,

powiedziano, że Jaruzelski wprowadził w Polsce stan wojenny, operacja się udała i nasza pomoc nie jest mu potrzebna.

(Siergiej, pilot Mi-8, Lwów)

Głównym zadaniem jednostek PGWAR w pierwszych dniach stanu wojennego jest ochrona garnizonów przed spodziewanymi próbami ataków ze strony zorganizowanych grup „kontrrewolucji”.

Pierwsze noce spaliśmy ubrani i przytuleni do broni, tylko luzowaliśmy paski w spodniach. Okna obłożyliśmy workami z piaskiem od strony ulicy. Alarmy budziły nas w nocy ze dwa razy. Każdy miał przydzielony sektor do strzelania, wzdłuż płotu były wykopane okopy. Podobno w stoczni było gorąco, ale tam Polacy dali sobie radę bez naszej pomocy.

(Siergiej Nikołajew, Szczecin 1980–1982)

Myślałem o mojej ciężarnej żonie, bo mieszkaliśmy w bloku z Polakami, dlatego były obawy i strach. Spałem z pistoletem pod poduszką. Ale nic się nie działo.

(Oleg Fomin, Legnica 1978–1984)

Broń żołnierze zaczynają zdawać po tygodniu. Na gwiazdkę komendantura radziecka w Legnicy robi paczki dla rodzin milicjantów. A garnizony PGWAR przekazują polskiemu Ministerstwu Spraw Wewnętrznych dwanaście tysięcy pocisków gazu łzawiącego Czeremucha.

– Na murach w pobliżu garnizonów zaczynają pojawiać się napisy „Ruscy do domu” i jeszcze takie gwiazdy na szubienicy – opowiada Iwan (Legnica 1980–1982).

26 stycznia 1982 roku radziecka agencja TASS informuje, że polski Sejm poparł wprowadzony przez generała Jaruzelskiego stan wojenny i „kierunek polskiej polityki zewnętrznej, której podstawą są sojusz oraz przyjaźń z ZSRR i państwami Układu Warszawskiego – gwarantami bezpieczeństwa, suwerenności, niezależności, siły i rozwoju Polski”. Zgrupowania wojsk NRD i Czechosłowacji utrzymywane są w gotowości jeszcze przez pół roku.

Przez pewien czas byliśmy wciąż w gotowości bojowej, ale nie czuliśmy już takiego napięcia. Wiosną zdaliśmy całą broń do magazynu. Wcześniej wszyscy piloci dostali bardzo dobre lornetki. Nie musieliśmy ich zdawać. Jako jedyna pamiątka

z przygotowań do lotu nad Polskę została mi lornetka. Po latach skradziono mi ją z mieszkania.

(Siergiej, pilot Mi-8, Lwów)

– Wylądowałem na lotnisku w Krzywej pod koniec października 1982. Niby jeszcze stan wojenny, ale w tym czasie rekrutów bardziej niepokoiło to, czy nie trafimy do Afganistanu. Gdy wylądowaliśmy, z ulgą ujrzałem biało-czerwoną flagę. Na zajęciach politycznych Polska była wspominana nie częściej niż Egipt, Algieria czy Mongolia. O stanie wojennym w Strachowie nie było już żadnych rozmów. Między sobą też nie rozmawialiśmy. Nie dlatego, że o nim nie wiedzieliśmy, ale dlatego, że nie zwracaliśmy na ten temat uwagi. Powiem szczerze, że gdybym nie wiedział, że służę w Polsce, to nie miałbym o tym pojęcia – opowiada Aleksiej Sztyrkow (Strachów–Świętoszów 1982–1984).

Władimir Zudilenkow:

– Stan wojenny zobaczyłem jeszcze na własne oczy, gdy jechałem na urlop do domu, pociągiem przez Warszawę do Brześcia, w czerwcu 1982 roku. Noc, ulice bez świateł, nie ma ludzi ani samochodów. Tylko patrole milicjantów z psami. Godzina milicyjna. Nieprzyjemny widok. Co o tym wszystkim myślałem, pytacie? A co ja, żołnierz Armii Radzieckiej, mogłem wtedy myśleć?

Bielsko-Biała. Kamienie i zapałki

Jest ich, bezimiennych, prawie jedenaście tysięcy. Leżą pod niskimi kamieniami porozrzucanymi w trawie, między rzędami żywopłotu. Na kamieniach nie ma imion ani nazwisk, tylko wykute pięcioramienne gwiazdy. Jesteśmy na jednym z największych cmentarzy Armii Czerwonej w Polsce. Pochowano tu 28 radzieckich oficerów i 10 634 podoficerów, którzy napotkali nieopodal Bielska-Białej opór niemieckich dywizji. Umierali w śniegu i błocie. Rannych zwożono do miasta, aż stało się jednym wielkim szpitalem. A potem grobem, do którego ściągano innych zmarłych bezimiennych, spod Krakowa, Zabrza, z Górnego Śląska i Podbeskidzia. Najpierw zakopano ich w ziemi w centrum miasta, celowo naprzeciwko katedry Świętego Mikołaja. Po śmierci mieli przysłużyć się propagandzie i martwi dalej toczyć walkę – tym razem ideową. Jeszcze raz się do czegoś przydać. W 1968 roku, gdy nie byli już tak bardzo potrzebni do agitacji, przeniesiono ich tutaj, do ziemi na skraju miasta, przy ulicy Wyzwolenia (dziś to Lwowska). Na środku cmentarza postawiono posąg czerwonoarmisty. Idzie w bój, lewą ręką wskazuje na miasto. Pod żołnierzem, na uboczu dalej odbywały się uroczystości, jednak mniejsze.

Gdy po 1989 roku bezimiennych zaczęły porastać chwasty, zaczął do nich zaglądać Józef Sanak, proboszcz parafii Opatrzności Bożej w Bielsku-Białej, były kapelan bielskiej Solidarności, organizator pomocy dla internowanych w stanie wojennym. Razem z Henrykiem Juszczykiem, działaczem podbeskidzkiej „S”, a potem wiceprezydentem Bielska-Białej, wymyślili, by w Dzień Zaduszny nad grobami czerwonoarmistów organizować z mieszkańcami oraz księżmi prawosławnymi modły. Niektórzy mieszkańcy dziwili się proboszczowi. Kto jak kto, mówili, ale ksiądz to ma prawo ich nienawidzić. System, który przyszedł z Armią Czerwoną, aresztował go jesienią 1950 roku. W więzieniu ogolił mu głowę,

zerwał medalik, zabrał różaniec, dał dziurawy koc i glinianą miskę. Sanak siedział rok w małej celi, zanim w ogóle dowiedział się za co: wyspowiadał ukrywającego się żołnierza AK. Za to dostał zarzut szpiegostwa oraz wyrok ośmiu lat więzienia. Wyszedł po pięciu. Pytano go więc, dlaczego przychodzi się modlić za czerwonoarmistów. Odpowiadał: wojna jest straszna. I odmawiał różaniec. Gdy zmarł, inni – którzy do wybaczenia nie mieli aż tyle – nie chcieli wybaczyć. I ucichły modlitwy, a cmentarz prawie opustoszał. W lutym, w rocznicę odbicia Bielska-Białej z rąk Niemców, przyjeżdża tu czasem konsul ambasady rosyjskiej. Narzeka, że nie nazywa się już tego dnia wyzwoleniem. Zjawiają się również wtedy narodowcy z bielskiego ONR i Młodzieży Wszechpolskiej. Wołają o radzieckiej okupacji. Zwykle żołnierze leżący w ziemi mają jednak spokój.

Na co dzień brama też nie jest otwierana, wisi na niej kłódka.

Oprócz jedenastu tysięcy bezimiennych mieszka również w Bielsku-Białej jeden chorąży Armii Radzieckiej o nazwisku Paweł Kowalski. Przyszedł na świat w rok stanu wojennego, 1981 – tylko że w kwietniu. Chorąży Kowalski staje czasem z oddziałem w wakacje na bielskich błoniach. Oddział liczy osiem osób.

– Ale nam to w pełni wystarcza – zaznacza. – Jako dziecko oglądałem w telewizji, jak rosyjscy żołnierze opuszczają Polskę. Od tamtej pory zacząłem się interesować radzieckim wojskiem. I zawsze chciałem zobaczyć garnizony. Najbliższa jednostka radziecka była w Skarbimierzu koło Brzegu. Pierwszy raz pojechałem tam w 1996 roku. Na miejscu można było jeszcze znaleźć dokumenty, naszywki, odznaczenia, elementy umundurowania. Wszystko zbierałem. Chodziłem po uliczkach i wyobrażałem sobie, jak wyglądały, gdy maszerowały po nich warty, a wokół świeciły latarnie. Pierwszy mundur radziecki kupiłem chyba w 2008 roku. Najszybciej można znaleźć taki na Allegro i eBayu. Oferta jest bardzo szeroka. Ale ja długo nie mogłem dostać odpowiedniego rozmiaru, bo kawał chłopa ze mnie. Musiałem ściągać go z Czech. Buty znalazłem w Bornem Sulinowie w składziku z obuwiem, odkrytym

w jednej z piwnic. Gdy miałem już kompletny mundur, okazało się, że takich jak ja jest więcej. Poznawaliśmy się przez internet albo na zlotach – opowiada.

Do niedawna był nauczycielem historii i WOS-u, ale wziął się za własny biznes. Jeden kolega z oddziału pracuje w sklepie, drugi właśnie zaczyna pracę w muzeum w Zielonej Górze. Trzeci jest leśniczym w Bornem Sulinowie. Czwarty zasuwa na Wyspach, piąty robi doktorat.

– Najpierw przebieraliśmy się na luzie, a potem założyliśmy Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej Armii Radzieckiej „Siewiernaja". Rekonstruujemy radzieckie oddziały stacjonujące w garnizonach w Polsce z lat 1975–1991. Każdy z nas ma pełne wyposażenie i oporządzenie. Szeregowiec ma na przykład szelki, łopatkę saperską, maskę przeciwgazową. Ja rekonstruuję chorążego. Mam więc mundur wyjściowy oraz mundur polowy z kompletnym rynsztunkiem, czyli pasy, koalicyjkę, lornetkę i raportówkę. W raportówce dokumenty, znalazłem je w radzieckich garnizonach, oryginalne mapy Bornego Sulinowa i Świętoszowa. Oraz dodatki, na przykład chozpakiet. To tekturka, na której żołnierz przyszywał w nagłej potrzebie zapasowe guziki, gdyby te na mundurze mu się oderwały. Mundury zawsze obszywamy, czyli przyszywamy dystynkcje i pagony oryginalnymi nićmi i igłami. Żeby wszystko dobrze odtworzyć, trzeba mieć wiedzę. Dużo więc czytamy i oglądamy archiwalne zdjęcia. To, co widać na zdjęciach, jest dla nas ważne, bo regulaminowe życie to jedno, a prawdziwe, garnizonowe, to drugie. W regulaminie wszystko ma swój porządek. Tymczasem w garnizonach wszystko zależało od dowódcy. A my chcemy odtwarzać prawdziwego żołnierza, a nie regulaminowego. Na zdjęciach też jednak wszystkiego nie widać.

– To skąd wszystko wiecie? – dopytujemy.

– Najwięcej zawdzięczamy żołnierzom i oficerom, którzy w latach osiemdziesiątych stacjonowali w polskich garnizonach. Przez internet nawiązaliśmy kontakt z kilkunastoma. Byli trochę zaskoczeni, że ktoś z Polski stara się w sposób szczegółowy ich odwzorować, ale pomogli.

Nauczyli nas, jak powinny wyglądać szwy na pagonach i odległości między naszywkami. Jak mocować guziki przy pagonach. Poradzili, by robić to zapałkami przeciągniętymi przez dziurkę w koszuli. Regulamin mówił, że pagony mają być przymocowane, ale nie mówił jak, a oni robili to właśnie zapałkami. Na żywo poznaliśmy tylko jednego, był porucznikiem, służył w Bornem Sulinowie, a gdy ZSRR się rozpadło, w armii ukraińskiej. Ostatnio walczył w Donbasie z separatystami i Rosjanami, po stronie ukraińskiej. Dostaliśmy od niego oryginalny zestaw do obszywania mundurów.

– A co można robić w takim mundurze?

– Jeździmy w nich na zloty. Przed zlotem jeszcze siadamy i planujemy, co zrekonstruować. Bo jeśli będą od nas tylko trzy osoby, a wiadomo, że urlopy, praca i tak dalej, to robimy na przykład toczkę, czyli punkt kontrolny. Stawiamy namiot, nakrycia z pałatek, obok samochód, żołnierze i ja jako chorąży, dowódca toczki. Czasem dokładamy szlaban i jest typowy punkt kontrolny przy wjeździe do garnizonu. Jeśli jest nas więcej, możemy zrobić stanowisko łączności: uaz wyposażony w systemy łączności, radiostacje, maszt antenowy, dalej namiot i żołnierze. I ja, chorąży, jako dowódca stanowiska. Na zlotach militarnych takich jak Operacja Południe w Bielsku-Białej można posiedzieć u nas na takiej toczce albo w stanowisku łączności, zrobić sobie z nami zdjęcie. Jesteśmy apolityczni i profesjonalni, podobamy się ludziom. Tylko jeden raz mieliśmy nieprzyjemną sytuację, że podpity dżentelmen wołał coś o okupantach. Kilka razy w roku jeździmy też do byłych garnizonów radzieckich. Ja nawet kupiłem sobie ostatnio działkę pod Bornem Sulinowem i urządzam tam domek letniskowy.

– A często zgłaszają się nowi chętni do oddziału?

– Najczęściej chcą wstąpić jako martwe dusze. Potrzebują tylko zaświadczenia o członkostwie, dzięki któremu łatwiej im dostać pozwolenie na broń do celów kolekcjonerskich. Nigdy się na to nie zgadzamy – podkreśla chorąży Kowalski.

Pirat spada z chmur (1989)

Mariusz Ławruszczuk zrzuca nad Mazowszem szczepionki dla lisów. Zamarznięte jak sorbet kostki wsuwa w dziurkę w podłodze samolotu i siup, szczepionka na wściekliznę leci na mazowiecki las. Zmarzlina się rozpuszcza, lis wyczuwa szczepionkę z kilku kilometrów.

Ławruszczuk latać zaczął późno, w 1972 roku, gdy miał dwadzieścia sześć lat.

– Aerokluby nastawiały się wtedy na szkolenie młodzieży. Młodzi mieli być mięsem armatnim dla wojska. Mnie, starego konia, nikt szkolić nie chciał – opowiada. – Złapałem pracę w Lubinie. W kombinacie górniczo-hutniczym robiłem przy kontroli jakości. Z dyrektorem pracowałem wcześniej w kopalni. Był prezesem aeroklubu, który kombinat dotował, więc po prostu nakazał im mnie przyjąć. Zacząłem latać i pokochałem to. Być w chmurach, w powietrzu. Inna perspektywa. Nawet te radzieckie garnizony: patrzysz, a to małe pudełeczka, jak klocki do zabawy. Radzieccy swoje lotnisko mieli niedaleko, w Krzywej. Na mapach go nie było, ale jak lecieliśmy w stronę Jeleniej Góry, to trzeba było minąć Legnicę szerokim łukiem. Nad naszym aeroklubem z rykiem przelatywały suki, czyli Su-24. A kiedy zrzucałem skoczków, to między pierwszym skokiem a kolejnym, dwieście metrów pod nami, potrafiły przelecieć myśliwce. „Sprzęt mają nowoczesny, wszystko widzą na radarach”, przekonywałem sam siebie.

*

5 lipca 1989 roku był słoneczny dzień, niewiele chmur.

– Miałem dyżur w aeroklubie, holowałem szybowce. Jak to się robi? Szybowiec podpinasz do liny, linę mocujesz do samolotu. I wynosisz szybowiec w chmury, tam wyczepiasz – tłumaczy cierpliwie Ławruszczuk. Filiżanki na stole ustawił tak, jakby były samolotami, przy nich położył

łyżeczkę. To lina. – Tego dnia miałem do wyholowania dwa szybowce. W południe wyniosłem w niebo Maćka Majewskiego, syna Zdziśka, kolegi z klubu. Maciek studiował historię, latał chyba drugi rok. Wyczepiłem go przy zalewie, na wysokości pół kilometra. Leciał modelem Pirat. Potem wróciłem po drugi szybowiec z Tomkiem Czarachowiczem, wyniosłem i wylądowałem. Tego dnia kontrolerem lotów był Janusz Bugiel. A przy dromaderach przeciwpożarowych na skraju płyty krzątał się Zdzisiek Majewski. Z płyty patrzyliśmy, jak szybowce suną na północny zachód i krążą pod obłokiem. Ryk usłyszeliśmy po trzynastej. Dwie suki rozdarły niebo od strony stadionu. Leciały w stronę szybowców, najpierw nisko, potem pociągnęły w górę. Zdziwiliśmy się, bo zgłaszaliśmy im, że tego dnia latamy, powinni się trzymać z daleka. Po chwili odetchnęliśmy z ulgą. Kamień z serca, przeszły dalej. Zmrużyłem oczy, bo oślepiało mnie słońce. Usłyszałem tylko, że Bugiel wydziera się do radia: „Pirat, skacz! Pirat, skacz! Pirat, skacz!”. Coś leciało spod chmury. Zdzisiek musiał wiedzieć od razu. Tylko Pirat miał czerwony ogon. I ten ogon wirował spiralą prosto w las, jakby chciał się wwiercić w ziemię. Potem zniknął w drzewach. Po chwili z nieba spadło skrzydło. Ruszyliśmy we trzech pędem między drzewa, to nie było daleko. Spośród liści i krzaków sterczały drzazgi po szybowcu. A w środku Maciek, przebity tym drewnem. Bez głowy. Tylko kawałek miał z tyłu, no i kawałek nosa jeszcze. Przerwano wszystkie loty. Przy szybach Zakładów Górniczych „Lubin” znaleziono hamulec wyrwany ze skrzydła Pirata. Potem na płycie wylądował Tomasz Czarachowicz, podmuch uderzenia zniósł go bardzo daleko. Nigdy już nie wsiadł za stery.

– Rozpiąłem pasy spadochronowe Maćka i wyciągnęliśmy go – opowiada Marcin Jaxa-Rożen, który był wtedy w Okręgowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych. W Lubinie przebywał służbowo, akurat sprawdzał stan techniczny sprzętu lotniczego. Zgłosił wypadek. Został mianowany przewodniczącym zespołu terenowego i ruszył w miejsce upadku Pirata. – Na ziemi nie było czego szukać. Wszystko, co miało się stać, stało się na niebie. Ale nie mieliśmy żadnych rejestratorów lotu. Przebieg wypadku musiałem ustalić przez świadków. Na rozmowach

spędziłem popołudnie. Widzieliśmy, mówili, jak w szybowce wpadł wojskowy samolot. Odtworzyłem trajektorię, sporządziłem szkic. Było jasne, samolot bez skrzydła wirował tak szybko, że siła odśrodkowa docisnęła pilota w fotel.

– Staliśmy ze Zdziśkiem w prosektorium nad zwłokami jego syna. Zdzisiek tylko pytał: „Dlaczego on nie wyskoczył? Dlaczego nie wyskoczył?”. Zaczęliśmy to sobie wyobrażać. Jak spada, jak dociska go do fotela przeciążenie. Masz dwie, a może trzy sekundy, żeby skoczyć. „Dlaczego on nie skoczył?” „Dlaczego on nie skoczył?” – opowiada Mariusz Ławruszczuk. – „Łokieć”, powiedział w końcu Zdzisiek. Maciek miał całkiem rozbity łokieć. I wtedy zrozumieliśmy. W kabinie na lewej burcie jest taka gałka do otwierania hamulców aerodynamicznych. Piloci trzymają na niej dłoń. Nie powinni, ale tak wygodniej. Skrzydło Pirata zostało przecięte właśnie na wysokości hamulca. Wtedy gałka, na której Maciek trzymał dłoń, cofnęła się, a łokieć z ogromną siłą uderzył w ścianę. Kość się posypała. Z Pirata na ziemi trudno jest wysiąść. Kabinę ma głęboką, trzeba zaprzeć się o burtę. Z Maćka był kawał chłopa, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. A w tym wirze? Z jedną sprawną ręką? Słyszał: „Pirat, skacz, Pirat, skacz”, ale nic nie mógł zrobić. Czekał na uderzenie. Potem pojechałem na radzieckie lotnisko w Krzywej. Przywitali nas na galowo – kontynuuje Ławruszczuk. – Pierwszy wyszedł dowódca pułku Anatolij Krasnow. Czemu, pytał generał, nie możecie na tych szybowcach latać w linii prostej? Zaczął się szkolić w głębokiej Rosji, jak miał szesnaście lat, od razu na migach. Przeglądaliśmy razem barogramy lotu, wysokość, prędkość. Odsłuchaliśmy rozmowę między pilotem a szturmanem (nawigatorem lotniczym) tuż po uderzeniu: „Co się stało?”, „Chyba ptaki”. Nie mieli pojęcia, dopiero gdy Su-24 wylądował, na prawym skrzydle zauważyli ślad. Ich myśliwiec leciał wtedy z bombą, którą miał zrzucić na poligon. Byli więc przerażeni. A przecież już od doby cały świat przyglądał się radzieckim lotniskom w Polsce.

Dzień wcześniej, 4 lipca o godzinie dziewiątej czternaście z lotniska Bagicz pod Kołobrzegiem startuje MiG-23 o numerze 29. Pilotuje go pułkownik Nikołaj Skuridin. Ledwo przelatuje nad głowami plażowiczów, a silnik zaczyna zwalniać i traci obroty. Mig opada.

Jest dwudziesta dziewiąta sekunda lotu, wysokość: sto metrów. Skuridin katapultuje się. Nawigator, podpułkownik Bałykin, obserwuje zgaśnięcie płomienia dopalacza i dym za silnikiem. Znacznik samolotu znika ze stacji radiolokacyjnej. Podrywają się jeszcze dwa inne migi, żeby sprawdzić, gdzie spadł myśliwiec, nie znajdują jednak śladu. Piloci uznają, że jest już w głębinach Bałtyku. Skuridin, potłuczony po lądowaniu na spadochronie, jedzie do szpitala, robią mu prześwietlenie, a potem wraca do sztabu. Wtedy nadchodzą wieści: samolot nie spadł do Bałtyku. Dziesięć sekund po katapultowaniu się pilota silnik zaczyna pracować prawidłowo. Pusty samolot wznosi się, a jego lot kontroluje system stabilizacji. Z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę i na wysokości dwunastu kilometrów mig mknie dalej. Gdy mija granicę między NRD i RFN, podrywają się do niego dwa amerykańskie F-15. Piloci Bill Murphy i J. D. Martin meldują, że w kabinie brakuje pilota. Dostają rozkaz: wycofać się.

A mig leci dalej.

Kontrolerzy z bazy w Nieuw-Milligen w Holandii panikują: to atak kamikaze! To broń biologiczna!

Mig leci dalej.

Zbliża się do granicy Francji i gdy jest już niedaleko, wylatuje do niego para mirage’y. Mają rozkaz zestrzelić myśliwiec, gdy tylko przekroczy francuską granicę.

Ale mig leci dalej, obok.

Po dziewięciuset kilometrach i siedemdziesięciu minutach bez pilota myśliwiec zniża lot. Kończy się paliwo. Spada na farmę we wsi Kooigem, niedaleko Kortrijk w Belgii. Dziewiętnastoletni Wim Delaere, syn farmera, ginie na miejscu. Z gruzów domu wystaje ogon myśliwca z wymalowaną czerwoną gwiazdą.

– Nigdy nie zgłaszali nam lotów, uważali, że nie muszą – mówi Ławruszczuk. – My musieliśmy dostać zgodę i zamówić wysokość. Oni uważali, że w Polsce nie muszą się z niczego tłumaczyć. A jednocześnie dowództwo stawiało im ogromne wymagania i wysokie normy. Jak żołnierze nie chcieli dostać po głowie, to musieli je spełniać. Ale nigdy nie mogli ich spełnić, bo nie starczyło na to czasu i ludzi.

Czy dlatego było tak wiele wypadków?

– Koło Przemkowa są moczary. Rosjanie mieli tam swój poligon śmigłowców. Ćwiczyły kliny i bombardowanie. Raz widziałem, jak śmigłowcowi urwał się ogon – kontynuuje Ławruszczuk.

W sierpniu 1992 roku śmigłowiec wojsk już byłego ZSRR, przelatując nisko nad jeziorem Drawsko, zniszczył maszt i żagle łodzi typu Omega.

> W mieście w związku z częstymi lotami samolotów na niskim pułapie oraz przekroczeniem bariery dźwięku dochodzi do bardzo częstych szkód w postaci popękanych szyb, zniszczonych dachówek i obróbek blacharskich na dachach. Wybuchy towarzyszące samolotom podczas przekroczenia bariery dźwięku powodują często nie tylko wypadanie szyb, ale całych okien z obramowaniem, co miało miejsce m.in. w Zasadniczej Szkole Zawodowej przy Fabryce Urządzeń Mechanicznych w Chocianowie

– pisze w latach osiemdziesiątych w liście do wojewody w Legnicy naczelnik gminy Chocianów Marek Szczerbiak.

Radzieccy piloci latali migami tuż nad dachami, nocą. W Brzegu, gdzie lotnisko oddalone było od centrum miasta o półtora kilometra, piloci szkolili się bez przerwy, a od hałasu pękały ściany domów.

Zagrożeniem były też manewry. Transportery wyjeżdżały na zasiane zboża, czołgi tratowały lasy, a od ostrzału artyleryjskiego powstawały pożary.

– W 1987 leciałem na antonowie niedaleko Nowego Miasteczka. Drogą w stronę Wilkocina sunął konwój, ciężarówka za ciężarówką. Radziecka rakieta uderzyła tam w gospodarstwo. Próbowali odbudować zniszczenia, zanim zrobi się o tym głośno – opowiada Ławruszczuk.

Marek Ochocki, komendant milicji z Legnicy, w książce *Byłem człowiekiem Kiszczaka* wspominał:

> Odstrzeliwano nową rakietę powietrze–ziemia kierowaną telewizyjnie. Miał to być szczyt techniki, więc wszyscy, całe dowództwo, pojechali na poligon. MiG trzepnął rakietę, a rakieta skierowała się prosto w dowództwo. Po prostu stracono nad nią kontrolę. Skręciła jednak nagle przed stanowiskiem obserwacyjnym, uciekła im i walnęła w środek pobliskiej wsi. W gospodarstwo. Lej jak cholera. Człowiek, który przechodził obok, wyparował. Nic nie zostało. Znaleźliśmy tylko kępkę włosów.

Andriej Gołubiew został powołany do wojska w lipcu 1987 roku. Służył w dywizji samochodowej. O próbnych ćwiczeniach z gotowości bojowej pisze na swoim blogu:

> Trafiłem do Świętoszowa jako kierowca w kompanii zaopatrzenia. My, „młodzi" żołnierze, powinniśmy byli przez trzy miesiące – przed przysięgą – odbywać kwarantannę. Nie dostaliśmy jeszcze broni ani samochodów. Ale po dwóch miesiącach trafiłem na ćwiczenia.
>
> 9 września 1987 roku przyleciał minister obrony narodowej ZSRR. Dzień później, akurat wchodziliśmy do stołówki na obiad, na naszym placu ćwiczeniowym wylądował helikopter. Ledwo żeśmy usiedli przy stołach, jak do środka wbiegł dyżurny i wykrzyczał: „Alarm!". Nikt nie zareagował. Wtedy uderzył kijem o blat stołu (zawsze chodził na dyżur z kijem od łopaty): „Pieprzyć wasze matki! Alarm!". Podskoczyliśmy i tłum ruszył do wyjścia.
>
> Zdążyłem zgarnąć ze stołu parę kromek chleba i wcisnąć do kieszeni. W kompanii rozdawali automaty i worki na rzeczy osobiste. My, „młodzi", nawet nie złożyliśmy jeszcze przysięgi, więc broni nam nie dali, ani prowiantu. Powiedzieli, że poprowadzę ciężarówkę Ural. Na oczy urala nie widziałem.
>
> Wsiadłem do urala, ale nie odpalił. Ktoś ze starszych zażartował, że odpala tylko, jak inne auto go pociągnie. Przyczepiliśmy linę do drugiego urala i ruszył. Zgasł na pierwszym zakręcie, po pięciuset metrach. Ciągnęli mnie na linie do wieczora. W pierwszej wsi doczepili mnie do kraza. Kierował nim – również nie mając pojęcia o prowadzeniu takiego samochodu – „Murzik" Murzajew. I tak jechaliśmy całą dywizją przez Polskę. Wszystko się wymieszało. Jaka kompania, pułk, gdzie dowództwo, cholera wie. Jechaliśmy tam, gdzie wszyscy, polską drogówkę pytaliśmy o kierunek.
>
> Linka nie była zbyt dobra i czasem mój samochód – bez hamulców, ale z sześcioma tonami benzyny w cysternie – się odczepiał. Raz wyleciałem na przeciwny pas ruchu.

Murzik podjeżdżał tyłem, zaczepiał i ruszaliśmy dalej. Przejechaliśmy w noc sto kilometrów. Na początku jeść ani spać się nie chciało, ale nad ranem chleb w kieszeni się skończył i poczułem głód. Zrywaliśmy gruszki, śliwki z drzew koło drogi. O świcie ogołociliśmy komuś jabłoń w ogródku.

A od rana spotykaliśmy chłopaków z kompanii: stali po bokach drogi, leżeli na trawie, jakby czekając na zbawienie. Żeby wyremontować ich samochody, rozbierali z części mój, bo przecież i tak tylko jechał na linie. W nocy z mojej cysterny tankowali ich auta. Albo sprzedawali Polakom. Kupowaliśmy za to chleb, pierwszy posiłek po dwóch dobach. Walczyłem ze snem, otwierając okna, drąc się i śpiewając piosenki.

Im dłużej jechaliśmy, tym mniej widzieliśmy samochodów, bo kolumna tak się rozciągnęła. Trzeciego dnia, po przejechaniu trzystu sześćdziesięciu kilometrów, skręciliśmy z drogi i wyjechaliśmy na poligon w Bornem Sulinowie. Pośrodku poligonu Murzikowi popsuło się sprzęgło. Nikogo wokół, tylko piasek przekopany gąsienicami czołgów.

Dowódca pytał się: „Czy widzieliśmy innych?”. Okazało się, że z kompanii nie dojechało osiem samochodów. Inne dojechały poobijane. Mnie urwało lewe drzwi.

Następnego dnia po śniadaniu z technikiem kompanii zamontowaliśmy wszystko, co zabrali mi po drodze, i naprawiliśmy urala. Auta ustawiliśmy w kolumnie. Na czwarty dzień pojechaliśmy z powrotem. Dywizja dostała za ćwiczenia „dwójȩ”. Zniszczone samochody, porozrzucane po Polsce, zbierali jeszcze cały miesiąc.

Archiwa pełnomocnika rządu do spraw pobytu wojsk radzieckich w Polsce pękają w szwach od skarg obywateli i pism z Warty i PZU.

W 1986 roku skarżą się na przykład kolejarze, radzieccy żołnierze usunęli na wysokości swojego garnizonu fragment trakcji elektrycznej. Nadjeżdżające pociągi muszą pokonać teraz odległość rozpędem.

Najwięcej spraw związanych jest z wypadkami drogowymi.

W latach 1956–1993, można wyczytać w aktach, radzieccy żołnierze spowodowali śmierć dwustu piętnastu obywateli Polski, stu dziewięćdziesięciu zginęło w wypadkach, najczęściej drogowych. Najpoważniejszy miał miejsce w styczniu 1978 roku: żołnierz PGWAR wjechał w tłum ludzi – zginęło czternaście osób, kilkanaście zostało rannych.

Radzieccy kierowcy mieli za sobą jedynie krótki kurs samochodowy w szkole kierowców w Brześciu. Nie znali alfabetu łacińskiego, niektórych

znaków nie potrafili odczytać. Kierowców ze szkoły w Brzegu dobierało się tak: brało się tego, któremu lepiej patrzy z oczu. Ignorowali sygnalizację świetlną, wymuszali pierwszeństwo. Jeździli transporterami po ulicach pod wpływem.

Prowadzone przez Rosjan statystyki mówią, że przyczyną dwudziestu procent wypadków był brak doświadczenia kierowców, a ponad sześćdziesięciu procent było naruszenie przepisów. Pozostałe to jazda po alkoholu. Dowództwo wprowadziło pogadanki wychowawcze, kontrole. I zasadę: kierowcy musi towarzyszyć znający teren i przepisy oficer-pilot.

(Dziś podobny problem ze znajomością przepisów i licznymi wypadkami mają wojska amerykańskie w Polsce, z przepisów szkoli ich polska policja).

Winę kierowcy, który spowodował wypadek na drodze do garnizonu, rozpatrywała prokuratura radziecka. Jeśli jechał dokądś samowolnie, sprawę brali polscy śledczy, choć karę nadal wymierzała Armia Radziecka. Kierowca, który 28 lipca 1960 roku w Paprotni zabił trzynastoletnią Stanisławę Kowalską, dostał trzy lata. Osiem lat – sprawca wypadku z 31 sierpnia 1968 roku (zginęło czterech żołnierzy Wojska Polskiego).

Więzienia unikano na wszelkie sposoby. Sprawcy i ich przełożeni nie zawiadamiali więc o wypadkach. Bali się, bo oznaczało to dla nich surowe reperkusje i powrót do ZSRR. Wypadek starali się zatuszować albo naprawić szkody na własną rękę.

Oficer Ludowego Wojska Polskiego Mieczysław Borkowski wspomina, że gdy w jego samochód uderzył samochód, który wiózł radzieckiego generała na lotnisko, po trzech tygodniach jego auto zostało wyremontowane na koszt Armii Radzieckiej. W gratisie za niepowiadomienie milicji generał dostał baniak spirytusu.

Bronisław Czapski z aeroklubu w Lubinie pojawia się na lotnisku następnego dnia po strąceniu Pirata. Nad drzazgami szybowca stoi grupa radzieckich generałów. Robią zdjęcia. Podchodzi do nich blisko.

– Słyszę, jak mówią, że „trzeba to jakoś załatwić” – opowiada Czapski.

Najpierw do Warszawy przylatuje dowódca Sił Powietrznych ZSRR Aleksandr Jefimow. Ambasador ZSRR Władimir Browikow składa wyrazy współczucia Wojciechowi Jaruzelskiemu i rodzinie Majewskich, w garnizonie obiecują pomoc przy organizacji pogrzebu. „Wyciągnięte zostaną odpowiednie wnioski, winni poniosą sprawiedliwą karę” – zapowiadają. Ale potem następuje roszada w dowództwie i Północną Grupą Wojsk ma dowodzić znany z nieustępliwości generał Wiktor Dubynin.

– Kiedy ochłonęli, zaczęli się wycofywać – opowiada Ławruszczuk. – Twierdzili, że byli wyżej, a nasze wysokościomierze były przestawione.

„Nadzwyczaj szczegółowe dochodzenie okoliczności wypadku” jest krótkie. Przeprowadziła je komisja ZSRR, która stwierdziła, że przyczyną wypadku było naruszenie przepisów przez obu pilotów (nieprawidłowa wysokość).

Marcin Jaxa-Rożen:

– W komisji brałem udział jako sprawozdawca. I powiem, że Rosjanie podchodzili do tego wypadku tak, jak podchodzą do wypadków wszyscy lotnicy: stało się nieszczęście i w obliczu tego nieszczęścia trzeba obronić swój tyłek. Kłamać można na różne sposoby, nie trzeba tworzyć nowych faktów. Wystarczy niektóre pominąć. Samolot radziecki nie miał prawa znaleźć się w tym momencie nad lotniskiem, i kropka. Nie miał zgody na przelot. Kropka. Ale dochodzenie radzieckiej prokuratury robiło wszystko, by w protokołach nie napisać o winie rosyjskiego pilota. Chcieli wykazać, że współwinny był Maciek.

O współwinie pilotów mówi na konferencji prasowej radziecki attaché wojskowy. Dowód to zeznania nawigatora, pilota Mysniczenki i czarna skrzynka.

Załącznik do „szczegółowego dochodzenia okoliczności wypadku” – „psychologiczna ekspertyza okoliczności, które doprowadziły do niezamierzonej utraty wysokości i osłabienia przezorności”:

> Psychologiczne okoliczności lotu, w których znalazła się załoga samolotu Su-24, doprowadziły do nieświadomej pomyłki […]. Mylne działanie pilota Mysniczenki wynikło z wymuszonej zmiany stereotypu w rozplanowaniu uwagi i kontroli

wzrokowej między wewnętrzną i zewnętrzną przestrzenią kabiny, konstrukcyjnych właściwości diagramu pola widzenia z kabiny wymienionego samolotu i optyczno-fizjologicznych warunków dla postrzegania lecących szybowców. Wszystko to w swoim psychologicznym całokształcie stworzyło warunki przewyższające psychofizjologiczne możliwości człowieka podczas jednoczesnego wykonywania dwóch wysoko motywacyjnych zadań: pilotowania i kontroli przestrzeni poza kabiną. Wymienione mylne zachowanie pilota może być zakwalifikowane jako rezultat psychofizjologicznych ograniczeń ludzkich możliwości aniżeli wina personalna.

Dochodzenie polskiej komisji wykazało jednak, że aeroklub dobrze zorganizował loty, Maciej leciał tak, jak miał zalecone. Śląska prokuratura przekazywała sprawę do ponownego rozpatrzenia radzieckiej Prokuraturze Wojsk Lotniczych. Ta kilka razy umarza postępowanie karne przeciwko Igorowi Mysniczence i podtrzymuje winę Maćka Majewskiego.

Mariusz Ławruszczuk:

– Zdzisiek, ojciec Maćka, sam instruktor szybowcowy, walczył. Wysyłał listy do pełnomocnika rządu do spraw pobytu wojsk radzieckich, prokuratury, Komisji Badania Wypadków Lotniczych, Ministerstwa Transportu, do kół poselskich, dowódcy wojsk lotniczych. Prosił samego generała Dubynina. Po półtora roku radziecki prokurator wojskowy wydał oświadczenie, że „uznaje bezsporny fakt katastrofy lotniczej powstałej z wyłącznej winy kapitana Igora W. Mysniczenki”. Dalej nie była to cała prawda. Winą pilota według prokuratury było, że nie zauważył lecącego pod chmurą białego szybowca. Nikt nie poinformował go jednak o zgłoszonych tego dnia lotach. Został odesłany do ZSRR. Potem okazało się, że jego zeznania zostały złożone pod naciskiem przełożonych. Ustalenie wysokości i ekspertyza psychologiczna były wymyślone.

Dla Zdzisława Majewskiego sprawa się nie skończyła. Rząd PRL, a potem RP, nie wystąpił do ZSRR, a potem Rosji, o odszkodowanie. Armia Radziecka nie uznała prawa ojca do rekompensaty. Majewski o odszkodowanie zaczął się więc sądzić z Polską.

Ławruszczuk:

– W 1989 roku nikt nie spodziewał się, że wyniosą się tak szybko. Uznaliśmy więc, że pokażemy im nasze lotnisko. Niech zobaczą, jak kruche są szybowce, żeby tragedia się nie powtórzyła. Potem oni zaprosili nas na swoje. Mogliśmy rozmawiać szczerze. Ale tylko o samolotach, o szkoleniu i lataniu. No i towarzyszył nam oficer polityczny. „Widziałeś tego iła-76?”, powiedziałem do swojego instruktora. Ił miał napis „Aerofłot”, a z tyłu kabinę strzelecką. Na lotnisku mieli siedemnaście saun. Oddzielna dla oficerów, dla zaplecza, dla nawigatorów. Poszliśmy się tam wygrzać, a po saunie zabrali nas na strzelnicę. Generał Krasnow przeładował kałacha, zawołał: „Przeciwników pierestrojki!”. I tratatata! A Ula, mama Maćka, bardzo źle odebrała nasze spotkania. Uznała, że jest to wielka przyjaźń z tymi, którzy zabili jej syna. Rozumiem ją. Zdzisiek sam był pilotem, inna była z nim rozmowa. Kiedy się spotykaliśmy, opowiadał mi o swojej walce o odszkodowanie. Mówił, że chcieli założyć fundację imienia Maćka. Belgijska rodzina, która straciła syna w wypadku dzień wcześniej, dostała od Rosjan osiemset tysięcy dolarów. Ja odszkodowanie za utracony szybowiec też wywalczyłem szybko i łatwo. Podałem sumę z kosmosu, kupiliśmy za to dwa szybowce Junior i jeszcze wystarczyło na siedem spadochronów. A Zdzisiek walczył. Było mi głupio – opowiada Ławruszczuk.

„To stało się na moich oczach. Nie zapomnę nigdy” – mówił Majewski w sądzie po trzynastu latach od wypadku, w 2002 roku. Przeciwko niemu występowali pełnomocnicy wojewody dolnośląskiego i ministra skarbu.

Usłyszał wyrok: za śmierć należy się sto tysięcy złotych odszkodowania od Skarbu Państwa.

– Jeszcze parę lat latał na dromaderach – opowiada Mariusz Ławruszczuk. – Nigdy już nie wracaliśmy do tamtego dnia. Potem spotykaliśmy się w klubie lotniczym we Wrocławiu. Do końca żył sprawą o odszkodowanie. Zniszczyła go, umarł razem z nią. A ja? Gdy Armia Radziecka wyszła z Polski, wylądowałem sobie na tym ich lotnisku. Potem już nie można było.

Na środku pasa lądowania powstała wytwórnia asfaltu. A płyty lotniskowe zostały zerwane. Na wsiach pod Legnicą do dziś stoją z nich płoty.

Trzebień. Być albo nie być

„Teren prywatny!” „Wstęp wzbroniony!” (namazane białą farbą na murze).

Obok numer telefonu, dzwonimy.

– Budynek dostała moja babcia za mienie zabużańskie. Wcześniej było w nim radzieckie kino. W takim stanie, że filmy dałoby radę oglądać. Ale pojawili się dzicy lokatorzy i zrobiła się rudera. Ja bym to oddał, nawet za darmo. Ale nikt nie chce – mówi właściciel.

Zjechaliśmy z głównej drogi i zatrzymaliśmy się przy dawnej bazie radzieckiej w Trzebieniu. Szkielety garnizonowych budynków nie mają okien ani drzwi. Gołe ściany, skuty tynk, zerwana podłoga, czasem brakuje schodów. Wszystkie takie same. Nagie. Jakby je zdemobilizowano, ściągnięto mundur, zdarto pagony.

Tylko w sali kinowej łuszczy się na ścianie jeden malowany radziecki żołnierz. Pastelowa farba odchodzi płatami. Nie ma już foteli, ktoś ukradł kotary na okna.

Wchodzimy na piętro, jednego schodka brakuje. W jednym z pokoi na podłodze walają się podarte i wysmarowane cementem kawałki starych radzieckich gazet. Otrzepujemy papier z betonu, siadamy na podłodze i czytamy newsy z przeszłości:

> Kiedy na warcie stoi szeregowy Atrachimienok, można spać spokojnie – tak powie każdy, kto zna tego żołnierza. Za sobą ma dwa lata nieskazitelnej służby, ponad dwadzieścia pochwał od dowódców, a co drugą za czujność na służbie wartownika. Niedawno dowódca jednostki postanowił szczególnie wyróżnić szeregowego Atrachimienoka: zapewnił mu krótki urlop […].

> Być albo nie być! Właśnie tak brzmi pytanie o dzieje ludzkości w wypadku konfliktu jądrowego. W naszym kraju, według badań, o tej kwestii w swoich rodzinach dyskutuje połowa respondentów. Sposobów, by zagwarantować bezpieczeństwo międzynarodowe i wyjście ludzkości cało z konfliktu, szukają przedstawiciele ruchów społecznych, prądów politycznych, autorzy koncepcji ideologicznych […].

[…] naród grecki w tej chwili nie jest zainteresowany problemem amerykańskich baz. Przeciwko rozmieszczeniu ich na greckiej ziemi ostro wystąpiły Komunistyczna Partia Grecji i organizacje antywojenne, zaniepokojone podporządkowaniem interesów państwowych Stanom Zjednoczonym oraz zagrożeniem dla pokoju […].

O koncepcji przejścia do regulowanej gospodarki rynkowej. Wystąpienie N. Ryżkowa podczas trzeciej sesji Rady Najwyższej ZSRR […].

[…] nasz korespondent rozmawia z oficerem oddziału politycznego majorem R. Chałfinem.

– Rafailu Engelsowiczu, pan jest jednym z oficerów kierujących działalnością komisji politycznych. Jak wygląda praca z młodymi, którzy dopiero co trafili do jednostek?

– Komisja wita nowych poborowych jeszcze na lotnisku. Po ich wylądowaniu odbywa się zapoznanie i skierowanie żołnierzy do jednostek. W tej pracy uczestniczą pracownicy polityczni. Analizują, z jakich regionów przybyli poborowi, jakiej są narodowości, jakie mają specjalizacje. W procesie zapoznania się wysłuchują próśb i wniosków. Opowiadają im o kraju, w jakim się znaleźli.

– Rafailu Engelsowiczu, najlepiej o komisjach politycznych świadczą rezultaty ich pracy. Chodzi o przestrzeganie dyscypliny wojskowej. Jakie są na tym polu wyniki w bieżącym roku?

– Sprawa dyscypliny opracowywana jest kompleksowo. W tym roku udało nam się obniżyć odsetek naruszeń dyscypliny o 15 procent. To daje nam prawo mówić o wysokiej efektywności komisji politycznych i […] (urwane).

– A listy z domu dostajesz?

– Tak, regularnie. Piszą, że mają się dobrze. Ale mimo wszystko bardzo się o nich bałem na początku. W wiadomościach raz była wzmianka o rejonie Laçın. Dlatego poprosiłem rodziców, żeby wysłali aktualne zdjęcie całej rodziny. Wysłali niedawno. Oglądaliśmy całą kompanią. Chłopaki cieszyli się razem ze mną.

– A od brata z Baku masz jakieś wiadomości?

On też wysłał. Ma na imię Ibadat. Już odbył służbę. Prosi, bym i ja służył z honorem. Jeszcze pisze, żebym opowiedział swoim chłopakom, że on w pogromach nie uczestniczył. Wierzę mu. Przeczytałem chłopakom i też uwierzyli.

– Wołodia, co byś zrobił, gdybyś był teraz w Azerbejdżanie?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, ale prawdopodobnie […].

Wychodzimy na powietrze. Za płotem złomowisko, a dalej za drzewami budowa. Dźwięki ze złomowiska mieszają się z pracą maszyn. Ale nasłuchujemy, bo wydaje nam się, że słychać jeszcze coś. Głos, ktoś mówi po rosyjsku. Zaglądamy za budynek. Młody mężczyzna z Ukrainy trzyma w ręku telefon. Staje jak wryty.

– Ja tu pracuję legalnie! – woła i chowa się za drzwi.

Handlujcie, towarzysze! (1956–1993)

Kapitalizm rodzi się w komunizmie, zaświadczy Jewgienij Popow, dawniej wojskowy, dziś biznesmen. Handlu nauczył się w Polsce.

– W domu w Uljanowsku było nas dziesięcioro. Na naukę pieniędzy brakowało, więc poszedłem tam, gdzie dawali dach nad głową, ubranie i gdzie nakarmili. W kamasze. W Bornem Sulinowie okazało się, że jedzenia z przydziału jest więcej, niż mi potrzeba. Po moją kaszę i mięso ciągle ustawiali się jacyś chętni Polacy. Co zarobiłem, to zaraz wydawałem. Kupowałem dżinsy, skajowe kurtki i zestawy naczyń. Porcelanę z serii Miłosna z wymalowanymi przy brzegach różami. Piękna rzecz! Sprzedawałem potem to wszystko z zyskiem w ZSRR.

Podpułkownik Rustam, który służył w Legnicy, Świdnicy i Kołobrzegu, ostatni komplet radzieckiej pościeli sprzedał kilka dni przed wycofaniem armii.

– Na bazarze sprzedawałem też wojskowe lornetki. W moim rodzinnym miasteczku była fabryka optyczna, dostawałem je po kosztach.

Igor Alejnikow, mówi, że gdy przejeżdżał przez wsie wokół Kłomina, to na wszystkich sznurach do prania suszyły się wojskowe gacie.

– Palce w tym maczał nasz kierownik zaopatrzeniowiec. Były ścisłe zasady, jak długo należy nosić każdą część garderoby, od majtek po buty. Buty na przykład miałem wymieniać co pół roku. Ale jeśli nie były całkiem dziurawe, palce nie wystawały, to kierownik zaopatrzeniowiec mówił: „No weź pochodź jeszcze”. Więc chodziłem dalej, rok albo półtora, zanim całkiem się nie zdarły. A tymczasem kierownikowi zwalniała się przydziałowa para. Sprzedawał je na wsi.

Ciągnik, truskawki, świnia

Jeździmy po Polsce i pytamy o transakcje sprzed kilku dekad.

– Ciągniki rolnicze, samochody, ale najwięcej to paliwo – opowiada Sławomir Moskalewicz ze Szczecinka. Z żołnierzami radzieckimi handlował przez szwagra. – Cała rodzina szwagra handlowała, a ja mu pomagałem. Ale nie podobało mi się to.

– Dlaczego?

– Moja rodzina, która była w AK na Wołyniu i chowała się w lesie pod Kowlem, walczyła z Niemcami, walczyła z Ukraińcami, ale to od Ruskich zginęli. Ciotka chciała zobaczyć, czy dom jeszcze stoi. Złapali ją, zgwałcili i zabili. Potem ojciec się ujawnił i komuniści wsadzili go do Wronek. Starszy stryj, który został w lesie, wcześniej uratował życie jednemu czerwonemu. Dowiedział się, że tamten pracuje teraz w Ministerstwie Bezpieczeństwa. Przebrał się w mundur polskiego sierżanta, pojechał do Warszawy i załatwił ojcu uniewinnienie. A potem wrócił do lasu i też go Ruscy zabili. Ojciec wyszedł z aresztu w 1946 roku i przyjechał do Szczecinka. „Ty! Jak się nazywasz?”, zaczepili go Rosjanie, którzy mieli już tu garnizon. „Moskalewicz”. „O, dobrze! To będziesz naczelnikiem stacji”. Potem został jeszcze kierownikiem masarni, a wtedy to był ktoś. Przychodzili więc do nas radzieccy i lała się wódka. Ojciec musiał ich przyjmować, choć złość w nim kipiała. Po pijaku zdejmowali medale z Leninem i oddawali mi. Nie znosiłem ich, ale korzyści z sąsiedztwa czerpaliśmy. Ale nikt ich tu nie lubił, no choćby przez to masło.

– Jakie masło?

– Przyjeżdżali do mleczarni po parę ton masła, a z zakładów mięsnych wyprowadzali mięso na paki. Tymczasem w polskich sklepach brakowało jedzenia. Czego nie przejedli, to zakopywali jak wiewiórki. A potem poznałem szwagra. Handlowaliśmy trochę paliwem i jedzeniem. To było ryzyko. Raz szwagier pojechał do nich i nie wrócił. Szukaliśmy dwa dni, przepadł jak kamień w wodę. Ruscy mówili: „Nic nie wiemy”. Dopiero

jak matka szwagra wysupłała całe złoto i im zawiozła, wypuścili. Siedział w piwnicy, bo podobno za mocno się targował. Ale jak chcecie się dowiedzieć czegoś o handlu z Sowietami, to jedźcie do Liszkowa. Bo wszystko szło przez Liszkowo, które leżało najbliżej garnizonu. Czegoś ci trzeba, benzyny czy silnika, to jechałeś do Liszkowa i tam zamawiałeś.

Żywej duszy. Jakby całe Liszkowo wyparowało. Idziemy pytać w sklepie, bo wiejski sklep jest jak turystyczny punkt informacyjny, o każdej porze udzielą tam potrzebnych wskazówek.

Sklep w Liszkowie jednak również zamknięty.

– Co to za apokalipsa? – pytamy.

– Msza święta – tłumaczy mężczyzna w siatkowej czapce z daszkiem. Też czeka na otwarcie. Ledwie to mówi, drzwi małego białego kościoła na placu pośrodku Liszkowa otwierają się i ze środka wylewają się ludzie.

Sklepowa wysyła nas do sołtyski Renaty Komorowskiej. U sołtysowej ujadają psy. Komorowska ćmi papierosa na ganku ceglanego domu.

– Czym żeśmy handlowali? – powtarza nasze pytanie. – O Jezus, wszystkim żeśmy handlowali. Życia mi nie starczy, jak zacznę teraz wymieniać. Właściciel skupu złomu opowiadał mi, że pod koniec pobytu armii chłopaki z Kręgów przynieśli mu nawet na sprzedaż kabinę pilota z myśliwca. Poszedł do garnizonu, bo się wystraszył. „*Wsio w poriadkie*”, powiedzieli. I czołgowe gąsienice w skupie widziałam.

Do Liszkowa z Poznania Renata Kaczorowska sprowadziła się z mężem w latach osiemdziesiątych.

– Nie miałam pojęcia, że obok jest radzieckie miasto. Na mapach tu wszędzie były lasy. Trzeciego dnia poszliśmy na grzyby, nosy do ziemi, szukamy podgrzybków. I tak trafiliśmy na szlaban. Zza drzew wyszedł Rosjanin: „Dalej nie wolno”. Miałam uczyć matematyki i chemii w szkole w Łubowie. Ja uczyłam o liczbach i pierwiastkach, a dzieci mi tłumaczyły, jak wygląda karabin maszynowy. Przyzwyczaiłam się, że przynoszą naboje. Ale jak jeden chłopiec przyniósł granat, pobiegłam z krzykiem do dyrektora. A ten zaśmiał się: „Ale to bez zapalnika”. Zostało nam po nich

więcej tych prezentów, jak się rurę kładzie na działce, to obowiązkowo trzeba wzywać saperów. A wiecie, szkoda mi ich było! Na wartowni zawsze stali najmniejsi i najchudsi. Przywalił mróz minus dwadzieścia, to wysłałam dzieciaki z gorącą zupą. Wsuwali i patrzyli tylko, czy oficer nie idzie. I wesoło było. Wychodzę raz przed dom, a tu transporter opancerzony zaparkowany na podwórku. Poszli pić do sąsiada. A sąsiadce w nocy czołgiem raz wjechali w dom. Narobiła awantury, ale sprawnie jej tę ścianę naprawili, jeszcze w nocy. A z rzeczy, które od nich się kupowało, to jeszcze były świnie.

– Świnie? Skąd te świnie?

– Mieli świniarnię po drugiej stronie kanału. Potem łatwo się poznawało, który gospodarz we wsi ma świnie sowieckie, bo były biało-czarne, a nie takie jak nasze biało-różowe. Na polską edukację też mieli wpływ. Dyrektor szkoły kupował od Rosjan farbę do malowania szkoły. Zapłatę najchętniej brali w gotówce albo wódce. Za pół litra beczka benzyny. Podjeżdżali pod kościół cysterną, a ludzie tankowali syrenki. Ryby też od nich braliśmy. Mieli fajne urządzenia do łapania ryb, nazywaliśmy to „Nataszą”. Razili ryby prądem i wypływało tyle, że nie mieli, co z tym robić. Zamrażarki do mleka ludzie brali. Złoto i obrączki – wylicza sołtysowa.

Jeden chłopak z Liszkowa wziął obrączkę i nie zapłacił. Przyjechali na ciężarówce, żeby go odszukać. Pod sklepem stał siedemnastoletni Andrzej. Radziecki żołnierz, mocno wypity, przystawił mu karabin do klatki i strzelił. Pomylił się, bo to nie Andrzej wziął obrączkę.

Zdzisiek Redosz, Janek Turowski i Józek Pańczyk z Liszkowa poszli na wartownię mścić się za Andrzeja. Poturbowali pięciu żołnierzy, zabrali im pistolety i bagnety. Zdzisiek zakopał broń w ogródku, więc dostał najwięcej, siedem lat więzienia. Janek nie miał jeszcze siedemnastu lat, więc dostał pięć lat. Tak samo Józek, w więzieniu nazywali go „Ruskobójcą”.

– Ja najczęściej kupowałam produkty dla dzieciaków, u nas w sklepach takich nie było. I kosmetyki za papierosy. Pralkę też wzięłam, dobrą,

automatyczną, ale to trzeba było się pilnować i nie powiedzieć „awtomat”, co znaczy kałasznikow. „Sti-ral-na-ja ma-szy-na”, tak jest poprawnie.

– Zostało coś pani jeszcze?

– Mundur czołgisty i dwa granaty ćwiczebne – mówi sołtyska i pokazuje.

– A po co to pani?

– A przydały się, jak robiliśmy przedstawienia z dzieciakami.

We wsi Nietoperek obok Kęszycy Leśnej, dawnego garnizonu Gródek, mieszka sołtys Wacław Nycz, który dzięki sprzedaży truskawek wylądował w Stalingradzie. Oprowadza nas po domu wypełnionym pamiątkami i zdjęciami z Kresów, skąd pochodzi. Przeglądamy artykuły z czasów pożegnania armii, które sołtys przechował.

– Na początku pobytu to jednak mieli rygor – mówi, spoglądając na pożółkłe fotografie. – Ale potem im się dyscyplina rozluźniła. A to zhandlować zwój kabla przychodzili albo co innego zwędzili z poligonu. Jak przy bocznicy rozładowywali węgiel, to i we wsi był węgiel. Przywozili go ciężarówką, zawsze we dwóch, jeden pilnował drugiego. Paliwo oficer podrzucał tu samochodem, a szeregowy pieszo przynosił w kanistrach. W zamian najchętniej chcieli pieniądze albo wino. Ja pod garnizonową bramę woziłem Sowietom truskawki. Którymś razem się trochę spóźniłem, podjeżdżam, a tam czeka już kilkudziesięciu, takie łasuchy. Jak się lepiej poznaliśmy, to jeden podoficer przyjechał mi sprzedać lodówkę. Pogadaliśmy trochę i zaczęli przychodzić już do nas często, bo w garnizonie im się nudziło. Potem my pojechaliśmy z żoną do nich w odwiedziny pod Wołgograd, czyli dawny Stalingrad – opowiada sołtys Nycz.

W Wołgogradzie zwiedził kurhan Mamaja, w którym pochowanych jest trzydzieści sześć tysięcy radzieckich żołnierzy i nad którym wznosi się ogromna statua Matki Ojczyzny – z wyciągniętym mieczem wzywa „synów do walki z najeźdźcą”. Przywiózł sobie też słoje miodu gryczanego.

– A tuż przed samiutkim odjazdem przyszedł do mnie jeden chłopak i gorąco namawiał, żebym wziął od niego wintówkę, ale nie chciałem.

– Jaką wintówkę?

– Karabin wyborowy Dragunowa.

Jad żmii, freon, cukierki, maść Mumijo

Na handel mówi się „potlacz” (potlacz to ceremonia Kwiakiutlów, rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej; wodzowie Kwiakiutlów oddawali w obrzędzie swoje dobra, aby podnieść swój status społeczny). Polacy mają rzeczy i radzieccy żołnierze mają rzeczy. Po Legnicy Sowieci chodzą z bańkami do mleka. W środku – freon, który sprzedają majstrom od naprawy lodówek. Mieszkańcy Legnicy sprzedają żołnierzom polskie dżinsy z Zakładu Przemysłu Odzieżowego „ELPO”, wcześniej doszywają do nich napis „Levi’s”. W Świdnicy za owczarka niemieckiego można dostać strzelbę. W puszkach po farbie jadą do ZSRR polskie balerony. Bronisław z Lubina wozi na potlacz żonom oficerów łódzkie biustonosze. Matka Andy Rottenberg, przyszłej historyczki sztuki, szyje im sukienki za kawior, a pani Władzia za kapelusze robione żonom oficerów pobudowała domy dzieciom. Rolnicy ze wsi pod Legnicą sadzą trochę więcej kapusty – w zamian dostaną olej napędowy i śledzie z Morza Białego.

Im dłużej trwa PRL i im dłużej stoją radzieckie garnizony, tym handluje się więcej i śmielej.

Handluje się paliwem. W Kłominie żołnierze wynoszą je z bazy w kanistrach. A z Bornego Sulinowa wywożą nocami w beczce ciężarówką. Beczkę zrzucają kupcowi do ogródka, odbierają ją kolejnego dnia, z przyklejonymi w środku pieniędzmi. Pod Legnicą, w Bartoszowie sprzedają benzynę z pontonu desantowego. Ponton nie budzi podejrzeń dowództwa. Leją prosto do wiader, a potem wracają ponton napełnić. Na lotnisku w Krzywej po benzynę do helikopterów zgłaszają się właściciele motorowerów Komar.

Handluje się alkoholem. W Białogardzie pod mury ludzie przywożą żołnierzom wino własnej produkcji, a radzieccy piloci z Krzywej oszczędnie spryskują przed startem szyby śmigłowców, bo na zaoszczędzony spirytus szybko znajdzie się kupiec.

Handluje się złotem, biżuterią, radzieckimi zegarkami.

W Legnicy radzieckie złoto sprzedawane jest na targowisku pod zamkiem, interesów pilnują tu „bociany” – wysocy mężczyźni, którzy patrzą ponad głowami, czy nie idzie milicja. Podczas ucieczki trzeba czasem złoto wyrzucić. Zbierają je dzieci ze szkoły numer 3, gdy wychodzą z lekcji.

Handlować najlepiej z radzieckimi patrolami i z oficerami, którzy mają dużą rodzinę. Duża rodzina to duży pajok, czyli przydział.

Handluje się pod murami garnizonów. W Białogardzie mieszkańcy przynoszą pod mury zdjęcia z rozebranymi dziewczynami i torby z Madonną.

W Bornem Sulinowie wystającym pod płotem chłopom żołnierze wyrzucają metalowe części, które można opchnąć w warsztatach albo na złomie.

Ale można też handlować w miejscach pokątnych.

Koniec lat osiemdziesiątych, okolice Świdnicy. W lesie niedaleko Modliszowa milicjant Janusz Bartkiewicz poszukuje sprawcy zabójstwa. Przypadkiem natyka się na zaskoczonych radzieckich żołnierzy, którzy przy drodze sprzedają kierowcom bagnety, noktowizory i benzynę.

Handluje się na targach. Na bazarze w Szczecinku można dostać uszankę (czapkę) i moczałkę (myjkę), zegarek i konserwę. Suszoną rybę, aparat fotograficzny, jad żmii kaukaskiej, maść Mumijo, papierosy Krasnaja Zwiezda i Biełomorkanał kupisz na targu w Legnicy.

Handluje się także nieuczciwie. Zamiast kołnierza z lisa – kołnierz z królika, zamiast wódki – woda z karbidem. Koperty zegarków Pobieda wypchane są watą.

– „Są zielone!” Tak krzyczeli Polacy, podtykając mi pod nos serdeczne palce. Obrączki kupili od naszych przedsiębiorczych żołnierzy, którzy

zrobili je z miedzi berylowej, a sprzedawali jako złoto. Produkowali je taśmowo, w garażu zamontowali maszynę do metalu, a podróbki stemplowali próbą złotniczą – opowiada Tatiana Niedźwiedzka.

Handluje się za murami.

Marzenie mieszkańców Legnicy: zakupy w największym sklepie w radzieckim Kwadracie – magazynie numer 5. Czego tam nie ma: gruzińskie koniaki, mołdawskie szampany, kawior, mięso, perfumy Maska.

Przy ladzie stoją radzieckie ekspedientki w białych fartuchach, przebierają palcami po drewnianych liczydłach. Polak, który chce wejść do Kwadratu po te rarytasy, potrzebuje imiennej przepustki. Przepustka to nie tylko przepustka, to dowód przyjaźni, dostają ją więc milicjanci, oficerowie, partyjni. Z zewnątrz sklep obserwuje SB, a w środku panują sztywne zasady: generałowa kupuje przed pułkownikową, a pułkownikowa przed podpułkownikową. Do innych radzieckich sklepów można przedostać się przez dziurę w płocie. Da się czasem przekupić strażników. Kobiety czeszą się jak Rosjanki i wtapiają w tłum. Dzieci przechodzą „na pewniaka” (a nuż nikt się nie zorientuje), na „ruskie dziecko” (trzeba być bardziej przy kości, ubrać na jaskrawo, we włosach zawiązać kokardę) albo „ruską mamę” (przed bramą biorą sympatyczną Rosjankę za rękę i proszą, żeby wprowadziła do środka). Andzie Rottenberg, która wtedy ma dopiero dziesięć lat, matka wiąże pod szyją czerwoną pionierską chustę i wysyła do radzieckiego Kwadratu po mięso.

Kto handluje? Kto może.

Handluje nawet państwo, PRL, tyle że oficjalnie. Radzieckie garnizony zaopatruje – tak zostało to zapisane w umowie z 1956 roku – polskie przedsiębiorstwo państwowe PHZ „Marko”. Do towarów dla radzieckiego wojska są dopłaty z polskiego budżetu. Ale Marko naciąga bratnich żołnierzy, jak potrafi, do garnizonów śle produkty z przekroczonym terminem ważności. A Armia Radziecka nabiera Marko – zwleka z zapłatą, a dofinansowane przez Polskę produkty sprzedaje z powrotem Polakom na czarnym rynku.

Handlują radzieccy konduktorzy pociągów, którymi żołnierze przyjeżdżają do Polski.

Ci z „Iwana” (tak pociąg z Moskwy do Świdnicy nazywają mieszkańcy miasta) wstawiają do polskich butików radzieckie buty. Do Kraju Rad zabierają z kolei skajowe kurtki i sukienki z krempliny.

Ci z „Prawosławnego Ekspresu” (tak pociąg Kijów–Legnica z wagonami z Moskwy nazywają legniczanie) przywożą złoto i zegarki.

Handluje polska opozycja. Papier na podziemną bibułę u radzieckich żołnierzy załatwia w latach osiemdziesiątych działacz Solidarności Marek Jakubiec. Z żołnierzami spotyka się dyskretnie, nad brzegiem Odry. Sowieci przywożą ciężarówką papier w jednej ogromnej beli. Tymczasem Jakubiec przyjechał małym fiatem. Trzeba sprowadzić jakiś większy wóz. Działacze Solidarności jak żuki wtaczają papier w beli na pakę, a potem tną go na mniejsze kawałki na tyłach Milicyjnego Klubu Sportowego „Gwardia”.

Handlują dzieci. Przez dziury w murze przemykają codziennie do radzieckich sklepów w Kwadracie po biełki (cukierki z wiewiórką na opakowaniu), maczki (z kwiatem maku) i kara-kumy (z wielbłądem).

Nieśmiało handluje Kościół. W latach osiemdziesiątych pod Świętoszowem umowę handlową z Armią Radziecką zawiera proboszcz – wierni dają armii mięso, w zamian żołnierze remontują kościół.

Ale najwięcej handluje się tuż przed wyjazdem armii.

Prześcieradło, telewizor Elektron, słodkie mleczko, wołga

– Zanim nasze wojska zaczęły się zwijać z Polski, nikt broni nie sprzedawał – tłumaczy Igor Alejnikow. – Rozliczali nas z niej. Zginął karabin, to pułk nie kładł się spać, dopóki nie znalazł. Kiedyś spadł nam z czołgu źle zamontowany karabin maszynowy. Trzy dni szukaliśmy, prawie nie mrużąc oczu. Co innego amunicja. Dowódcom bardzo nie chciało się chodzić na strzelanie, a jak opuścili dzień, to zwalniało się kilka

tysięcy nabojów. Co z nimi zrobić? Przecież dowódca nie pójdzie zameldować, że przyoszczędził.

– To co robił?

– Wzywał mnie i kazał zakopać. Szedłem do lasu, znajdowałem zaciszne miejsce w rowie i zasypywałem. Ale potem wojsko zaczęło się wynosić. I się zaczęło.

– Wszyscy powariowali przy wycofywaniu – woła Jelena Władimirowna, medyk z Legnicy. – Wyprzedawali, co się da. Z powodu inflacji w ZSRR wartość nabywcza żołdu spadła trzykrotnie. Brakowało pieniędzy nawet na pensje oficerów. Chłopcy przeskakiwali przez płot i handlowali słodkim mleczkiem kupionym w garnizonowym sklepie. Brali za to piwo i wódkę, bo w bufecie nie mogli dostać. Ale głównie pieniądze, żeby się lepiej dożywić, bo słabo było też z prowiantem. W ZSRR wprowadzono kartki, a nam ograniczono dostawy. Żołnierze pisali do rodzin z prośbą o „przesyłkę z zegarkiem”. Zegarek był rejestrowany „na użytek własny”, ale zaraz się go zhandlowało na targowisku z kilkukrotnym przebiciem.

– Moim najlepszym kumplem był Arek – opowiada podpułkownik Rustam. – Poszedłem kiedyś na bazar sprzedać wojskowe lornetki. W moim rodzinnym miasteczku była fabryka optyczna, dostawałem je po kosztach. Arek się zainteresował. A potem ja od Arka kupiłem magnetofon i tak nawiązaliśmy stałą radziecko-polską współpracę handlową. Dobrze się dogadywaliśmy. Uczył mnie biznesu, woził na bazary. „Idą nowe czasy, Rustam, wystarczy tylko sięgnąć”, mówił. I rzeczywiście szły. Na początku woziłem jedynie lornetki, a on opychał je dalej, potem ze Lwowa telewizory Elektron, potem trzysta butelek wódki. Arek wyprzedawał na pniu. Z Polski do ZSRR woziłem z kolei perfumy Być Może. Po dwadzieścia sztuk, dziesięć rozdawałem w prezencie, a dziesięć sprzedawałem. Na Święto Zmarłych przywiozłem z kolei z domu trzy walizki świec, bo Arek powiedział, że Polacy mają zwyczaj, że palą świeczki na grobach. Wszystko przy okazji urlopu i podróży służbowych. Odwoziłem na remont sprzęt pod Leningrad i jechałem na zakupy. Prosiłem

specjalnie o kolejne delegacje, żeby Arkowi dowieźć towaru. Pociągiem Moskwa–Wünsdorf jeździłem z granatowym paszportem służbowym, celnicy tylko zerkali i stawiali pieczątkę. Ale czasem zampolit, pieprzony komunista, łapał mnie na punkcie kontrolnym i dawał karę za handel.

– Jaką miałeś karę?

– W weekend stawiał mnie na warcie. Cholera, a wiadomo, że w weekend utarg największy. Zampolici to zawsze były wredne jełopy. Co innego dowódca. Ustawił nas w szeregu i powiedział: „Towarzysze piloci! Do wyprowadzki zostało pół roku. Wasza ostatnia szansa. Kto ma możliwości, niech handluje!”. Każdy kręcił, jak mógł. W kraju zaczęła się inflacja. W 1989 roku, ja, młody lejtnant, miałem na książeczce oszczędnościowej dwanaście tysięcy rubli. Ogromne pieniądze, można było kupić dwa samochody. A już po chwili było to zupełnie nic niewarte. Niedaleko Kołobrzegu działała fabryka konserw rybnych. Mieli braki kadrowe. Polacy nie chcieli się zatrudniać, bo śmierdziało. Niektórzy oficerowie wysłali tam do pracy swoje żony albo sami szli po godzinach. Stali w gumiakach w wodzie, na rękach mieli gumowe rękawice i tak przebierali rybę, żeby mieć za co żyć, kiedy wrócą do kraju. Ja u Arka miałem konfitury. Wspierałem też polskich przedsiębiorców. Pod garnizon podjeżdżał po nas małym fiatem jeden Polak, wiózł nas do swojego mieszkania, gdzie puszczał nam na VHS pornografię. Słono sobie za to liczył. Pod koniec tak się z biznesem rozkręciłem, że kupiłem sobie wołgę. „Rustam, po co ci radziecki samochód? Kup sobie japoński. Albo BMW!”, gadał mi Arek. On miał japoński, bardzo ładny, ale wołga do mnie bardziej przemawiała. Wołga w Rosji to było coś, można było ją wymienić na mieszkanie. A BMW? Pfff, o tym nikt nawet u nas nie słyszał. Nie miałem prawa jazdy, ale musiałem jakoś moją nowo zakupioną wołgę zawieźć do Rosji. To był dziewięćdziesiąty pierwszy, może dziewięćdziesiąty drugi rok. Jechał ze mną kolega, który też nie umiał prowadzić. Ale siedział obok i cały czas mnie instruował: „Dwójka, jak jedziesz! Drugi raz czerwone!”. Za Brześciem odkręciliśmy tablice rejestracyjne. Jakby mafia zobaczyła zagraniczne blachy, mielibyśmy przekichane. Przed Moskwą macha

milicjant. „Tablice gdzie?” Nie ma. „Prawo jazdy!” Nie ma. Zerka ostrożnie. „Wojskowy?” Tak, oficer. A on: „A może chociaż dolary masz?”. Dałem mu pięć, w banknotach po jednym. Uczciwy był, powiedział, że pięć to za dużo, i wziął trzy. I tak powoli dojechaliśmy do Samary. Odstawiłem wołgę, nakupiłem prześcieradeł i wróciłem z nimi do Polski pociągiem. I szybciutko je posprzedawałem, bo zaraz w kwietniu mój pułk opuszczał Polskę już na stałe. Meble w kawalerce były służbowe, zapłaciłem kierownikowi zaopatrzenia batalionu, żeby skreślił je z listy magazynowej. I po kolei, stół za krzesłem, opychałem Arkowi. Pierwsza poszła kuchenka, bo żywiłem się w stołówce. Miałem tylko grzałkę, żeby zaparzyć sobie czasem herbaty. Sam ją zrobiłem, dwie brzytwy przedzielone zapałkami związałem drucikiem i podłączyłem do prądu. Gdy wyjeżdżałem, pokój był pusty, a ja spałem na materacu położonym na podłodze. Wracałem z dwoma tysiącami dolarów w kieszeni i butlami z gazem pieprzowym. Zostały w magazynie i można było zabrać. W Krasnodarze, dokąd nas wyprowadzili, szybko je zhandlowałem.

Biznes, fax, krucyfiks

> W celu przekwalifikowania odchodzących do rezerwy oficerów, żołnierzy – internacjonalistów, ich skutecznego działania w gospodarce narodowej, aktywnego włączenia ich w system stosunków rynkowych, przekwalifikowania zawodowego oraz w celu zabezpieczenia należytego poziomu socjalnego oraz adaptacji kadry oficerskiej w warunkach życia cywilnego rozkazuję: powołać […] szkołę menedżerów legnickiego garnizonu […]. Dowódca PGWAR gen. płk Dubynin.
>
> (rozkaz nr 152 z 3 listopada 1991 roku)

Do niedawna radzieccy, a teraz rosyjscy oficerowie mają się uczyć handlu od polskich profesorów. Szkoła menedżerów mieści się w byłym Muzeum Chwały Wojennej i Braterstwa Broni z Armią Radziecką w Legnicy. Sala wykładowa jest w Sali Zwycięstwa: sztukateria, plafon, nad drzwiami krzyż.

Na oficjalnym otwarciu szkoły zjawiają się wojewoda, generał garnizonu, kardynał i ambasador ZSRR. Generał Dubynin w przemówieniu zaznacza, że oficerowie będą się tu uczyli „myślenia po nowemu”.

Chętnych było trzystu, wybrano sześćdziesięciu oficerów. Zaplanowano dla nich łącznie trzysta sześćdziesiąt godzin zajęć – cztery godziny dziennie po służbie, nie wyłączając niedziel.

Czterdziestosześcioletni pułkownik Walentin Sytnik zapisał się na kurs, bo „wcześniej czy później i tak zajmie się interesami”. W wojsku liznął trochę ekonomii – musiał się zmagać z problemami z zaopatrzeniem.

Lekcje zaczynają się o szesnastej. Studenci – czterech generałów i reszta (pułkownicy, majorzy, porucznicy) – siadają w trzech rzędach szkolnych ławek. Patrzą w tablicę, na której docent z Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu pisze powoli, stukając kredą: „*Business plan*”. Potem słuchają, jak opowiada o UNIDO, uniwersalnej metodzie prowadzenia biznesu.

„Podstawowe pytanie, jakie musicie sobie zadać, panowie – tłumaczy docent – brzmi: »Czy na tym można zarobić?«”.

Profesor Bogumił Bernaś wykłada o „czynnikach efektywności i formach transakcji z zagranicą”, a rektor Akademii Ekonomicznej profesor Józef Kaleta w pięciogodzinnym wykładzie ocenia przebudowę polskiej gospodarki.

Na kolejnych zajęciach studenci oglądają komputer i odświeżają angielski, wkuwają podstawy rachunkowości oraz przedzierają się przez przekształcenia własnościowe.

Przerwy spędzają w drink barze, w dawnej Sali Pamięci Bojowej Chwały. Wyniesiono już stąd popiersie marszałka Rokossowskiego. Zostały marmur i stary informator w kącie: „Żołnierze PGWAR godnie kontynuują pełne chwały tradycje swoich poprzedników. W procesie szkolenia bojowego i politycznego doskonalą się ich moralno-polityczne zalety i wojskowe umiejętności”.

Szkołę biznesu wymyślił Piotr Krzywiecki, przedsiębiorca budowlany z Kochlic i właściciel firmy Rembud. Wyremontował sale, zapłacił za sprzęt i pokrył pensje dla wykładowców. W zamian Rosjanie obiecali mu

okazyjne ceny na garnizonowe paliwo i złom oraz pomoc w kontaktach handlowych ze Wschodem. Krzywiecki chciałby tam niedługo eksportować żywność. Wyliczył, że jeśli przeprowadzi cztery kursy biznesu, to za rok będzie miał na Wschodzie dwustu pięćdziesięciu ewentualnych współpracowników.

„To zabawne – mówi reporterowi »Polityki« – zawsze byłem antysowiecki".

Pułkownik Walerij Gonczarow, redaktor „Znamia Pobiedy", tłumaczy dziennikarzowi: „Nasi ludzie umieją kierować kolektywem. Jeśli dodać im wiedzę menedżerską, staną się po powrocie gotowymi biznesmenami. Już dziś wymieniamy wizytówki. Założymy klub biznesu, żeby utrzymać znajomości, będziemy telefonować i faksować".

Po kilku miesiącach studenci biznesu dostają jednak lekcję ekonomii od życia. Meble w szkole zdobią paski z pieczęciami komornika. Krzywiecki ma ogromne długi. „Mnie inni też są winni pieniądze. Ale zamiast się sądzić, wolę zarobić nowy milion. To moja filozofia" – opowiada w „Polityce".

Armia Radziecka w Legnicy chce ratować Krzywieckiego z finansowego dołka, który wynikł po części z inwestycji w szkołę. Przekazuje mu nielegalnie tysiąc ton paliwa. Kilka cystern zatrzymuje policja. Krzywiecki ma mieć za to sprawę karną (siedział już wcześniej).

W szkole menedżerów odbyły się w sumie trzy kursy trzymiesięczne, a ukończyło ją ponad dwustu radzieckich oficerów.

Mieszkanie, lotnisko, granat, siedemnastowieczny obraz

Na radzieckich lotniskach robią się dziury w niebie. Samoloty codziennie zabierają tony bagażu bez kontroli, a inne przylatują z towarami bez zapłaconego cła.

Paliwo, sprowadzane jako zaopatrzenie dla wojsk, jest szybko sprzedawane. Szeregowi, oficerowie i generałowie – wszyscy nim handlują.

– Kiedy się wyprowadzaliśmy, miejscowi mi powiedzieli, że pierwszy raz od bardzo dawna byli na stacji benzynowej. Zdziwili się, gdy zobaczyli, ile kosztuje benzyna – mówi Igor Alejnikow.

Na oczach żołnierzy i wartowników „trzej żołnierze i oficer napełnili pięć beczek paliwem i załadowali na traktor polskiego obywatela" (pisze „Znamia Pobiedy" w lutym 1992 roku).

Naczelnik legnickiego oddziału celnego Jan Bogdanowicz idzie rankiem do pracy. Widzi, jak polną drogą w kierunku wyrwy w ogrodzeniu lotniska jedzie siedem cystern. Dzwoni na policję. Na lotnisko wjeżdżają radiowozy, a radziecki oficer, który tankuje właśnie cysternę, pokazuje faktury. Są wystawione na polską firmę Faktor. Tylko że takiej firmy nie ma w żadnym rejestrze.

Murów lotniska w Krzywej pilnują policja i straż miejska. Codziennie, pisze historyk Wojciech Kondusza, zatrzymują samochody, które wyjeżdżają z benzyną. Mały fiat z sześcioma kanistrami i zwojem przewodów, żuk z ośmioma dwudziestolitrowymi kanistrami, cysterna jelcz, wartburg ze stu sześćdziesięcioma litrami. Rosjanie denerwują się, że policja psuje im interes, i strzelają do nich zza ogrodzenia. Zanim w trasę wyruszy cysterna z paliwem, puszczają na drogę gaziki z patrolem. Czasem dochodzi do pościgów. Cysternie z czterdziestoma tonami etyliny trzeba było zablokować drogę radiowozem. Policjantów i celników biorących udział w zatrzymaniach Rosjanie próbują przekupić albo – zdarza się – przejechać samochodem.

Przez dziurę w niebie na lotnisku dostają się do Polski turyści. To obywatele ZSRR, którzy za łapówkę wsiadają w Moskwie na pokład samolotu poczty wojskowej. Na bazary w Polsce wiozą kawior, papierosy Kosmos i piły spalinowe Tajga. Śpią na dworcach, w parkach, opuszczanych mieszkaniach, bo chcą oszczędzić na hotelach. W lipcu 1992 roku policja zatrzymuje dwóch żołnierzy, którzy sprzedają noktowizory czołgowe Cyklop, oraz troje turystów handlujących ikonami i miedziorytami.

W sierpniu policja zatrzymuje dwóch Rosjan, którzy sprzedają zawory wodociągowe, a potem kolejnych dwóch – ze słomą makową w reklamówkach.

W październiku do Legnicy przyjeżdża koleją dwadzieścia sześć tysięcy półlitrowych butelek piwa Burg i Pils. Transport zatrzymują celnicy. Odbiorcą ma być zarząd zaopatrzenia garnizonu. Rosjanie nie chcą płacić cła. Najpierw powołują się na ustalenia z 1956 roku (o braku cła dla towarów dla wojska), a potem zaprzeczają, by zamawiali piwo.

Na dziurach w niebie nad radzieckimi lotniskami korzystają polscy biznesmeni. Na przykład zlecają wschodniej firmie zakup wódki z dostawą do garnizonu. Produkt przeznaczony na eksport zwolniony jest z podatku obrotowego. Kontenery jednak nigdy nie opuszczają kraju.

Po wymianie rubli na złotówki armii nie starcza na utrzymanie żołnierzy, więc prowiant kupuje się czasem za pieniądze z nieoclonego handlu.

Rosjanie sprzedają: samochody wojskowe, zbiorniki na paliwo, smary, rury, silniki, agregaty prądotwórcze, kostkę granitową wyrwaną z chodników, broń i amunicję.

We wrześniu 1993 roku u proboszcza ze wsi Pielgrzymka policja znajduje wyposażenie willi Dom Prioma. Wojskowymi kamazami żołnierze zwieźli księdzu na plebanię: ozdobne kafle, rzeźbiony stół bilardowy, fortepian, żyrandole, kinkiety, marmurową umywalkę, rzeźbione drzwi, zegar, marmurowy kominek, a także obrazy: Karla Wendela z 1904 roku, nieznanego autora z przełomu XVIII i XIX wieku i Paula Weimanna z pierwszej połowy XX wieku. Sto czterdzieści przedmiotów. Proboszcz przyznał się do zakupu bez pokwitowania.

Luty 1993. *Czas patriotów* i *Zabójcza broń* – pirackie kasety VHS rekwiruje kontrola w wypożyczalni w Strzelcach Opolskich. Zostały wyprodukowane przez firmę Emcid Legnica, która nie istnieje w rejestrze. Adres prowadzi za mur, na teren garnizonu – do radzieckiego studia telewizyjnego.

Handlują materiałami niebezpiecznymi.

W 1991 roku na bazarach i targowiskach policja konfiskuje broń automatyczną, pistolety i granaty. W listopadzie zatrzymuje czterech obywateli Wspólnoty Niepodległych Państw, którzy przewożą w samochodzie sto kilogramów płynnej rtęci oraz cztery kilogramy sproszkowanej. W 1992 roku zostaje udaremniona próba sprzedaży trzydziestu kilogramów rtęci i siedmiu kilogramów tlenku rtęci. Pośrednikiem transakcji był oficer Komendy Wojewódzkiej Policji w Legnicy.

Telewizyjne *Wiadomości* informują, że w Legnicy można kupić cztery głowice nuklearne po milion dolarów za sztukę.

Wśród mieszkańców Legnicy krąży anegdota: znany biznesmen prowadził skup złomu, w 1992 roku kupił od Rosjan stary czołg za grosze. Chciał go pociąć na złom. Podjechał rosyjski gazik wojskowy. Wysiedli polski cywil, rosyjski kierowca i pułkownik. Cywil mówi: „Pan tu podobno kupił czołg?”. „Nigdy w życiu, jaki czołg?”, wystraszył się właściciel. „Kupiłeś czołg, wiemy”. „Nigdy!” Wtedy wtrąca się rosyjski pułkownik: „*My znajem, czto wy kupili*. Jeszcze dwa kupisz?”.

Sprzedają samochody z Niemiec.

„Gazeta Wyborcza” pisze, że „w czasie policyjno-celnych kontroli w garnizonach wojsk b. ZSRR w Legnicy oraz w bazie morskiej w Świnoujściu wykryto cywilne samochody osobowe niewiadomego pochodzenia. Wozy mają zmienione numery silników”. Samochody sprowadzane są z NRD. Żołnierze wpisują w dokumentach „tranzyt” i nie płacą podatku. Ale auta nigdy nie jadą dalej.

Sprzęt RTV i AGD.

W grudniu 1991 roku na lotnisku w Kluczewie pod Stargardem radzieccy żołnierze organizują giełdę towarową, na której można kupić telewizory, radia i pralki. Na bazarach w innych miastach można znaleźć jeszcze: lunety snajperskie, bagnety, hełmofony, siatki maskujące, noktowizory. A także broń myśliwską (łatwo ją wykreślić z ewidencji).

Handlują nieruchomościami.

Polska spółka Arpol kupuje od pułkownika Iliczowa bazę z trzema halami przy pasie startowym lotniska. Spółka chce tu budować linie produkcyjne i magazyny. Nie wie, że w momencie wyprowadzki umowa wygaśnie, a baza trafi do prawowitego właściciela, czyli Skarbu Państwa.

W Jankowie Żagańskiej Rosjanie sprzedają za dwieście osiemdziesiąt tysięcy dolarów bazę paliw (też własność Skarbu Państwa). Budynki i mieszkania w innych garnizonach również wystawiają na sprzedaż. W sprawie nielegalnego handlu mieszkaniami toczy się w roku 1992 dwieście siedemdziesiąt postępowań przygotowawczych.

Sprzedają wszystko inne.

Jeszcze kilka lat po wyjściu Rosjan żołnierze wracają kończyć transakcje. W 1994 roku podczas przeszukiwania budynków garnizonowych policja znalazła zapasy kawioru, zakopane lotnicze zbiorniki z paliwem i ukrywającego się rosyjskiego oficera z wojskowym paszportem. Rok później służby celne likwidują nielegalne giełdy samochodowe. Cinkciarzom w Świdnicy trzykrotnie spadają obroty.

– To Polska nauczyła mnie biznesu. Polacy potrafili pracować przez całą dobę, byle zadowolić klienta. Od Polaków nauczyłem się staranności, punktualności i jakości – tłumaczy Jewgienij Popow. Były radziecki oficer po wyjeździe z Polski za biznes zabrał się po amerykańsku.

– Czyli jak?

– Od pucybuta. Przed wyjazdem kupiłem wiśniową wołgę i pojechałem do Kaliningradu. Najpierw jeździłem w niej jako taksówkarz. Potem dwa lata kelnerzyłem. Pojawiali się tam czasem Polacy, którzy szukali w Kaliningradzie okazji na rynku. A ja dzięki służbie rozmawiałem trochę po polsku. To dobry moment, pomyślałem, żeby wsiąść w końcu do pociągu „Biznes”. Skończyłem akurat trzydzieści lat. Jeden znajomy Polak stawiał na bazarze knajpy z szaszłykami. Było też czterech innych, którzy handlowali szaszłykami w mieście. Woziłem im mięso z upadających rzeźni. Inny znajomy Polak woził banany, więc brałem je od niego i opychałem w Kaliningradzie. A potem sprzedawałem wodę gazowaną

w butelkach, u nas tego jeszcze nie było. W Rosji cieszyła się też popularnością granulowana cytrynowa herbata. Dla Polaków załatwiałem drelichy i bawełnę do odzieży specjalnej, i farbę do metalu. Patrzyłem, czego potrzebują jedni, czego drudzy. I krążyłem, organizowałem transport. Co zarobiłem, włożyłem w firmę, którą mam do dziś – mówi.

Trzon zatrudniającej osiemdziesiąt pięć osób firmy Popowa to jego koledzy z armii. Zamiast wojskowych krazów przez Polskę jeżdżą dziś jego dwadzieścia cztery ciężarowe scanie.

Szprotawa-Wiechlice. Żywi i martwi

Na płycie lotniska w Wiechlicach młodzi palą gumę, piją piwo i słuchają rapu: „Ulica w kurewstwie tonie, ulica kurewstwem płonie!”.

Tu, gdzie leżą butelki, 1 września 1939 roku startowały niemieckie messerschmitty. Po 1945 roku umościły się tu radzieckie wojska: 149 Dywizja Lotnictwa Bombowego, 89 Pułk Lotnictwa Bombowego i 314 Samodzielna Eskadra Śmigłowców.

Dziś w ich hangarach są magazyny. Na płocie wisi ogłoszenie: „Sprzedam kruszywo”.

Zatrzymaliśmy samochód. Palimy papierosy, patrzymy, jak słońce zachodzi.

Czytamy w komórkach dzisiejsze przemówienie ministra obrony narodowej. Przemawiał 14 stycznia 2017 roku, też w byłym radzieckim garnizonie, Żaganiu.

Mówił:

> Witamy was serdecznie tu na Ziemi Piastowskiej, witamy was w całej Polsce. Czekaliśmy na was długo, czekaliśmy na was dziesiątki lat. Często mając poczucie osamotnienia, często mając poczucie, że się na was już nie doczekamy, często mając poczucie, że jesteśmy jedynymi, którzy bronią cywilizacji od zagrożeń ze Wschodu […].

Celem waszego pobytu w Polsce, dodał minister, jest obrona wolności, niepodległości i pokoju na świecie.

Do Polski przyjechały pierwsze oddziały armii amerykańskiej.

Słońce zaszło. Dopaliliśmy papierosy i zbiera się nam na rozmowę.

Zbierało się od początku podróży.

– Julia?

– Tak?

– Dlaczego rozmowa z Rosjaninem o radzieckim żołnierzu zawsze wygląda tak samo?

– To znaczy jak?

– Jakby to on sam siedział właśnie w okopach gdzieś pod Moskwą.

– Bo to właśnie takie jest: osobiste. Po wojnie trzeba było ludziom wytłumaczyć, dlaczego tak wielu ich krewnych zginęło na froncie. Nie znam rodziny, w której nie zginęła choćby jedna osoba. Polaków początkowo nie brali, bo uważano ich za wrogów ludu. Ale potem zaczęło brakować żołnierzy i mój pradziadek ze strony mamy, zesłany do Kazachstanu przed laty Polak, też został wcielony. Zginął w Budapeszcie w lutym 1945 roku. Walczyli krewni ze strony ojca, też zginęli. Jak to pojąć? Lepiej myśleć, że dziadek był bohaterem, a świat zawdzięcza mu wolność. Lepiej nie myśleć, że był mięsem armatnim, że nawet nie miał prawa się bać. Jak ktoś to podważa, to się bronisz.

– Polacy też tak mają.

– Tak. Ale rosyjskie poświęcenie to nie jest ofiara. Ofiara dla radzieckiego człowieka jest poniżeniem. Czy z Polakami można rozmawiać w ten sposób, podważając ich ofiarę?

– Pewnie trudno… Jak miałem kilka lat, ojciec zabierał mnie na uroczystości do leśniczówki Mękaliny, kilka kilometrów od domu. Niemcy rozstrzelali tam i zatłukli kolbami dziewięć osób, rodzinę leśniczego i pracowników. Leśniczówka była placówką AK o kryptonimie „Mrowisko”. Pamiętam tę uroczystość jako coś prawie świętego: polegli za ojczyznę, złożyli ofiarę z życia.

– A mnie uczono, że radziecki człowiek poświęca się tylko w imię zwycięstwa. Jak nie może wygrać, to po co ma się poświęcać? 9 maja to było święto radosne. Zwyciężyliśmy i wszyscy się z tego cieszą. Przed 9 maja na zajęciach praktyczno-technicznych rysowaliśmy plakaty: dużą czerwoną dziewiątkę, a obok wstążki gieorgijewskie i nieparzystą liczbę goździków. Goździki są symbolem męstwa, to jedne z nielicznych kwiatów, które daje się w prezencie mężczyznom. To też kwiatek do składania na

grobach. A nieparzysta liczba, bo na Wschodzie parzyste składa się zmarłym.

– Czyli co?

– Czyli te kwiaty były przeznaczone dla żywych. Weteranów, którzy przeżyli. Chwała bohaterom, ale bardziej tym, którzy nie dali się po drodze zabić.

– Myślę, że Polakom trudno jest dostrzec, że sześćset tysięcy radzieckich żołnierzy zginęło, walcząc tu z Niemcami, bo jesteśmy tak mocno zanurzeni w naszym cierpieniu, w roli ofiary. Trudno z tego dołka zobaczyć, że inni też dostawali w kość.

– A ja myślę, że Rosjanom trudno jest dostrzec te paskudne rysy na kryształowym wizerunku radzieckich żołnierzy, bo są przyzwyczajeni do jedynej i właściwej wersji historii. Nie lubią od niej odchodzić, bo zobaczyliby, ile to chwalebne zwycięstwo kosztowało. Strzelano do swoich w plecy? Pewnie coś zrobili, więc spotkała ich kara. Lądowali w więzieniu NKWD? Pewnie byli niemieckimi jeńcami, pewnie to zdrajcy.

– I dlaczego tak jest?

– Komunizm w Rosji nie był narzucony z zewnątrz, jest więc inaczej traktowany. Zdanie „Dziękujemy towarzyszowi Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo” w Rosji nie musi brzmieć tak groteskowo jak w Polsce. Starsi ludzie często sporo od tej władzy dostali. Matka mojej babci Zoi była niepiśmienna, nie potrafiła czytać ani pisać, stawiała krzyżyk przy nazwisku. Natomiast cztery jej córki skończyły studia ścisłe. Babcia i jej siostry wychowywały się w biedzie. Ojciec im zmarł, gdy moja babcia miała rok. Jej matka została z czworgiem dzieci, najstarsze miało z dziewięć lat. Zostali w chacie, z jedną krową. A potem od państwa dostali drewno na opał, obozy letnie, podręczniki. Przydział do zakładu pracy, mieszkanie, żłobek dla dziecka, turnus do sanatorium. Jak nie zrobisz niczego złego, to państwo-rodzic cię nie ukarze. A że możesz trafić do gułagu za wiersz? No ale po co pisać ten wiersz? Przecież państwo ci wszystko daje, to czego jeszcze chcesz?

– Nie wiem, czy potrafię to zrozumieć.

– Ja rozumiem, bo w tym wyrosłam. Była tylko jedna wersja historii. Mało kto interesował się, co jest za zasłoną. Ja też nic nie wiedziałam.

– Przecież byłaś polską repatriantką.

– Dziadkowie od strony mamy zostali zesłani w 1937 roku z Podola. Prababka była bogatą chłopką, uznano ją więc za kułaczkę i deportowano z mężem, dwojgiem małych dzieci i w ciąży z kolejnym. Miesiąc później, już po dotarciu pradziadków do toczki, czyli punktu osadniczego w północnym Kazachstanie, urodziła się moja babcia. Że mam jakieś polskie korzenie, dotarło do mnie, kiedy w moim Kazachstanie zaczęły wyrastać kościoły. Nagle babcia zaczęła chodzić do kościoła, a mama uczyć się języka. Polonistka z Polski uczyła nas piosenek *Poszła Karolinka do Gogolina* i *Pieski małe dwa…* Ale w domu zawsze rozmawialiśmy po rosyjsku. Na lekcje polskiego chodzili dzieci i dorośli, tylko dlatego, że myśleli o wyjeździe do Polski. Niektórzy przychodzili do kościoła i na zajęcia, ale nie mieli polskich korzeni. Przychodzili Kazachowie i Koreańczycy. Ksiądz się wkurzał: ktoś jest pierwszy raz w kościele, a po mszy zagląda do zakrystii i pyta, czy może już wyjechać. Repatriantka „ciocia Stasia” z *Klanu* to nie jest prawdziwy obraz. Przyjeżdżasz do Polski jako repatriant, ale czujesz się jak „Ruski”. O 17 września dowiedziałam się dopiero w Polsce, w liceum. Na początku roku szkolnego. Otworzyłam szeroko usta.

– Kiedyś się o to droczyliśmy, pamiętasz?

– Pamiętam. Mówiłam, że lubię *Czterech pancernych i psa*, a ty pytałeś, dlaczego brakuje odcinka, w którym powiedziane jest, skąd wziął się Janek na Syberii.

– To nie dziwne?

– Co?

– Że sprzeczasz się tak emocjonalnie o coś, co cię osobiście już nie dotyczy?

– Dziwne. A pamiętasz, kiedy historia zaczęła być dla ciebie emocjonalna?

– Pamiętam obrazek. Mam chyba cztery lata. Przy okopach rosną największe prawdziwki i najbardziej soczyste jagody. Tak mawia babcia Pola. Ma na nosie okrągłe, grube okulary, które przypominają denka od słoików po konfiturach, a na głowie spraną chustę. Sama jest malutka, zwinięta jak kłębek włóczki. Jej fartuch pachnie gotowanymi kartoflami. „Dlaczego te jagody są takie duże?", pytam. „Bo tu umierali ludzie". Sosnowy las ściska wieś w objęciach, otacza szczelnie wokół. Po obu stronach lasu są okopy. Porasta je mech, przecinają je korzenie drzew i gniazda os, przewiercają lisie nory. Chcę zobaczyć okop z bliska, ale gdy podchodzę, powietrze zastyga i pnie sosen przestają uginać się od wiatru. A może i nie milkną, tylko zwyczajnie się boję. Zbieramy w okopach jagody. Babcia przebiera palcami listowie. Ma stare, powykręcane palce, ale przebiera szybko. Podczas II wojny światowej, opowiada, przez środek wsi przechodził front. Po jednej stronie okopali się Niemcy, po drugiej zasadziły się Sowiety, szli na Berlin. Ludzie uciekali ze wsi. Na nic nowoczesne czołgi, mówi babcia, na nic wszystkie te wynalazki. Musieli przedzierać się tu przez lasy Puszczy Białej, grzęznąć w moczarach, odbijać przyczółki. Ciała pochowano, rannych zabrano. Nad rzeczką Tuchełką zastawiona jest tama, woda wzbiera na tyle, by dzieciaki mogły zanurzyć się w niej po szyję. Znosimy tam czasem nadmuchane dętki od traktorów i pływamy, a ważki siadają nam na ramionach. Na brzegu kopiemy dłońmi w piachu, wyciągamy karabinowe łuski. Zostawili je wtedy Rosjanie, mówi ojciec. Opowiada, że byli tu także wcześniej. Mówi o zaborach, że jeden garnizon rosyjski był w niedalekiej Ostrowi Mazowieckiej, dywizja piechoty. A potem ich wygoniliśmy. A potem znowu, mówi ojciec. To był 1920 rok, babcia Aniela karmiła prosiaki, drogą obok maszerowała pewna siebie Armia Czerwona. Kilka dni później wracali biegiem, odtrącali od korytek świnie i sami chłeptali gotowane obierki z wodą. A potem znowu cios w plecy i zostali na pół wieku pilnować świata, który przynieśli. Po latach w kolorowym telewizorze Sanyo oglądamy w *Wiadomościach* wycofywanie się ostatnich rosyjskich oddziałów. Coś jednak zostało. Widzę to w tacie: poczucie krzywdy i pogardy, trochę złości i strachu, że to

wszystko się tak powtarza. A skoro ma to ojciec, to mam i ja. Też zaczynam czuć. Przeklinam pod nosem, że muszę uczyć się w szkole rosyjskiego (angielski na wieś jeszcze nie dotarł). Kilka domów dalej mieszka niepełnosprawny umysłowo Stasiek. Słucham, jak ludzie ze wsi, którzy podnajmują go jesienią za wódkę do szatkowania kapusty, wołają na niego „Rusek”.

– Ja pamiętam białą chusteczkę. Macham nią na pożegnanie chłopcu, który idzie na wojnę. A chwilę później recytuję: „W Dzień Zwycięstwa kwitnie biały bez! Grzmią saluty i sztandary chylą się! Wielka radość, ale oczy pełne łez! Dzień Zwycięstwa! Dzień Zwycięstwa!”. Po akademii wracam do domu, przeskakuję przez kałuże, karmię koty. W niedziele oglądam z dziadkiem Sławą stare filmy: *Tak tu cicho o zmierzchu* i *Lecą żurawie*. Dziadka rozpiera duma: gdy bohaterów napadli, to się nie dali, tylko przeszli długą drogę, ratując innych i wyzwalając od ucisku. A skoro dziadek czuje dumę, to i ja czuję dumę. Ojciec poszedł do wojska i pojechał na dwa lata na Zachód, bronić ojczyzny, świata i pokoju. W szkole uczyłam się już, że wojna zaczęła się 22 czerwca 1941. Ale na półce u dziadków znalazłam zakurzony gruby tom *Historii II wojny światowej 1939–1945*. Nic nie rozumiałam.

– Czyli to nie my się spieraliśmy.

– A kto niby?

– Mój ojciec z twoim dziadkiem albo ich ojcowie w nas. Duchy siadają na karku i szepczą do ucha. Czasem milkną, a często mówią przez żywych. Często ich głos jest głośniejszy.

Ucieczka czołgisty do raju (1991)

Trzęsie się z zimna.

– Kawy bym się napił – mówi.

Dopiero co zszedł z dachu, a teraz wyrzuca niedopałek i stawia kołnierz przed wiatrem, który wieje przez zaśnieżony parking supermarketu Tesco z taką siłą, że co raz zagina grzbiet wiaty z wózkami i uderza nim z hukiem. Foliowe torby ze śmietnika tańczą w powietrzu. Wchodzimy do środka. Nastolatki z Żar, dziewczyny i chłopcy, jedzą przy plastikowych stolikach pizzę, śmieją się i udają, że na tych pierwszych randkach zależy im mniej, niż naprawdę zależy. Przy dźwiękach puszczanych na smartfonach klipów z YouTube'a Nurgali Kulbasow opowiada o wichurze. Nie tej za oknem, tylko tej, która dmuchnęła mu w twarz trzydzieści lat wcześniej we wsi Nowomichajłowka, pięćdziesiąt kilometrów od Taszkentu w Uzbekistanie.

– Ojciec pracował w zakładzie wytwarzającym jutę. Przewoził rośliny, wiązał w snopki, namaczał, suszył i wysyłał na obróbkę. Matka zajmowała się domem, a ja miałem zostać prawnikiem, tak wymyśliła, a mnie się spodobało. Dobrze się uczyłem, dyrektor szkoły miał mi pomóc ze stypendium. Wielkie plany: wyjechać do Leningradu i spacerować codziennie Newskim Prospektem.

W mroźną zimę 2018 roku nad kubkiem bladoczarnej jak kałuża lury próbujemy sobie wyobrazić późną wiosnę 1989 roku: słońce wypala ziemię na polach, rozgrzewa asfalt międzymiastowej drogi do Taszkentu tak, że nie da się postawić gołej stopy. Dla wszystkich to tylko droga, ale mieszkańcy Nowomichajłowki traktują ją śmiertelnie poważnie, jest granicą. Droga dzieli wieś na dwie części. Po jednej stronie drogi żyją Kazachowie, Koreańczycy, Rosjanie, Ukraińcy i Uzbecy. Po drugiej stronie mieszkają Turcy meschetyńscy.

– Turcy z gruzińskiego Mescheti? Skąd się wzięli w Uzbekistanie? – dziwimy się.

– Stalin – odpowiada krótko Kulbasow.

Ludzie, z którymi jest problem, czy narody, z którymi jest problem – wszystkich można przesadzić w inne miejsce mapy. Nim skończyła się wojna, w której połowa pokolenia młodych Turków meschetyńskich zginęła, maszerując z Armią Czerwoną na Berlin, siedemnaście tysięcy meschetyńskich rodzin (sto tysięcy ludzi) dostało dwie godziny na spakowanie dobytku. Zostali deportowani głównie do Uzbekistanu. Dwóch szwagrów Kulbasowa to Turcy, tak samo jak dyrektor szkoły, który obiecał mu pomoc w załatwianiu stypendium.

Wieczorem 23 maja 1989 roku w Kotlinie Fergańskiej na południu kraju – tam mieszka najwięcej meschetyńczyków – wychodzą z domów Uzbecy. Łączą się w bandy, szwendają od wioski do wioski. Szukają Turków, palą im gospodarstwa, rabują dobytek, biją. Chcą oczyścić kotlinę z przybyszów, korzystając z odpowiedniego czasu – radziecka władza chwieje się w posadach. Siedemset pięćdziesiąt dwa domy spłoną w ciągu miesiąca. Co najmniej dziewięćdziesiąt siedem osób zginie, ponad tysiąc będzie rannych. Z Kotliny Fergańskiej fala pogromów płynie na cały kraj, dociera do Nowomichajłowki. Z obstawionej transporterami opancerzonymi wsi Turcy uciekają na północ. Ucieka szwagier, ucieka dyrektor szkoły, który obiecał Nurgalemu pomoc.

Cały region bulgocze jak gorąca zupa, zaraz zacznie kipieć, rozleje się.

– Odbieram szkolne świadectwo i jadę na komisję wojskową. Po odroczenie, bo przecież wybieram się na studia. „Żadnych odroczeń w tym roku”, słyszę.

Żeby uspokoić sytuację, władze biorą młodych w kamasze. Kulbasow jest chudy i mały, dostaje więc przydział do czołgów. Ma być kierowcą-mechanikiem i jechać z batalionem na Kubę.

– To było bardzo zabawne, bo w gazetach czytaliśmy akurat wywiad z generałem, który kategorycznie zaprzeczał, „jakoby jakiekolwiek radzieckie dywizje znajdowały się na Kubie”. Do hawańskiego klimatu

mieliśmy przyzwyczaić się na Krymie, a potem w drogę. Ale jak to u nas, zamieszanie, opóźnienie i na Kubę popłynął już kto inny – opowiada Kulbasow.

Zamiast na wyspie gorącej jak wulkan wylądował w zachmurzonym Świętoszowie. Ustawili ich w szeregu jak arbuzy na targu.

– A oficerowie w nas przebierali. „Narodowość?” „Kazach”. Bo z pochodzenia jestem Kazachem, choć mieszkałem w Uzbekistanie. „Kazach? To będziesz w pierwszej kompanii!” Pierwsza kompania była pokazowa, w celach propagandowych powinna być też zróżnicowana etnicznie, akurat brakowało im Kazacha. Miała chodzić jak zegarek Pobieda. Czołgi jechały równo i skręcały od linijki. Ćwiczyliśmy do utraty tchu. Przyjeżdżał ważniak ze sztabu, to rzucali nas na poligon, żeby zademonstrować, jak jeździmy i strzelamy. A w święta jeszcze śpiewaliśmy w chórze. Jak maskotki. Były i plusy. Przez inne kompanie płynęła fala i chłopaki równo dostawali po dupach. Jeden nie wytrzymał, znaleźli go, jak już dyndał na gałęzi. A my, w pierwszej, mieliśmy parasol ochronny – mówi Kulbasow.

W internacjonalistycznym wojsku wszyscy trzymali się narodowościami – Azerowie z Azerami, Dagestańczycy z Dagestańczykami.

Kulbasow:

– Ruszyłeś jednego, zbiegała się reszta. Byłem w kompanii jedynym Kazachem, ale inni mnie bronili. „Kto go ruszy, ma przechlapane”. Najgorzej mieli Rosjanie, a z Rosjan moskale, to znaczy mieszkańcy Moskwy. Gdy rozpadał się Związek Radziecki, tłukli ich wszyscy, Ukraińcy, Gruzini, Uzbecy, Kałmucy, Azerowie, Tatarzy, Łotysze, Kirgizi, a nikt nie przychodził na pomoc. Denis z Moskwy, z którym się kumplowałem, usiadł kiedyś na schodach i płakał: „Głupi nasz kraj. Głupi! Niech przyjdzie do nas bieda! Bo tylko wielka bieda nas może połączyć!”. Nic nie wiedział, nie rozumiał. Bo właśnie szła bieda, ale miała wszystko posiekać na kawałki.

Rozpad było czuć w powietrzu, miał zapach rdzy. Tak pachnie skorodowane żelazo, i krew też tak pachnie. W pierwszej kompanii myśleć o tym był czas tylko na wartach.

– Stałem na warcie i myślałem: do czego wracać? Jakie tam będzie życie? Widziałem, co się stało z Turkami przed moim wyjazdem. A co, jak się wszystkie narody tak rzucą na siebie? Z naszej kompanii uciekł raz Turkmen. Wzywali nas po kolei. Przepytywali, czy wiedzieliśmy, że chce czmychnąć. Zanim zdążyli przepytać wszystkich, znaleźli go. Jak gdyby nigdy nic szedł drogą w kierunku lotniska – mówi dalej Kulbasow.

Młodzi ze stolika dopili trzecią kawę, zmrużyli oczy i ruszyli w miasto. Pewnie do pubu Max albo klubu Emporium, bo o tej godzinie w Żarach nie ma innego miejsca, do którego mogliby pójść. Nurgali odprowadza ich wzrokiem, miętosi papierowy kubek.

Turkmena wysłano za karę, żeby łatał to rozchodzące się w szwach imperium – na wojnę do Górskiego Karabachu.

– Nie chciałem tam wylądować – mówi Kulbasow.

Ostatecznie przekonały go czarne lakierki.

– Żandarmeria złapała radzieckiego dezertera, który pryskał z garnizonu w NRD na Zachód. Przed przewiezieniem do kraju był przez kilka dni przetrzymywany w naszym areszcie. Siedział za kratami w pięknym, eleganckim garniturze w prążki, w błyszczących butach, które zdążył kupić w czasie ucieczki. „Chłopaki – mówił – tam jest, kurwa, raj!” W nocy nie mogłem spać, myślałem tylko o tych jego butach.

Dwa razy do roku w garnizonie Świętoszów przeprowadzana była inwentaryzacja sprzętu. Liczono karabiny, a transportery i gaziki pucowano na błysk.

Październik 1991 roku – wszyscy się więc uwijają, szorują, smarują i naprawiają, jeszcze nie wiedzą, że za dwa miesiące rozpadnie się Związek Radziecki. Tylko Kulbasow, kierowca-mechanik do osobistej dyspozycji dowódcy pułku, się nudzi – pilnuje czołgów. Gapi się w chmury, potem przeczesuje włosy, wstaje i rusza.

– Niby się odlać, do parku. Ale jak doszedłem do parku, nie przystanąłem, tylko poszedłem dalej. A potem jeszcze odrobinę dalej. I znowu dalej.

Zanim się obejrzał, był tak daleko, że straszniejszy wydawał się powrót niż marsz przed siebie.

– Nie wziąłem ze sobą broni. W ogóle nic ze sobą nie wziąłem. Szedłem. Wycofywano już powoli wojsko z Polski i bałagan był taki, że nie zauważyliby zniknięcia czołgu, a co dopiero mnie, niewysokiego Kazacha Nurgalego Kulbasowa z małej wioski Nowomichajłowka w Uzbekistanie.

„Trzeba odwagi, żeby być tchórzem w Armii Czerwonej” – miał powiedzieć Józef Stalin. A jednak uciekali już podczas wojny, gdy działały specjalne oddziały zaporowe. Wyłapywały i rozstrzeliwały dezerterów. Po wojnie dezerterowali żołnierze o polskich korzeniach, nie chcieli wracać do ZSRR. Fikcyjne metryki na nazwiska nieboszczyków dostawali od polskich księży. Potem przez pół wieku co roku z każdej kompanii uciekało kilku żołnierzy. Najgorzej kończyła się zawsze ucieczka z bronią w ręku.

Najbardziej znienawidzony dezerter Armii Radzieckiej nazywał się Michaił Kolesnikow, był podpułkownikiem – uciekł z Zachodniej Grupy Wojsk 29 listopada 1990 roku. Zabrał ze sobą trzy pociski czołgowe, rakietę przeciwczołgową Kobra i przeciwlotniczą Tunguska. Kobra była tajemnicą państwową, a Tunguska – wojskową. USA zapewniły mu azyl w zamian za broń.

Uciekali przez tęsknotę i przez falę. W czasie letnich ćwiczeń na poligonie artylerii przeciwlotniczej w latach pięćdziesiątych uciekł szeregowy, zabrał pistolet Stieczkina i sto nabojów. Ucieczkę opisał w pamiętnikach Witalij Subbotin, oficer, który służył wtedy w Legnicy. Szeregowy ukrywał się przez dwa tygodnie. Wypatrzył go o świcie rolnik ze wsi pod Złotoryją. Otoczony dezerter bronił się przez chwilę, a potem się poddał. Rzucił na ziemię i dostał ataku histerii. Został zabrany na oddział psychiatryczny szpitala wojskowego. Radzieccy lekarze wystawili diagnozę: „Zwariował po lekturze powieści detektywistycznych”.

14 grudnia 1968 roku po zakończeniu warty uciekł w Legnicy szeregowy Swiatosław Kriukow, lat dziewiętnaście. Powiedział, że idzie po walonki do komendantury. Na plecach miał kałasznikowa, przy pasku cztery magazynki (dwa zabrał koledze). Na ulicy poprosił o papierosa dwóch Polaków, a potem spytał ich, gdzie można dostać wódkę. Jeden z Polaków, Stanisław Kaczorowski, który był już pod wpływem, na kolejne procenty zaprosił go do siebie. Resztę znamy z zeznań matki, Walentyny Dubickiej-Kaczorowskiej, z którą mieszkał nad kawiarnią W-Z. Miało być tak: Walentyna zagląda do pokoju syna, na tapczanie widzi siedzącego Kriukowa. Pyta, dlaczego celuje do niej z karabinu. „To tylko żarty” – odpowiada Kriukow. Wtedy do pokoju wchodzi Stanisław. Kriukow zrywa się i krzyczy: „Stój, nie ruszaj się”. „Mamo, to tylko żarty” – potwierdza Kaczorowski. Robi krok w kierunku tapczanu, a Kriukow zaczyna do niego strzelać. Puszcza też serię za uciekającą Walentyną. Podchodzi do leżącego Stanisława, strzela do niego jeszcze kilka razy i wybiega z mieszkania. Odgłosy dobiegają przechodzącego ulicą patrolu milicji i towarzyszącego im ormowca, którzy zostają ostrzelani w ciemnej klatce przez Kriukowa (dwóch ginie na miejscu, dwóch jest rannych). Kriukow ucieka do sąsiedniego budynku. Radziecka żandarmeria znajdzie go tam potem martwego, z przestrzeloną głową i karabinem leżącym obok. Rano oddział szeregowych zmywa krew z klatki, szpachluje dziury po kulach, maluje ściany. Śledztwo trwa dwa miesiące. Przyczyn zachowania szeregowego Kriukowa nie ustalono.

O pierwszej w nocy 29 maja 1980 roku ucieka z garnizonu w Legnicy żołnierz z kałasznikowem i jednym magazynkiem. Staje na środku ulicy i celuje w nadjeżdżającą taksówkę. Każe wieźć się do Chocianowa. Mówi taksówkarzowi, że uciekł, bo nie dostawał przepustek i tęskni za rodziną. Ma zamiar dostać się do Brześcia. Taksówka podjeżdża pod restaurację Lutnia w Lubinie, gdzie dezerter kupuje papierosy i wódkę. Taksówkarz daje znać przechodzącym milicjantom. Ale dezerter uprowadza ciężarówkę i ucieka dalej. Otacza go garnizonowy oddział specjalny do poszukiwania dezerterów.

– Wnoszono go do wojskowej ciężarówki przykrytego czarną folią – przypomina sobie Mariusz Ławruszczuk z Lubina, który był świadkiem zdarzenia.

W Bornem Sulinowie mieszka Sierioża. Na początku lat dziewięćdziesiątych uciekł z powodu miłości.

Iwona pochodziła z pobliskiej wsi. Siergiej ukrył się wśród skrzynek w kotłowni, nocą przeskoczył przez ogrodzenie, spał w lasach, aż dotarł do rodziny dziewczyny. Kiedy armia rosyjska opuściła Polskę, wrócił do Bornego Sulinowa, już nie do radzieckiego garnizonu, ale do najmłodszego polskiego miasta.

– Uciekali, i to jak uciekali! Z siedmiu rocznie można było naliczyć – opowiada w Liszkowie niedaleko Bornego sołtyska Renata Komorowska. – Najczęściej chcieli wrócić do siebie, wcale nie interesował ich Zachód. Przechowywali ich tu we wsi ludzie, którzy z nimi handlowali na co dzień. Czasem uciekali tylko na chwilę, na kilka godzin w nocy, żeby złapać trochę powietrza. Pewnego razu, już po zmroku, usłyszałam pukanie do drzwi. Stał w samym mundurze, choć był mróz, poprosił o papierosy. Dałam mu gorącej herbaty. Skarżył się, że nikt go w wojsku nie traktuje jak człowieka, że już nie jest człowiekiem, tylko fragmentem jednolitej masy, i wytrzymać tego nie może. U mojego znajomego w gospodarstwie rolnym dezerter ukrywał się przez dwa tygodnie. Uciekł z warty. Głupi, broń zabrał. „Poddaj się – tłumaczył mu mój kolega gospodarz – nigdzie nie dojdziesz”. Znaleźli go i podobno zastrzelili.

Sołtys Wacław Nycz ze wsi Nietoperek niedaleko Kęszycy Leśnej:

– „Przechowajcie nas, herbaty nalejcie”, prosili. Gdy zaczęła się Solidarność, zjawiła się u mnie żona oficera i pytała, czy mogłaby się schować na strychu. Bała się, że będzie wojna. W Kęszycy-Kolonii była duża hodowla świń. Jednego uciekiniera przechowywali tam chyba z pół roku. Dobrze się urządzili, dezerter robił im za darmo przy tych świniach. Potraktowali go jak darmową siłę roboczą. Pokażę, który to dom, to rozpytacie – mówi sołtys.

Jedziemy rozpytać, ale na miejscu już od bramy wołają, że to pomyłka.

– Nic takiego się nie wydarzyło! Proszę się nie interesować! – oznajmia starsza kobieta i szczuje nas wilczurem.

– Mijałem pola pszenicy i kartofliska – opowiada dalej Nurgali Kulbasow. – Spałem w zagajnikach albo na sianie, w stodołach.

Centrum już opustoszało. Chłopak z obsługi zrzuca obok ze stołów okruszki po ciastkach. Spogląda na nas wymownie: już czas.

Nurgali Kulbasow szedł zygzakiem. Omijał główne drogi, wybierał mniej uczęszczane, które wiły się po lasach. Szedł nocą, spał w dzień. Na szosach wypatrywał wojskowych radzieckich ciężarówek. Zjadał jabłka i gruszki podkradzione z sadów. Cały czas dreptał na zachód. Pytał o drogę. W rosyjskim mundurze tłumaczył po rosyjsku mieszkańcom wsi, że zmierza na Germanię, na Berlin.

„Czekaj!” – woła jeden chłopak w czapce z daszkiem. Gdzieś biegnie, potem wraca z siatką papierosów i jedzenia.

„Tak to nie dojdziesz!” – mówi kolejnego dnia napotkana rodzina. Przynosi mu wytarte spodnie i starą koszulę.

„Idź wzdłuż torów, się nie zgubisz” – radzi kto inny.

– Idę tak dziesięć nocy. A może dwanaście? Trudno dzisiaj zliczyć, wszystkie do siebie podobne – opowiada Kulbasow.

Dziesiątego (albo dwunastego) dnia na śpiącego w lesie Nurgalego natyka się chłopak na rowerze, może trochę starszy od niego. „Granicy szukasz? To jest granica” – pokazuje na rzekę.

Nie jest szeroka, może trochę szersza niż szosa międzymiastowa w Nowomichajłowce. „Poczekaj do nocy, łatwiej się przemknąć” – radzi chłopak i odjeżdża na skrzypiącym składaku.

Nurgali czeka więc do zmroku, obserwuje, jak po Nysie Łużyckiej płyną gałęzie.

– Siedzę i myślę. Bo spotkałem po drodze tylu dobrych Polaków. Nakarmili mnie, dali ubranie. Piąte przez dziesiąte, ale jakoś się dogadaliśmy. A tam za rzeką co powiem? „*Hände hoch*”, tylko to znałem po niemiecku. A to jest słaby początek rozmowy.

Słońce zachodzi nad Nysą, a Kulbasow macha na raj ręką. Rankiem rusza z powrotem.

We wsi Sieniawa Żarska pyta w młynie o pracę. Młynarz ma na imię Andrzej, bierze Nurgalego na próbę. Miesiąc później, w andrzejki, przyjeżdża do młyna z życzeniami siostrzenica młynarza Patrycja. Zerka na Nurgalego, Nurgali zerka na Patrycję. Wieczorem Patrycja zaprasza go na dyskotekę, pakują się z jej przyjaciółmi do syrenki. Nurgali pierwszy raz w życiu pije alkohol. Nabiera odwagi i zostają z Patrycją parą.

– Język podłapałem szybko. Przyjeżdżali klienci do młyna, to najpierw od nich nauczyłem się, jak kląć. I robić interesy. Ludzie mnie polubili, nigdy nie miałem kłopotów. Raz z sąsiedniej wsi łapałem stopa razem z sąsiadem. Sąsiad był trochę wypity, zatrzymały się łebki w dużym fiacie. Wsiedliśmy, a oni: „Zaraz będziesz miał wpierdol, bo ty Ruski jesteś”. W żadnym wypadku, mówię, nie jestem żaden Ruski, tylko zwykły Kazach. „A! To tak trzymaj!” Większy nerw mieli do sąsiada, ale go obroniłem. Z młyna szybko poszedłem pracować na stolarkę do Sieciejowa, do ojca Patrycji. Po dwóch latach urodziła się nam Kamila, rok później Patryk. Minęły jeszcze dwa i pojawiła się Ula, a potem Michał.

Do swoich rodziców zadzwonił trzy lata po ucieczce.

– Zwykle armia obstawiała dom rodzinny, bo dezerterzy często uciekali do domu albo kontaktowali się z krewnymi. Ale ZSRR się rozpadł, więc nikt z rosyjskiej armii nie pofatygował się do Uzbekistanu. Nie wiem nawet, czy mnie szukali. Rodzicom powiedzieli tylko, że gdzieś zniknąłem – mówi Kulbasow. – Żyłem więc sobie w Sieciejowie, robiłem w drewnie. Nie dotarłem do raju, ale znalazłem swoje miejsce. Aż któregoś razu ktoś mnie podkablował.

Noc spędza Nurgali na komendzie w Żarach. Pobierają odciski palców, pytają o broń. Nie wierzą, że nie zabrał ze sobą karabinu. „Już dzwoniliśmy, gdzie trzeba, wiemy, że uciekłeś z bronią”. Potem przekazują go do Zielonej Góry, ale w Zielonej Górze rozkładają ręce – trzeba jechać do Warszawy. W Warszawie przepytuje go Straż Graniczna: „Czy uciekłeś dlatego, że byłeś prześladowany z powodów etnicznych?”. „Nie, po prostu

uciekłem”. „Czy byłeś prześladowany z powodów religijnych?” „Zwyczajnie uciekłem”.

– Mogłem powiedzieć, że mnie prześladowali, i problem z głowy. Ale po co miałem kłamać? – pyta Kulbasow. Rano wypuścili go z aresztu.

Jeśli człowiek nie ma odpowiedniego dokumentu, który stwierdza, że istnieje – to człowiek nie istnieje. Oddycha i pożywia się, chodzi, pracuje, i nawet robi dzieci, ale nie może się leczyć, jeździć samochodem, ożenić się ani nawet umrzeć bezproblemowo. Nurgali miał tylko radziecki dowód osobisty.

– Wziąłem adwokata. Przez trzy lata mówił: „Będzie dobrze”. Nie było. Kiedy rząd ogłosił abolicję i każdy nielegalny imigrant, który przebywał w Polsce co najmniej pięć lat, mógł stać się legalny, zgłosiłem się. Ale z radzieckim dowodem nie mogłem udowodnić, od kiedy jestem w Polsce. W dowodzie nie miałem żadnej pieczątki, wojsko ich nie stawiało. Mogłem stać się legalny, gdybym ożenił się z Patrycją.

Ale na ślub nie było szans. Bo za kogo Patrycja by niby wychodziła, skoro Nurgali nie istniał? W końcu sprawa w urzędach zagubiła się w natłoku innych spraw, Nurgali też machnął ręką i spróbował żyć dalej. Pracował na budowach i w handlu. Patrycja jeździła do Niemiec po używane rzeczy, Nurgali je naprawiał i sprzedawał na targu w Żarach. Potem przerzucił się na kasety disco polo.

W 2005 roku – nalot na bazar. Pogranicznicy przeszukują stragan Bułgarów, którzy handlują obok Nurgalego podrabianymi dresami.

Kulbasow:

– Przy okazji mnie też spytali o dokumenty. To dałem im ten radziecki dowód osobisty. Wybałuszyli oczy, spojrzeli po sobie i zabrali mnie do Tuplic, znowu spędziłem noc w areszcie. Rano wojewoda zadecydował, że mnie na razie zwalniają. Tylko co miesiąc mam zgłaszać się na placówkę Straży Granicznej w Olszynie.

Sprawa po raz drugi trafia do Straży Granicznej, która wysyła do wojewody zawiadomienie, że Kulbasow przebywa w Polsce nielegalnie. Należy go deportować.

Tylko dokąd deportować Kulbasowa?

Związek Radziecki nie istnieje od trzynastu lat. Federacja Rosyjska, sukcesor po ZSRR, do Kulbasowa się nie przyznaje, nigdy nie był jej obywatelem. W radzieckim dowodzie dezerter ma zapisane: urodził się w Uzbekistanie, jest narodowości kazachskiej. Pytają więc Kazachstan i Uzbekistan. Kazachstan odpowiada: to nie jest nasz obywatel. Uzbekistan tłumaczy, że w 1993 roku przeprowadzono w kraju dokładny spis ludności i Kulbasowa w rejestrach nie ma.

W domu Kulbasowa dzwonią telefony. Wieczorem jest już w *Wiadomościach*. Do Sieniawy przyjeżdża dziennikarz „Newsweeka", przepytuje mieszkańców.

„Jak będzie trzeba, to go obronimy". „Odbijemy z transportu". „Widły w stodole się znajdą".

Organizują zebrania pod remizą w obronie dezertera. Pod remizą – bo zgubił się klucz i nie można wejść do środka.

Nurgalego sprawdza Interpol. Po długich poszukiwaniach w archiwum w Taszkencie udaje się znaleźć stary pożółkły wniosek o wydanie dowodu osobistego dla Nurgalego Utżanowicza Kulbasowa.

W końcu Polska postanawia go zaakceptować – dostaje kartę pobytu tolerowanego. Najpierw musi wymieniać kartę co roku, potem dostaje na dwa lata. Pielgrzymuje do urzędów i pyta, co może zrobić, by dostać obywatelstwo. Nic nie może. Czternaście lat (i czworo dzieci) po ich pierwszym spotkaniu biorą z Patrycją ślub.

– Teraz żona wyjechała do Niemiec ze starszą córką i młodszym synem. Pracuje tam, przyjeżdżają na urlop i święta, ja do nich nie mogę jechać. Zostali ze mną starszy syn i młodsza córka. Zatrudniłem się na budowie, dzięki karcie pobytu mogę mieć w końcu etat i ubezpieczenie. Pracuję na dachach. Patrzę sobie z góry na Żary. Rodzice zmarli, na pogrzeb nie mogłem jechać, bo nie zostałbym wpuszczony z powrotem. Nie mogę przekroczyć żadnej granicy. Nie należę do żadnego kraju i nie można mnie nigdzie przypisać.

Jakby wtedy, w 1991 roku, zdezerterował nie tylko z wojska, ale z całej ludzkości.

Zamykają już centrum handlowe, nad parkingiem pojawił się księżyc.

– Ale dobrze mi tu, gdzie jestem – mówi dezerter. Wiatr ucichł, torby foliowe pospadały na ziemię.

Borne Sulinowo. Rasputin i osadnicy

Otwieramy rano oczy w pokoju hotelowym i widzimy radzieckie plakaty propagandowe na ścianie. Na śniadanie do jajecznicy przygrywa z głośnika piosenka po rosyjsku: „Borne Sulinowo, złota żyło! Borne Sulinowo, nas zaprzyjaźniło! Nie było bohaterem w żadnym tefałprzekazie, ale do świata broniło dostępu zarazie!”.

Drogę do toalety wskazuje nam proporzec z Leninem.

– Kobieta guma wyginała się tak, że mógł jej strzelić kręgosłup. Był też dobrze zbudowany Kazach, który nosił na rękach dziewczynę. Układała się w jego ramionach w kwiat lotosu, a potem wchodziła po drabinie zbudowanej z maczet, normalnie po ostrzach, i skakała w dół, na szkło. I był jeszcze treser lwów Wadim Zabiełkin. W Chorzowie rozbiliśmy namiot, a on wyszedł na spacer z lwem, uwiązał go u płotu przy basenie i poszedł popływać. Naprzeciwko był ogród zoologiczny, straż myślała, że uciekł im z klatki – opowiada w recepcji Zbigniew Konieczny, właściciel hotelu Gościniec Rossija. W okresie PRL pracował dla SojuzGosCyrk (Radzieckich Cyrków Państwowych – stowarzyszenia cyrków z całego ZSRR), podróżował po Rosji, gdzie oglądał numery cyrkowe i sprowadzał je na polski rynek. To wszystko, czyli rosyjskie doświadczenie i nos do marketingu, przydało mu się w Bornem Sulinowie.

Zamknięty garnizon Borne Sulinowo zmienił się w zwyczajne małe polskie miasteczko. W budynku dowództwa zapadają decyzje burmistrza. Na placu defiladowym trenują dzieci, bo to teraz boisko orlik. W radzieckim kinie jest kościół, a w garnizonowym szpitalu mieszczą się Dom Pomocy Społecznej i Centrum Rehabilitacji dla Osób Chorych na Stwardnienie Rozsiane. Poczta to dawna stołówka, a biblioteka miejska – radzieckie przedszkole.

– Wiosną 1993 roku przyjechałem z wyprawą Uniwersytetu Śląskiego, która miała sprawdzić skażenie ziemi w okolicy. Ja pracowałem wtedy na AWF i szukałem miejsca na obóz jeździecki dla młodzieży, zabrałem się z nimi. Terenu pilnowało polskie wojsko, trzeba było mieć przepustkę – wspomina Konieczny.

Siedzimy w recepcji Rossiji. Na wieszaku obok wisi mundur radzieckiego oficera. Za oknem grają świerszcze.

– Jechaliśmy w konwoju. Nagle to zobaczyłem: piękne poniemieckie stajnie, jeszcze z czasów, gdy artylerię ciągnęły konie. Rosjanom służyły za garaże dla czołgów. Wystarczyło podłączyć prąd i wodę. Wróciłem tam z obozem. Brakowało nam łóżek i materaców, to pokazali nam radzieckie magazyny. Od podłogi do sufitu wypchane były łóżkami, stołami, krzesłami, lodówkami i kuchenkami gazowymi. Wybrałem nowiutkie prycze i materace zapakowane w szary karbowany papier. Gmina sprzedała to za grosze. W Bornem Sulinowie mieszkali już wtedy pierwsi pionierzy – opowiada Konieczny.

Pierwsi osadnicy, podaje ówczesna „Gazeta Wyborcza”, mają imiona: Stanisław (ciepłownik), Adam (restaurator), Remigiusz (ksiądz), Janusz (redaktor) i Tadeusz (ekonomista).

Ksiądz Remigiusz Szrajnert w radzieckim garnizonie chce biednym dzieciom zorganizować raj. W Bornem pojawił się jako pierwszy z pierwszych, bo w styczniu, kiedy w mieście było zupełnie pusto. Na mszy, którą odprawił w marcu w poradzieckim kinie, zjawiło się już kilkanaście osób. Wierni, zamiast w ławach, usiedli w kinowych fotelach. Cieszyli się: skoro Sowieci zmieniali kościoły na sklepy, to my im kino na kaplicę.

Redaktor Janusz Karkoszka, były dziennikarz „Trybuny Śląskiej”, chce w Bornem założyć gazetę, w której nie będzie mu nikt wykreślał ani jednego słowa. Gazetę nazwał „Moreny”. W pierwszym numerze pisał: „Tajemnicze przez prawie pięć dziesiątków lat miasto powróciło nareszcie

do Polski. Ostatni skrawek ziemi odzyskanej dla kraju po II wojnie światowej”.

Ekonomista Tadeusz Wiekiera z Gliwic planuje w Bornem prowadzić obsługę podatkową i doradzać biznesmenom, którzy na pewno mieli zjechać do najmłodszego miasta w kraju. Firma Wiekiery jest pierwszą zarejestrowaną w Bornem.

Restaurator Adam Idziak z Kościerzyny przyjechał jako piąty. W mieście, uznał, są perspektywy dla ludzi ambitnych. Wyłożył pieniądze na bar, bo osadnicy muszą coś jeść. Bar nazwał Pod Orłem. Najpierw mieścił się w pokoju na parterze garnizonowego budynku, potem przeniósł się do dawnej radzieckiej ciastkarni. W menu: piwo, parówka z mikrofali, zapiekanka, flaki.

Ciepłownik Stanisław Matysiak natomiast liczy pieniądze, które ma zarobić na wymianie rur w remontowanych mieszkaniach.

„Kolonizacja Bornego Sulinowa” – pisze „Głos Koszaliński” 27 sierpnia 1992 roku.

A 3 października 1992 roku: „Wreszcie Polska!”.

„II wojna światowa zakończyła się tutaj przed tygodniem” – to z kolei „Express Poznański” 2 listopada 1992 roku.

„Goniec Szczeciński” 20 listopada 1992 roku: „Szli na zachód osadnicy”.

Ulice są opustoszałe. W Bornem, w którym mieszkało wcześniej kilkanaście tysięcy radzieckich żołnierzy, na razie osiedliło się tylko kilkunastu pionierów. Cisza, żadnych ptaków. Wyniosły się lata wcześniej przez huk wystrzałów. Po chodnikach szwendają się psy zostawione przez Rosjan, a teraz bezdomne. Pionierzy wołają na nie „Lońki”. Na placu pomnik – sterczącą do nieba ręka z pepeszą. Nazwy ulic pisane jeszcze cyrylicą. Zamiast przyszłej Sosnowej jest Witebsko-Nowogrodzka. Chomienkowa dopiero zmieni się w aleję Niepodległości. Przy granicy miasta budki wartownicze, a w budkach instrukcje, jak się rozmawia z Polakiem: „*Stoj, kto idżje*” (wypisane fonetycznie, cyrylicą). Na strychach koszar zafoliowane mundury, maski gazowe, amunicja do broni

maszynowej w taśmach. W pokojach aparatura do bimbru i resztki zacieru w garnku.

Alicja Poczobut przyjechała do Bornego w kwietniu i kiedy pozostali mieszkańcy wyjechali na majowy weekend, została w mieście sama. Nie mogła spać, bo w nocy słychać było łoskot zrywanych kłódek, stukot wyłamywanych drzwi, brzęk wyrywanych kaloryferów.

Konieczny:

– Kiedy wojsko przestało pilnować miasta i przekazało je gminie, ludzie z sąsiednich wsi ruszyli nocą na szaber. Kupiłem budynek, w którym teraz siedzimy, a zaraz okazało się, że mam ogromny problem. Wyjeżdżałem na chwilę do Szczecinka, wracałem i już były ślady włamania. Kazik, były strażak, dozorował w budynku, który przejęła straż pożarna. Skarżył się, że raz odszedł na chwilę, a jak wrócił, nie było kaloryferów. „Kaziu, ty przecież za to odpowiadasz. Co zrobisz?”, pytałem. A on zorganizował ekipę, poszli do sąsiedniego domu, odkręcili kaloryfery i założyli w budynku Kazika. To ogromne tereny, gmina nie mogła ich upilnować. Była zatrudniona firma ochroniarska, ale to raczej złodzieje pilnowali ochroniarzy. Gdy skończyły się najlepsze fanty, a potem metal, kradziono kostkę brukową. Niektóre drogi, całe placyki w Bornem zniknęły. Gdy po latach dziennikarze zaczęli częściej przyjeżdżać do Bornego, przypisali całą tę dewastację Rosjanom.

Mirosława Łuczak, emerytka z Łodzi, apel o osiedlanie się w nowym mieście obejrzała w *Teleexpressie*. Napisała list „Do władz Bornego Sulinowa”, ale na poczcie w okienku usłyszała, że nie ma takiego miasta. Nabór robiły władze nieodległego Silnowa. Ludzie dzwonili do Silnowa codziennie. Pytali o wolne mieszkania i czy w Bornem nie wypadają włosy od napromieniowania. Filia urzędu gminnego stała zaparkowana na placu – najpierw w nysce, a potem w skodzie. Trzy tygodnie po wysłaniu listu Mirosława Łuczak dostała klucze. Chodziła po ulicach Bornego i liczyła okna, w których pojawiają się nowe firanki.

Firanki wieszała Krystyna, nauczycielka. Przyjechała prowadzić zerówkę. Na razie jednak obgryzała z nerwów paznokcie – w mieście było tylko czworo sześciolatków. Dostanie pracę dopiero, gdy uzbiera się ośmioro.

Byli Andrzej i Elżbieta, uciekający kochankowie, on jeździł toyotą, ona pisała książkę *Miłość mocniejsza nad śmierć*. Książka miała już pięćset stron, a do Bornego uciekli przed jego żoną.

W połowie maja 1993 roku w Bornem stał już posterunek policji.

W czerwcu w kasynie oficerskim podano obiad (zrazy i schabowe) z okazji otwarcia miasta. Nie trzeba było już przepustki. Razem z wicepremierem nowi mieszkańcy posadzili „pierwsze polskie drzewko” – lipę.

W październiku, gdy Borne otrzymało prawa miejskie, żyje w nim już trzysta rodzin.

Mieszkania, nawet całe bloki albo kasyno oficerskie nad jeziorem można kupić za niewielkie pieniądze. Kasyno na przykład wydzierżawiły trzy łodzianki, które chcą otworzyć w nim hotel z podziemnymi parkingami. Na radzieckim kasynie powiesiły tablice „własność prywatna”. Pod klatką „leningradu” tłumy. To losowane są piętra wykupionych mieszkań, ludzie z wypiekami na twarzach ciągną kartki. Nikt nie chce mieszkać na czwartym, bo w „leningradach” nie ma windy. Otworzyły się szkoła, ośrodek zdrowia i restauracja Zodiak. Wszyscy mieszkańcy się znają, wieczorami bawią się na dansingach. Borne dostaje flagę (zielono-biało-błękitną) i herb (lipę).

Listopad. Pierwsze wybory w nowym mieście. Uprawnionych do głosowania jest dziewięćdziesięciu pięciu mieszkańców. W całym Bornem wisi tylko jeden plakat wyborczy (Samoobrony).

W grudniu rodzi się pierwszy mieszkaniec Bornego z urodzenia, syn właściciela baru Pod Orłem Dawid.

*

Trzy lata później do Bornego przyjeżdża dziennikarz „Polityki”.

Biedne dzieci, dowiaduje się, wcale nie zjechały na plebanię księdza Remigiusza. Ksiądz po roku sam wyjechał, zmożony chorobą.

Redaktor Janusz Karkoszka swoją gazetę wydawał za pieniądze gminy. Choć nikt mu nic nie wykreślał, lokalną władzę opisywał bardzo uprzejmie. Po wyborach władza się zmieniła, stracił sponsora i wrócił na Śląsk.

W mieszkaniu ciepłownika Stanisława Matysiaka nikt nie otwiera. Podobno przeniósł interesy poza Borne.

Restaurator Adam Idziak też zniechęcił się do baru, odsprzedał udziały, wyjechał na saksy do Niemiec.

Ekonomista Tadeusz Wiekiera kursuje między Śląskiem a Bornem. W Bornem odpoczywa, na Śląsku zarabia.

W mieście mieszka trzy i pół tysiąca ludzi, ale liczba od dawna przestała rosnąć. Potrzeba specjalistów elektryków, spawaczy, stolarzy i hydraulików. Urząd miasta próbuje kusić górników z likwidowanych kopalń świeżym powietrzem. Organizuje wycieczki pokazowe dla kandydatów na osadników, a w katowickim Biurze Promocji Bornego Sulinowa można obejrzeć filmy i foldery chwalące rybne jeziora. Z ulotek uśmiecha się profesor Zbigniew Religa.

„Takiej oferty jeszcze nie było! Takiej promocji już nigdy nie będzie! Wpłacając niespełna 20 tysięcy złotych, możesz się stać właścicielem superatrakcyjnego M-3 w Bornem Sulinowie” – głoszą foldery. Tylko jeden warunek, zastrzegają ulotki – w mieście nie wolno hodować gołębi.

Na betonowych poradzieckich murach w Bornem są już pierwsze graffiti – przy herbie Bornego i haśle „Rośnij z miastem” napis: „Palenie lub picie – wybór należy do ciebie”. I: „Nic tak nie cieszy jak seria z pepeszy”.

Pierwsze afery. Spółdzielnie mieszkaniowe mają sprawy w prokuraturze. Prezes Wspólnoty Jan Pawłowski zamknął się w budynku i groził, że wysadzi się w powietrze za pomocą radzieckiego granatu. Bezrobocie sięga trzydziestu procent. Z dużych pracodawców jest tylko producent altanek i płotów. A poza tym: dom pomocy społecznej i urząd miasta.

Wielu ludzi, którzy kupili w Bornem całe budynki, przeliczyło się finansowo. Pustostany groziły zawaleniem, a na remonty brakowało pieniędzy. W pustostanach, dawnych garażach czołgowych, zamieszkały trolle – tak mieszkańcy nazwali bezdomnych. Nie wyszedł też hotel z podziemnym parkingiem w kasynie, czyli Domu Oficera. Ktoś zdarł i wywiózł dębowy parkiet. Był wyłożony na lepiku, na czarnej tafli trolle rozpaliły ognisko, od iskier zajęły się boazerie. Ogień wykręcił stalowe rusztowania sufitu. Runął, nie było czego ratować.

Mirosława Łuczak, która kiedyś obserwowała wieszanie firanek w kolejnych oknach, kilka lat później obserwowała ich ściąganie.

W 1997 roku notuje w swoim dzienniku:

> Największym problemem Bornego Sulinowa jest bezrobocie. Kiedy w Polskę poszła wieść o leśnym mieście, gdzie czekają mieszkania, zaczął się ruch. […] Ale oszczędności pokończyły się i tak pewnego dnia decyzja, a potem kartka na tablicy ogłoszeń – sprzedam mieszkanie.

W roku 1998:

> Pięć lat życia i drugie z kolei wybory samorządowe. W radzie Bornego Sulinowa zasiądzie 20 wybrańców narodu. Swoich kandydatów zgłosiły 22 komitety wyborcze. […] Idę na spacer z psami, wściekam się, bo na drodze stoi bura kałuża, bo zieloną trawę rozjechały koła samochodu, bo urwany kosz na śmieci leży przewrócony i prezentuje kolekcję puszek po piwie, zmiętych gazet, opakowań po papierosach. Wczoraj w sąsiednim bloku była awantura. Pijany mąż wyzywał żonę, płakały przerażone dzieci, przez uchylone drzwi wybiegł wystraszony pies i z podkulonym ogonem schował się w zaroślach. Idący przede mną młodzi chłopcy zabawiali się ciskaniem kamieniami w wiewiórkę, a potem ze spokojem sięgnęli po pojemnik z farbą w sprayu i zaczęli pisać na ścianie bloku, kim jest policja i gdzie ją mają. Wydaje mi się, że to było wczoraj, kiedy tak bardzo cieszył mnie widok samochodu z rejestracją gdzieś z krańca Polski. […]

Rok 2000:

> Siódmy rok istnienia na mapach Polski miasta Borne Sulinowo. Ostatnie dni minionego roku zapisały się w historii kryminalnej. Doszło do napadu na sklep spożywczy.

Rok 2002:

Szczytem był reportaż emitowany w dniu 23 marca w programie *Ekspres Reporterów* TVP2. Komuś zależało, żeby pokazać, co jest najgorsze, najbrzydsze w Bornem Sulinowie. Fragmenty miasta, które odstraszają. […] Podkład muzyczny był szokujący – upierdliwy, świdrujący w uszach gwizd rozwoziciela gazu, w dodatku nie mieszkańca Bornego, tylko sąsiedniej wioski Dąbie, horror. Rady Osiedla Bornego Sulinowa, organizacje i stowarzyszenia wystosowały protesty na ręce Prezesa TVP, marszałka województwa i innych władz. […] Na „rzetelną i staranną" pracę dziennikarską zareagowali mieszkańcy Bornego Sulinowa, zaprzestając kupna gazu i wymiany butli gazowych u sprzedawcy z Dąbia.

Pomysły na uratowanie Bornego Sulinowa przed śmiercią:

- Firma Polspan ze Szczecinka chciałaby składować na specjalnym wysypisku żelowaną żywicę mocznikowo-formaldehydową.
- Burmistrz myśli o sprowadzeniu wojsk amerykańskich.
- Wiesław Rembieliński, prawnik i rolnik, z zamiłowania reżyser i scenarzysta, chce otworzyć w Bornem park rozrywki (ma składać się z trzech części – niemieckiej, z willami, kasynem i klimatem przedwojnia; radzieckiej, z szaszłykami z jesiotra, banią i śpiewaniem *Kalinki*; i polskiej, nie zdradzi, co w niej będzie, bo inaczej nikt mu nie zapłaci).
- Alternatywny pomysł Wiesława Rembielińskiego: Safari Pomorze, park ginących gatunków zwierząt; chce pozbierać je wszystkie i umieścić w Bornem.

Miasto niespodziewanie ratuje Armia Radziecka.

– Jednej dziennikarce, która przygotowywała materiał o naszym mieście, pokazałem drewniane miny ćwiczebne – opowiada Konieczny. – „To zabawka", powiedziałem i dałem potrzymać. Potem w telewizji widzę program: „Co nam Rosjanie w spadku zostawili". Ujęcie min, bez informacji, że z drewna. Ale szczerze mówiąc, nie chcieliśmy protestować. Zauważyliśmy, że to napędza nam turystów. Hotel, który otworzyłem, też

najpierw nazywał się Deresz, od klubu sportowego, z którym przyjechałem. Ale zorientowałem się, że jeśli przyjeżdżają do nas ludzie, to tylko po to, żeby poczuć rosyjski klimat. Postanowiłem wtedy, że będę mieć rosyjską kuchnię w hotelu. Poszedłem do Saszy. W radzieckim garnizonie był fotografem, potem skończył mu się kontrakt i w 1991 roku wrócił do Doniecka. Zastał tam splądrowane mieszkanie. W Doniecku rodziła się mafia. Więc wrócił z żoną Wierą do Bornego, gdzie czuli się dobrze. Próbował prowadzić zakład fotograficzny, ale nie szło mu najlepiej. Był zainteresowany współpracą. Rosyjskie potrawy nauczył się jednak gotować dopiero u mnie. Miał czarną długą brodę, przypominał Rasputina. Tak nazwałem też hotel. Planowałem, że na plakatach i materiałach reklamowych damy jego twarz, upozowaną na szalonego mnicha. Nie zgodzili się. „Przecież on w ogóle do Rasputina niepodobny”, protestowała Wiera. I co? Wchodzą pierwsi klienci, młoda dziewczyna z koleżankami. Sasza i Wiera witają ich w drzwiach, a dziewczyna klęka i woła: „Rasputin!”. W końcu go namówiłem. Wmawiał ludziom, że jest wnukiem Rasputina i potem był już tym Rasputinem całkiem na luzie. Sasza i Wiera postanowili się w końcu usamodzielnić, nie miałem Rasputina, więc zmieniłem nazwę na Rossija.

Ludzie zaczynają przyjeżdżać tu poczuć klimat radzieckich koszar. Pojawiają się byli radzieccy żołnierze, którzy służyli w Bornem. Odbywają takie podróże sentymentalne.

– Nocował u mnie chłopak, który jako sześciolatek mieszkał tu podczas służby swojego ojca oficera. Pracował na Syberii przy wydobyciu ropy. Dostał pierwszy urlop i przyjechał. Pomogłem mu znaleźć dom, w którym mieszkał. Dzisiaj to biblioteka. Przyjechał generał Armii Radzieckiej, dzisiaj obywatel Mołdawii. Zacząłem zbierać radzieckie przedmioty. Tu wisi szynel wojskowy, płaszcz generała-lejtnanta. Mam inne mundury, czapki. Ormianin Marat przywiózł mi kozacką. Mieszka w Petersburgu, co roku jedzie do Egiptu, do Grecji, zawsze przez Borne. Żona chce do ciepłych krajów, a on ma warunek: „Dobra, ale przez Borne”. Chodzi po uliczkach, młodość mu się przypomina. „Po cholerę mi ta Grecja?”, pyta.

Z radzieckiego sentymentu żyją teraz też inni: kiedy Andrzejowi Michalakowi pada firma budowlana, wymyśla muzeum. Pokazuje w nim radzieckie fanty, które zebrał od okolicznych rolników. Sasza i Wiera otworzyli swoją kawiarnię i sklep z artykułami rosyjskimi. Od niedawna Sasza nie chce jednak rozmawiać z reporterami. Ludzie plotkują, że jest rosyjskim agentem, ktoś mu wymazał restaurację czerwoną farbą. Rajmund Prus wozi po byłych poligonach wycieczki byłych radzieckich wojskowych. W mieście znowu pojawiły się armaty – stanęły na placu przed magistratem. Bezrobotni oprowadzają turystów po bunkrach, z kabli wyciągają miedź albo oddają na skup czołgowe gąsienice. W wakacje odbywają się zloty militarne. Przy wjeździe do miasta staje wtedy czasem radziecka wartownia, mieszkańcy w radzieckich mundurach wydają przepustki, wzrastają ceny hoteli.

Konieczny pokazuje ulotki:

„Pragniesz przeżyć przygodę swojego życia? Z nami zwiedzisz bunkry i poczujesz się jak Janek z *Czterech pancernych*!”.

„MEGAATRAKCJA! Przejażdżka pojazdami gąsienicowymi z okresu świetności CCCP, które możecie wybrać z naszej oferty! (dla grup posiadających własne pojazdy istnieje możliwość wynajęcia samego przewodnika)”.

„Nasza ekipa zawsze ubrana jest w rosyjskie mundury dla podkreślenia klimatu!”

– Chwyciło, to poszliśmy za ciosem i założyliśmy LOT – mówi. – Lokalną Organizację Turystyczną. Organizujemy *military show*. Jeden chłopak urządza paintball, drugi ma ciężarówkę wojskową, trzeci amfibię. Zebrałem ich i zapytałem: „Jak idą interesy?”. „Ciężko!” „A czy to musi się nazywać paintball? Nazwijmy to: manewry wojskowe na radzieckim poligonie”. Od razu zgłosiła się firma z wyjazdem integracyjnym. Pracownicy korporacji dostali umundurowanie, broń, pojazdy wojskowe. Jeździli nimi po poligonie i ładowali do siebie plastikowymi kulkami.

Ogon zdechłego lwa (1990–1993)

Maj 1990

– Rankiem wyjrzałam przez okno, a pod bramą garnizonu stało kilku młodych chłopców. Wołali: „Precz z okupantem”. Przetarłam oczy, bo wcześniej było to nie do pomyślenia. „W złym miejscu stoicie – krzyknęłam. – Do Moskwy, do Warszawy. Tu chłopcy jak wy w dzień myślą o piwie, a w nocy onanizują się pod kocem, tacy okupanci!” – wspomina Jelena Władimirowna, pracownica garnizonowego oddziału medycznego w Legnicy.

Pod pomnikiem Jana i Iwana trwa głodówka. Dwudziestoczteroletni Marek Zadrożny, cieśla i działacz organizacji Wolność i Pokój, trzyma transparent: „Precz z sowieckim okupantem”. Dosiada się do niego Jerzy Dziedzicki z Konfederacji Polski Niepodległej, operator przenośników taśmowych w hucie miedzi, przebywający akurat na urlopie.

„Głodujemy, bo radzieccy obywatele dewastują polskie mieszkania, wyrywają klepkę i palą nią w piecach. Okna zasłaniają gazetami, nielegalnie czerpią energię elektryczną” – wołają przez tubę. Żądają natychmiastowego wycofania armii. Ludziom radzą, by zajmowali radzieckie pustostany. Ktoś przysyła im kartkę: „Nieroby, do roboty!”, ktoś inny grozi śmiercią. Na Armii Czerwonej nieznany sprawca zdjął tabliczkę z nazwą ulicy. Na murze okalającym Kwadrat ktoś pisze: „Runął w Berlinie, runie w Legnicy”. Mieszkańcy przynoszą pod pomnik soki owocowe, opisuje młody reporter „Gazety Wyborczej” Mariusz Szczygieł. Głodujący piją je, by mieć siłę głodować dłużej.

Głodówka trwa pięćdziesiąt dni. W dniu pięćdziesiątym pierwszym do Legnicy przyjeżdżają szef KPN Leszek Moczulski oraz pierwszy sekretarz

ambasady ZSRR Aleksandr Oskin. Sekretarz Oskin przywozi głodującym prezent: kalendarz z fotografiami kościołów i cerkwi w ZSRR.

„Popieram okrzyki: »Sowieci do domu!« – mówi. – Bo i sam chciałbym wrócić”.

Negocjacje w sprawie głodówki odbywają się na plebani. W końcu sekretarz radzieckiej ambasady podpisuje z głodującymi oświadczenie: radzieckie wojska powinny wycofać się z Polski jak najszybciej.

Zadrożny schudł trzynaście kilogramów, a Dziedzicki sześć. Zastrzegają, że jeśli armia będzie się migać z wyjściem, pójdą na wodę, to znaczy: na głodówkę bez soków.

Podobne protesty oraz blokady garnizonów KPN organizuje przez całe lato. Mają spokojny przebieg. Radzieccy strażnicy paradują ze znaczkami KPN wpiętymi do mundurów. Wymieniają się: czerwona gwiazdka za znaczek Konfederacji Polski Niepodległej.

7 września 1990

Wiktor Dubynin nosi zegarek Wostok, a papierosy pali Stolicznyje. Urodził się za Uralem – jego rodzina została rozkułaczona w czasie kolektywizacji, a ojca zesłano tam do gułagu. Dubynin zrobił jednak karierę w wojsku. W 1981 roku służył na Białorusi i szykował radzieckie wojsko do interwencji w Polsce. Od roku pełni funkcję dowódcy Północnej Grupy Wojsk. Jest 7 września. Właśnie dowiedział się, że rząd Tadeusza Mazowieckiego zwrócił się do władz ZSRR o podjęcie rokowań w sprawie wycofania armii, co obiecał wcześniej Michaił Gorbaczow.

Denerwuje się, że braterską do niedawna armię Polska chce wyprowadzić jak jeńców. Już raz musiał wyprowadzać radzieckie wojska. W 1986 roku wycofał pierwsze pięć pułków z Afganistanu. Teraz ma wyprowadzić bataliony z Polski.

Październik 1990

W 1944 roku Zdzisław Ostrowski miał jedenaście lat. Gdy wojska Armii Czerwonej zdobyły przyczółek warecko-magnuszewski, razem z ojcem był dla Rosjan przewodnikiem. Dobrze znał okolicę, pokazywał więc, jaką drogą można transportować rannych do szpitali. Czterdzieści sześć lat później jest generałem Wojska Polskiego i znowu ma wskazywać Rosjanom drogę. Tym razem drogę wyjścia. Właśnie został mianowany pełnomocnikiem do spraw pobytu wojsk radzieckich, ma prowadzić rokowania o wycofaniu.

11 grudnia 1990

„Negocjacje przypominają rozmowy ślepego z głuchym o kolorach – uważa generał Ostrowski. – Jednego dnia dochodziliśmy do jakichś ustaleń, a drugiego okazywało się, że przychodzi inna ekipa, bo tylko przewodniczący delegacji zawsze był ten sam, i zmienia sytuację”. Najtrudniej wynegocjować dokładne terminy rozpoczęcia i zakończenia wycofywania. Rosjanie domagają się zapłaty za budynki wybudowane w Polsce. I nie chcą słyszeć, że Polacy będą wyceniać zniszczenia budynków w garnizonach. Każdemu radzieckiemu żołnierzowi przy przekraczaniu granicy należy zapłacić po tysiąc dolarów, sugerują. Składają propozycję, by w opuszczonych bazach powstały enklawy ekonomiczne, w których otworzą się rosyjskie firmy.

11 stycznia 1991

„Niezwyciężona, dumna armia radziecka, która kiedyś pokonała Germańców, wyjdzie z Polski wtedy, kiedy uzna to za stosowne, drogami i szlakami, które uzna za stosowne, z rozwiniętymi sztandarami, w sposób, który sama ustali, a jeżeli ktoś będzie jej w tym przeszkadzał, to nie bierze ona odpowiedzialności za bezpieczeństwo ludności Polski” – mówi podczas

negocjacji w Moskwie Wiktor Dubynin. W Polsce wzburzenie. Interwencja szefa delegacji Walentina Koptielcewa, który wyjaśnia, że to prywatne zdanie generała, uspokaja atmosferę. W szkole w Legnicy Rosjanie próbują zorganizować protest przeciwko wycofywaniu wojsk.

9 kwietnia 1991

Borne Sulinowo. Rokowania jeszcze trwają, ale garnizon opuszcza pierwsza grupa żołnierzy.

O 10.07 orkiestra gra hymn radziecki, a o 10.08 polski.

„Wyjeżdżacie z Polski jako pierwsi. Nikt wam tego pierwszeństwa nie odbierze” – mówi dwuznacznie generał Ostrowski.

O 10.37 znowu hymny – tym razem w odwrotnej kolejności. O 10.41 salwa armatnia i przemarsz. Sześćdziesięciu żołnierzy ze 116 Orszańskiej Brygady Rakiet Operacyjno-Taktycznych wsiada do wagonu towarowego (rakiety i głowice zapakowano pięć dni wcześniej). Na trybunach polscy i radzieccy oficerowie, a także – pierwszy raz w radzieckim garnizonie – dziennikarze.

> Podchodzi do mnie oficer – opisuje reporter „Gazety Wyborczej”. – Nasz radziecki opiekun, w ręku ma aparat fotograficzny: „Bardzo przepraszam – mówi – jest tu z dziennikarzami córka generała Jaruzelskiego. Czy pan ją zna?”. „Znam”. „To niech mi ją pan pomoże znaleźć, bo chciałbym sobie zrobić z nią zdjęcie na pamiątkę. Wielu moich kolegów zdążyło, ja nie”.

O 11.00 pociąg odjeżdża do ZSRR.

15 stycznia 1992

„Zdechłego lwa nawet małpa wytarmosi za ogon” – przytacza wschodnią mądrość generał Dubynin. Komentuje tak odcinanie dostaw prądu i wody do wojskowych miasteczek. Armia zalega z opłatami. Przed blisko trzema

tygodniami rozpadł się Związek Radziecki, galopuje inflacja. Armii Radzieckiej brakuje pieniędzy. Na wszystko.

„Strumień wody o grubości zapałki daje 480 litrów straty na dobę. Żarówka 100 W w czasie godziny daje stratę 1 kW. Każda niegospodarność to okradanie siebie i społeczeństwa, to przeszkoda na drodze dobrobytu ludzi (Michaił Gorbaczow)” – czytają na plakatach oficerowie w kolejce po wypłatę.

Na jedzeniu bardziej oszczędzać się już nie da. Polskie przedsiębiorstwo Marko, które zaopatruje Armię Radziecką, znowu podniosło ceny. Jarzyny w zupie jarzynowej to pół przekrojonego ziemniaka. Na drugie łyżka gotowanego pęczaku. Wartość żołdu spadła trzykrotnie, żołnierze starają się wymyślić swoją przyszłość. Major Nikita Aleksandrowicz Trofimienko, inżynier czołgista z 252 Pułku Pancernego, kupił na przykład za oszczędności dziesięcioletnią nysę i stary silnik do wołgi. Po powrocie chce wozić marchew na targ.

Podpułkownik Wiaczesław Czernik, były sekretarz terenowego komitetu partii, wyjechał już na Białoruś, ale nie był tam potrzebny. Miał na utrzymaniu rodzinę, więc wrócił do Legnicy. Można go spotkać, jak handluje na bazarze.

Anatolij Łopata, od 1990 roku zastępca generała Dubynina: „Dowódcy doskonale rozumieli, że w ojczyźnie nikt na nich nie czeka i nic im nie da”. Oficerowie mogą ze sobą zabrać pół wagonu, a czasem cały wagon rzeczy, rozbierają więc i wywożą części hangarów, meble i narzędzia. Gdy okazuje się, że transport będzie kosztował ich więcej niż sam skarb, rzeczy wyrzucają.

Generał Dubynin w wywiadzie dla „Krasnej Zwiezdy”: „Zmuszeni jesteśmy demontować majątek ruchomy w obiektach, które obecnie mogłyby przynosić konkretne zyski”. W przedszkolu przy Złotoryjskiej zerwano zabytkową boazerię, a w willi przy Kolbego – zabytkowy parkiet.

W radzieckich ciężarówkach, które wyjeżdżają z garnizonów, policjanci znajdują grzejniki, blachę falistą i stoły. W Szprotawie ze ścian budynków wyrywane są kable.

Rosjanie sprzedają też Polakom mieszkania, choć nie mają prawa tego robić (należą do Skarbu Państwa).

„Ja, niżej podpisany, oświadczam, że obecnie zajmowane mieszkanie kupiłem od obywatela ZSRR za 1 000 000 zł w 1990 roku. Nadmieniam, że oficer radziecki był w stopniu majora, pracował na lotnisku, pochodzi znad Morza Czarnego" – tłumaczy w prokuraturze jeden z kupców.

Z inflacją i przemytem rosną chaos i liczba przestępstw popełnianych przez Rosjan.

Walka o pieniądze trwa podczas negocjacji w Moskwie. W „Wojenno-Istoriczeskim Żurnalu" Sztab Generalny Rosji wystawia rachunek za wyzwolenie Polski – 26 miliardów 720 milionów 959 tysięcy rubli. Polska przypomina natomiast, że Rosjanie mają nieuregulowane długi za cały pobyt wojsk radzieckich: transport koleją (25,9 miliona franków szwajcarskich), dostawy energii, żywności (5 miliardów dolarów) i czynsze (33,8 miliarda złotych).

26 stycznia 1992

„Módlmy się!" – woła kardynał Henryk Gulbinowicz, arcybiskup wrocławski w kościele Świętych Apostołów Piotra i Pawła. We mszy uczestniczy dowództwo rosyjskiego garnizonu na czele z generałami Dubyninem i Łopatą.

„Bogu dziękujemy za te chwile. Jeszcze bardziej teraz uświadamiamy sobie, czym jest Kościół w każdym narodzie i czym jest wiara dla każdego rozumnego człowieka" – mówi Dubynin. Po mszy odbywa się nieodpłatne przekazanie Domu Oficera w Legnicy wrocławskiej Kurii Metropolitarnej. Wydarzenie się opóźnia, bo wojewodzie wrocławskiemu nie podoba się, że przy blasku fleszy „radziecki generał będzie przekazywał obiekt polskiemu księdzu". „Symboliczne jest to, że Dom Oficera – świątynię kultury radzieckich wojskowych – przekazuje się polskiemu Kościołowi rzymskokatolickiemu, który tak dużo uczynił i czynić będzie dla duchowego wychowania narodu. Wierzymy, że z tego budynku wyjdą

siewcy odwiecznych prawd, dobra, humanizmu i moralności – mówi Dubynin. – Wartości, które wyznaje polski Kościół, zawsze znajdowały zrozumienie i wsparcie radzieckich żołnierzy”.

Kardynał dziękuje i życzy: „Panu, panie generale, wielkiemu narodowi Rosji, któremu teraz bardzo niełatwo, szczęścia i powodzenia. Niech wam dopomoże Bóg”.

Przed Domem Oficera stoi pusty cokół. Jeszcze niedawno był tu pomnik marszałka Rokossowskiego, teraz mówi się, że jego miejsce zajmie prawdopodobnie patron ulicy Jan Paweł II.

Luty 1992

Obwieszczenie: „Kolumny pojazdów Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej będą przejeżdżały od 5 do 14 lutego na trasie Świętoszów–Przemków–Głogów, Leszno–Kościan–Lipnica, Szamotuły–Oborniki–Piła, Jastrowie–Borne Sulinowo. Policja radzi kierowcom omijać tę trasę albo liczyć się z dużymi utrudnieniami ruchu”.

Kolumna składa się z trzydziestu–czterdziestu ciężarówek Ural i GAZ-66. Czasem są obrzucane kamieniami, więc w oknach żołnierze montują tektury i płyty pilśniowe ze starych radzieckich plansz propagandowych.

W jednej z kolumn jedzie Wołodia, lat dwadzieścia jeden. W Polsce służył półtora roku. Dziennikarz „Gazety Wyborczej” częstuje go papierosem: „Camele, zostawię sobie na inną okazję. Nie starcza na takie rarytasy” – dziękuje Wołodia. Rozmowę przerywa porucznik. „Nie rozmawiaj z nim, to tylko szeregowy. Może chcesz kupić materiały budowlane, wódkę, pościel? Mam nową lodówkę Mińsk do sprzedania”.

22 maja 1992

Lech Wałęsa powie potem, że musiał zmiękczyć Borysa Jelcyna alkoholem.

Podczas wizyty polskiego prezydenta w Moskwie ministrowie spraw zagranicznych Polski i Rosji podpisują układ w sprawie wycofania wojsk

Federacji Rosyjskiej z terytorium Polski. Zostaje przyjęta opcja zero. To znaczy, że obydwie strony zrezygnowały z roszczeń i rekompensat za mienie, remonty, szkody ekologiczne. Polska traci finansowo, za to Rosjanie wyjdą wcześniej niż z Niemiec. Według umowy ostatni żołnierz ma wyjechać do końca 1993 roku.

Czerwiec 1992

Bunt żon w transporcie z Kluczewa. Oburzone kobiety blokują transport, bo nie zgadzają się na warunki podróży. Od tej pory obowiązuje zakaz zabierania ze sobą członków rodzin, mają wyjeżdżać zwykłymi pociągami.

W Świętoszowie garnizonu nie chce opuścić około czterystu osób. Trzeba ich eksmitować.

Lipiec 1992

Chojna, szczecińskie.

Afera! Trzy stacje paliw na wojskowym lotnisku, które ma przejąć Skarb Państwa, Rosjanie sprzedali spółce Arpol. Udziałowcy spółki: Główny Zarząd Handlu Ministerstwa Obrony (podczas sprzedaży jeszcze ZSRR), amerykańska firma ABR International Corporation i Mega-Trade z Warszawy. Dyrektor Arpolu to Zbigniew Szałajda (wicepremier w latach 1982–1988). Transakcja nie była legalna, ale wspólnicy Arpolu zabezpieczyli się tak, że w marcu 1992 utworzyli z gminą Chojna spółkę Alpex. Władze gminy wniosły do spółki trzy stacje paliw – założyły, że i tak otrzymają je po podziale radzieckiego majątku. W zarządzie Alpexu: burmistrz gminy Chojna i jego zastępca.

Październik 1992

Ostatni transport 6 Witebsko-Nowogrodzkiej Gwardyjskiej Dywizji Zmechanizowanej odjeżdża z Bornego Sulinowa w piątek po południu. Stu

dwudziestu czterech żołnierzy wsiada do pociągu. A kilkunastu oficerów otwiera prezenty od dowódcy, generała porucznika Władimira Suworowa. To aparaty fotograficzne FED 5, miniradioodbiorniki i czarne skóropodobne torby z gwiazdą i czerwonym nadrukiem „CCCP” (Związek Radziecki nie istnieje od dziewięciu miesięcy).

Skarżą się, że ostatni żołd, który dostali, wystarczy im dokładnie na trzy piwa i paczkę carmenów.

28 października 1992

W morze wypływa eskadra kutrów z 24 Brygady Kutrów Torpedowych w Szczecinie. To ostatnia bojowa jednostka armii rosyjskiej, która opuszcza Polskę. Wciąż jadą pociągi z milionami kilogramów pocisków. Zostaje też sześć tysięcy żołnierzy w dwudziestu miejscowościach, mają pomóc w dalszej wyprowadzce. Z siedmiu tysięcy budynków do zwrotu pozostało dwa tysiące.

Oddawanie garnizonów odbywa się tak: dwustronna polsko-rosyjska komisja robocza przygotowuje dokumenty z opisami stanu, protokoły kontroli, odczyty liczników i uzgadnia termin przekazania garnizonu. To w teorii. W praktyce podczas oddawania budynków wciąż wybuchają kłótnie o ich stan. W Legnicy na przykład Rosjanie prowadzą kilka hodowli świń, z których gnojowica odprowadzana jest do kanalizacji miejskiej. Ścieki z bazy samochodowej płyną do Kaczawy. W Bornem Sulinowie kilka budynków zostaje oddanych z wyrwanymi futrynami, rozbitymi piecami węglowymi, wyrwanymi licznikami energii, wyprutymi przewodami, zdemontowanymi sedesami, zerwanymi kafelkami i klepką. Piwnice zalane są wodą. Największa destrukcja odbywa się według generała Zdzisława Ostrowskiego od czasu podpisania porozumienia w Moskwie. Ale nie wszędzie tak jest. W szpitalu w Legnicy w mydelniczkach leżą jeszcze mydła. W budynkach mieszkalnych wystarczy podlać kwiaty. Są karteczki dla nowych właścicieli z powitaniem. W innych mieszkaniach na talerzach niedojedzona

jajecznica. Jedzenie ze stołówki trzeba wywieźć samochodami. Jest go tak dużo, że pozostawienie go grozi epidemią.

Listopad 1992

– Przez dwadzieścia lat starałem się nie zwracać uwagi na Rosjan – opowiada Franciszek Grzywacz. Przyjechał do Legnicy ze Zgorzelca pod koniec lat sześćdziesiątych. Kiedy w stanie wojennym wyrzucono go z pracy w Wojewódzkim Zarządzie Rozbudowy Miasta, zajął się fotografią, otworzył pracownię. Gdy w maju została podpisana umowa o wyprowadzeniu wojsk, złożył w biurze prasowym PGWAR wniosek o akredytację na zdjęcia w garnizonie. – Bo otworzyli biuro prasowe. Wcześniej jedyną metodą kontaktu była budka strażnika, tam mi nie było po drodze – tłumaczy. – Oddzwonili do mnie dopiero w listopadzie – opowiada. Zaprosili go, by zrobił zdjęcia w trakcie mszy za duszę generała Dubynina. Generał zmarł w Moskwie z powodu raka żołądka.

„Na pewno mogę?” – dopytuje Grzywacz.

„Nie martwcie się, z Domu Bożego nikt was nie wyrzuci” – odpowiada oficer prasowy rosyjskiego garnizonu.

Zdjęcia z pogrzebu podobają się radzieckim wojskowym. Dwa dni później Grzywacz ma więc już przepustkę do Kwadratu. A w ciągu następnych miesięcy wykonuje kilkaset zdjęć ostatnich chwil życia w garnizonie, szkół, ulic, piekarni i wartowni. Gabinetu Dubynina z olbrzymim globusem. Po jednostkach podróżuje czarną wołgą, towarzyszy mu jeden oficer. Nie wszystkie garnizony zgadzają się wpuścić fotografa.

– Pokazali mi hangar z samolotami – opowiada Grzywacz. – W środku przypadkiem zobaczyłem kilkadziesiąt samochodów na niemieckich blachach.

Styczeń 1993

Do pułkownika Rusłana Andriejszczewa, naczelnika wydziału finansowego Północnej Grupy Wojsk, przyjeżdża inspekcja budżetowa Ministerstwa Obrony Narodowej Rosji.

„Po sprzedaży części nieruchomości w kasie jest nadwyżka pięćdziesięciu miliardów złotych. To trzy miliony dolarów. Pieniądze ze sprzedaży majątku możemy wydać jedynie na terenie Polski, taka jest umowa. Ale co mamy kupować, artykuły sanitarne? Kiedy nasi żołnierze potrzebują mieszkań w kraju” – zastanawia się Andriejszczew. Inspektorzy z Moskwy podpowiadają: może udałoby się wymienić złote na dolary? Rosyjska ambasada rozkłada ręce. Przedstawicielstwo handlowe odmawia. Tyle dolarów? Powariowaliście. Zgadza się Centralbank w Moskwie, ale proponuje tak bardzo zaniżony kurs, że wymiana się nie opłaca. Może wymienić prywatnie, a potem wywieźć do Niemiec? – podpowiadają dalej inspektorzy. W Zossen w Deutsche Banku jest konto Zachodniej Grupy. W Legnicy powstało wiele kantorów, ale żaden nie ma na stanie trzech milionów dolarów.

„Księgowy jednostki zna jednego biznesmena, Polaka, który powiedział, że pomoże, ale prowizja dla niego to dziesięć procent” – wspomina Andriejszczew w 1997 roku w magazynie „Ogoniok”.

„Złotówki mamy wymienić w pięć, sześć podejść po pięćset tysięcy dolarów”.

Rosjanie się zgadzają. Po pułkownika Andriejszczewa, głównego księgowego pułkownika Wasiliewa i audytora z Moskwy polski biznesmen przyjeżdża mercedesem. Nie wiedzą, dokąd jadą. Zatrzymują się przy wysokim płocie, obok budynku magazynowego. Polak wskazuje na drzwi, mówi do księgowego, żeby poszedł tam z pieniędzmi. Reszta ma zostać w samochodzie. Księgowy zabiera walizkę i znika. Mija dziesięć minut, potem dwadzieścia. Andriejszczew przerażony. Księgowy wraca po czterdziestu pięciu minutach. W drodze do Legnicy liczą dolary. „Jakieś pretensje?” – pyta Polak. Żadnych. Dają mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów

prowizji, resztę chowają w sejfie. Kolejna wymiana, tym razem na milion dolarów, odbywa się trzy dni później. Po kolejnych pięciu dzwoni Polak – jest gotów wymienić ostatnie półtora miliona.

„Co tam jest w środku?” – pyta w końcu Andriejszczew księgowego Wasiliewa.

„Wchodzę do pustego pokoju, czekam. Pojawia się taki zgarbiony staruszek, zabiera moją walizkę do drugiego pokoju, a za chwilę wraca z torbą z dolarami”.

Teraz muszą wysłać dolary do Niemiec. Z pierwszą partią jedzie samochodem księgowy, dolary upycha pod siedzeniem. Andriejszczew denerwuje się, bo długo nie ma z nim kontaktu. W końcu telefon: spóźnili się przez mgłę, ale dotarli do Zossen. Resztę dolarów wysyłają samolotem. Od początku roku obowiązuje polska kontrola celna. Wojskowe zielone worki z pieniędzmi Rosjanie zalewają więc lakiem, żeby udawały tajną pocztę. Na pokład An-12 wchodzą strażnicy graniczni i celnicy, a Andriejszczew zalewa się potem. Strażnicy macają worki, proszą o dokumenty. Wychodzą. W Zossen Andriejszczew zrzuca worki dolarów na biurko dyrektorowi banku. Żeby policzyć banknoty, zwołuje do pokoju wszystkich pracowników placówki. Andriejszczew: „Piliśmy kawę, a oni liczyli. Za te dolary kupiliśmy potem i zbudowaliśmy setki mieszkań dla oficerów, którzy wrócili do Rosji”.

Luty 1993

– Nam się najbardziej dawali we znaki – powiedzą w Starej Koperni koło Żagania.

– Ruskie samoloty i po naszym niebie latały – odpowiadają mieszkańcy Bożnowa.

Po Rosjanach zostały lotnisko i koszary z budynkami do zasiedlenia (pięćset pięćdziesiąt poradzieckich mieszkań). I Stara Kopernia, i Bożnowo mają na nie chrapkę. Samorząd gminy Żagań wymyśla jednak, że na porosyjskim terenie powstanie nowa miejscowość. Zostaje ogłoszony

konkurs na nazwę, mieszkańcy przysyłają pomysły: Nowa Ziemia, Rusinowo, Purusie, Iwanowo, Laski Małe, Stokrotka, Gwiazdeczka, Nowa Kopernia, Nowinowo, Zmianowo albo Latoszyn (od latających samolotów).

Tomaszowo, od wójta Tomasza Niesłuchowskiego, zgłasza Irena Pietraszkiewicz ze Starej Koperni.

„Wójt jest tu od 1976 roku, za komuny był naczelnikiem. Rządzi dobrze i dba" – argumentuje. Wójt na początku kręci nosem. Martwi się, że jak będzie kolejny zakręt historii, to ktoś wymaże Tomaszowo z mapy, a to nie będzie przyjemne dla jego wnuków.

W finale walczą: Tomaszów, Zalesie i Tomaszowo.

Wygrywa Tomaszowo.

16 maja 1993

Piknik pożegnalny „Legnickaja wiesna" wymyślił fotograf Franciszek Grzywacz.

– Chciałem ich jakoś pożegnać, tak po ludzku – tłumaczy. Kilka tysięcy Polaków i Rosjan z Legnicy po raz pierwszy spotyka się razem w parku miejskim przy ruskich pierogach i blinach. Pod generalskim namiotem polewana jest wódka. Na scenie polscy karatecy i rosyjscy praktycy sambo. „Gazeta Legnicka" wydaje okazjonalny numer po polsku i rosyjsku. W ostatnim numerze „Znamia Pobiedy" teksty polskich dziennikarzy.

Dla chętnych wycieczka autobusowa do zamkniętego Kwadratu.

16 września 1993

Wacław Bujnicki ponad trzy dekady pracował jako kierowca w garnizonie Armii Radzieckiej, robotę znalazł mu szwagier. Jeździł ciężarowym ziłem 130. W szoferce przylepił obrazek ze świętym Krzysztofem. A za trzydzieści pięć lat bezwypadkowej jazdy dostał dyplom z Leninem. Teraz jedzie na dworzec kolejowy, odwozi Rosjanom bagaże. O godzinie 20.32 pociągiem Legnica–Brześć, po czterdziestu ośmiu latach, siedmiu

miesiącach i siedmiu dniach od wkroczenia do miasta opuszczają Legnicę ostatnie oddziały rosyjskich żołnierzy. Na peronie numer cztery generał Briezgun ściska się na misia z polskimi oficerami, robi pamiątkowe zdjęcia. Orkiestra Centralnego Ośrodka Szkolenia Wojsk Łączności w Legnicy gra *Pierwszą brygadę*, a potem *Katiuszę*. Komenda „*po wagonam*” i żołnierze wchodzą do pociągu. Generał Briezgun mości się w salonce. Orkiestra gra *Rozszumiały się wierzby płaczące*.

17 września 1993

Pięciu generałów, dwunastu oficerów i czterech szeregowców (w tym dwie telefonistki) to ostatni żołnierze, którzy wyjeżdżają z Polski, z Dworca Wschodniego w Warszawie.

Szeregowemu Igorowi z Moskwy Polska będzie się kojarzyć z mundurem.

„Ale zaraz po powrocie do domu wychodzę do cywila” – zaznacza.

Telefonistka Irina z Nowosybirska mówi, że „kawałek serca pozostawia w Polsce”.

„Ale krajowi, nie żadnemu mężczyźnie” – dodaje.

Na dziedzińcu Belwederu prezydent Lech Wałęsa mówi o tym, że w pięćdziesiątą czwartą rocznicę napaści Armii Czerwonej na Polskę, kiedy „zadano nam cios w plecy”, „dopełniła się miara sprawiedliwości dziejowej”. Każdemu z wyjeżdżających ściska rękę, życzy powodzenia. Pociąg odjeżdża. Kończy się wycofywanie Armii Radzieckiej, największa od II wojny światowej operacja militarna w Polsce. Przez trzy lata z Polski wyjechało: 2981 transportów kolejowych złożonych z 22 934 wagonów, 56 tysięcy żołnierzy, 600 czołgów, 952 transporterów opancerzonych, 390 dział i moździerzy, 231 samolotów i śmigłowców oraz 90 tysięcy ton amunicji. Polska zyskała 70 tysięcy hektarów gruntów, 7854 nieruchomości, 3 hektary nabrzeży portowych, 23 kolejowe bocznice i 13 lotnisk.

1 października 1993

1 października garnizon Borne Sulinowo dostaje prawa miejskie. W Świnoujściu do kantyny marynarskiej przenosi się urząd miasta, a w dawnym kasynie oficerskim uczyć się będą dzieci z katolickiego liceum Świętej Jadwigi. W Szczecinie na terenie koszar będzie miał siedzibę kampus studencki. W Bagiczu pas startowy lotniska podzielono między gminy Ustronie Morskie i Kołobrzeg. W Wiechlicach z dawnego klubu oficerskiego, betonowego potwora, wyrośnie krzyż kaplicy. Do tak zwanych białych koszar w Świdnicy przeprowadzi się urząd skarbowy. W Skarbimierzu, na radzieckim lotnisku, pojawi się producent czekolady Cadbury (a potem magazyn Biedronki). W głównym budynku koszar w Łowiczu będzie się mieścić wyższe seminarium duchowne. Z dawnej wojskowej pralni i kotłowni nadawać będzie katolickie radio Victoria.

Listopad 1993

Podpułkownik Rustam:

– Przed odjazdem pożegnałem się z weteranami Ludowego Wojska Polskiego. Powiedzieli: „Szkoda”. Polskie wojsko proponowało, żebym został w Polsce szkolić polskich pilotów. Kiedy Układ Warszawski się rozpadł, Polska musiała sporo płacić Rosji za szkolenia na migach. Taniej było zaproponować etaty naszym. Ale odmówiłem. Wsiedliśmy do samolotu. Minęliśmy Gdańsk, Kaliningrad i wylądowaliśmy w Czerniachowsku, żeby dotankować. Nie wierzyliśmy, że to koniec. Dla mnie to była ucieczka, nie wyprowadzanie. Wydawało się, że zaraz się obudzimy i będziemy w Polsce. Generał ustawił nas w szeregu. „Towarzysze piloci, lecimy do Krasnodaru! Tam zbudowali dla nas miasteczko wojskowe. Ojczyzna na was czeka”. Poleciałem razem z drugim pilotem. Dolecieliśmy i nie wierzyliśmy. Wykonaliśmy więc jeszcze jedno okrążenie. Zapytałem: „Zgubiłeś się?”. „Kapitanie, wszystko się zgadza, dotarliśmy do wyznaczonego punktu!” W gołym polu stały trzy baraki.

Anatolij Łopata, zastępca dowódcy PGWAR, w *Notatkach szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Ukrainy* wspomina:

> Wojsko ulokowano w miejscach zupełnie do tego nieprzystosowanych. Technika tonęła w błocie, dobytek wyładowywano na ziemię i tam pozostawiano w deszczu i śniegu. Ci, którzy mogli zamieszkać nie pod namiotem, tylko w budynkach kolonii i domach letniskowych, byli szczęściarzami. Budynki nie były dostosowane do warunków zimowych. Stąd – „kozy", chłód, brud i choroby. Młode rodziny oficerskie i ci, którzy przyjechali na służbę z odległych regionów i nie mieli dokąd pójść, najczęściej byli lokowani w koszarach. Pomieszczenia, w których stało 500–600 żołnierskich łóżek, były dzielone drewnianymi dyktami na klitki 9–12 m^2. Taki pokoik otrzymywała trzy-, czteroosobowa rodzina. Kuchnia wspólna, toaleta – wspólna. Wielu wojskowych zrezygnowało ze służby, rozpadły się rodziny. Doskonali oficerowie zasilili szeregi nocnych cieciów i alkoholików.

Rosyjska armia zwolniła sto tysięcy oficerów, ale nadal jest nadwyżka. Brakuje za to poborowych, bo nie dosyłają ich republiki związkowe, które ogłosiły niepodległość.

Pozostali muszą podjąć decyzję: co dalej. Zostać w Armii Rosyjskiej? Przenieść się do armii Kazachstanu, Uzbekistanu czy Ukrainy? Odejść z wojska? Gdzie wtedy zdobyć pracę? Na stacji metra Puszkinskaja ogłoszenia: potrzebny operator maszyn czyszczących. Wynagrodzenie: pięćset rubli. Podpułkownicy po akademii wojskowej, ze stażem dwudziestu lat, biorą numer. Sami zarabiają trzysta.

Poczynając od 1989 roku Rosjanie wycofali z zagranicy ponad siedemset tysięcy żołnierzy. Nie ma gdzie ich podziać. Na odludziu, wzdłuż zachodnich granic dawnego ZSRR, stawia się więc namioty i baraki. Dywizja czołgowa została rzucona pod wioskę Boguczar w obwodzie woroneskim, gleba tutaj to czarnoziem, czołgi kopią się więc w ziemi.

Lotnicy, którzy trafili pod Wiaźmę, przez rok śpią pod swoimi samolotami. Do ministra obrony narodowej dociera list – biała kartka papieru z rozmazaną na niej krwią i podpisem: „Tak rozchorowało się moje dziecko, mieszkając w namiocie. Dzięki wielkie. Żona oficera".

Podpułkownik Rustam:

– Wieczorami dużo piliśmy. Do niektórych oficerów dojeżdżały rodziny. Kłócili się głośno, bo nie było gdzie się ścisnąć. Żony piekliły się, wyjeżdżały do rodziców. Jakoś wytrzymałem. Od babuszki wynająłem pokój we wsi. Zająłem się biznesem. Zacząłem przewozić samochody z Togliatti do Krasnodaru. Poznałem tam dyrektora salonu samochodowego. Żyłem z tego, bo pensję przestali nam wypłacać. Nie dostawaliśmy jej pół roku. Trzy miesiące później wylądowałem na Kaukazie. Zaczęła się wojna. Najpierw byłem na gruzińsko-abchaskiej, potem osetyjsko-inguskiej, potem znowu gruzińsko-abchaskiej. A potem? A potem, koledzy, zaczęła się Czeczenia.

Postscriptum

Kwiecień 1994

W *Pikniku na skraju drogi*, książce braci Strugackich, przybysze z innej planety zatrzymują się na chwilę na Ziemi. Szybko jednak odlatują, zostawiając tylko kosmiczne śmieci. Miejsce ich lądowania nazywane jest „zoną”. Po śmieci, czyli artefakty, ruszają do zony wyspecjalizowani ludzie, nazywani „stalkerami”. Poradzieckie garnizony są jak zony. A gdy kosmici już odlecieli, ruszają do nich mieszkańcy sąsiednich miejscowości. Wynoszą grzejniki, meble, drzwi, prują kable. W okolicy Bornego Sulinowa dzieci po szkole zbierają naboje. „Borne Sulinowo. Tanie działki budowlane. Tylko uzbrojone” – żartują mieszkańcy. Saperzy ze Szczecina znajdują zakopane w leśnych dołach skrzynie z uzbrojeniem: sto czterdzieści dziewięć pocisków artyleryjskich, siedemdziesiąt pięć granatów moździerzowych i ponad siedemset min przeciwpancernych. Skrzynie zapakowane są w folię, pociski nowe, zabezpieczone fabrycznie. Konrad Olstowski, były saper, chodzi po lasach Bornego Sulinowa i szuka niewybuchów na własną rękę. Trafia na dwieście pięćdziesiąt beczek z chemicznymi środkami bojowymi.

W zonie nie jest bezpiecznie, ostrzega Państwowa Inspekcja Ochrony Środowiska. Ujawnia raport o szkodach ekologicznych wyrządzonych przez wojska radzieckie. Inspektorzy przez półtora roku skontrolowali dwadzieścia największych dawnych baz wojsk rosyjskich.

„Polska przejęła większość obiektów bez dokumentacji. Nie ma nawet map terenów, trzeba korzystać ze zdjęć lotniczych. Nie widzieliśmy, co tam składowano” – tłumaczy główny inspektor ochrony środowiska Andrzej Walewski.

Opuszczony magazyn paliw w Świnoujściu to jedenaście ogromnych podziemnych betonowych zbiorników połączonych rurociągiem. Ziemia wokół jest tak przesiąknięta paliwem, że można je wydobywać wiadrem z metrowych odwiertów. Przedsiębiorczy mieszkaniec Świnoujścia z wykopanej przez siebie studni wydobywa dziennie dwieście litrów benzyny. W Kluczewie pod Stargardem ropa może przedostać się do zbiorników wody pitnej dla Szczecina. W Brzegu zagraża ujęciu wody dla Wrocławia. Chłopi z okolicy Żagania opowiadają inspektorom, że już w 1988 roku odkryli złoże ropy naftowej. Kazik wkopał łopatę w ziemię, a w ziemi zebrała się ropa. Potem okazało się, że to paliwo lotnicze, które wypływa z dziurawych zbiorników i rurociągów. Okolice zaczęto nazywać „Małym Kuwejtem”. Rolnicy wydobywali pokłady na skalę półprzemysłową, ludzie ciągnęli z kanistrami z daleka. Paliwa nie ubywało, trzeba było tylko kopać głębiej.

W piętnastu przebadanych przez inspektorów bazach paliwo pływa pod ziemią. Czasem jego warstwa sięga ośmiu metrów. Po armii została nie tylko ropa. Grunt i wody podziemne we wszystkich badanych obiektach skażone są metalami ciężkimi. „Najbogatszą” glebę mają Szprotawa i Świętoszów. Normy miedzi, niklu, ołowiu, chromu w wodach podziemnych zostały przekroczone nawet sześciusetkrotnie. Rekordowe jest stężenie fenoli (rakotwórczych związków aromatycznych). W niektórych bazach przekroczyło ono niemiecką normę (polskiej brak) 69 800 razy. W legnickiej studzience ściekowej wykryto kilkadziesiąt litrów toksycznej rtęci i osiem litrów rtęci czerwonej, której kilogram kosztuje na

rynku europejskim czterysta dwadzieścia tysięcy dolarów (wykorzystywana jest w przemyśle jądrowym). W Bornem Sulinowie inspektorzy znajdują toksyczny składnik paliwa rakietowego Samina oraz PCB (zakazany konwencjami międzynarodowymi środek podobny w działaniu do DDT). W jednej z koszalińskich baz pracujący przy wierceniach polski żołnierz zatruł się gazami z rozkładających się chemikaliów.

Sierpień 1994

„Armia Rosyjska znowu w Polsce" – piszą gazety. Przez Polskę przejeżdżają rosyjskie oddziały wycofujące się z Niemiec. Anton Putiatin wycofuje się z Poczdamu. Obserwuje rozluźnienie dyscypliny:

> Nikt nie miał nic do stracenia, niektóre łobuzy stawiali się na nocny alarm w sztabie, brali kopertę z zadaniami i odpowiadali: „Trudno powiedzieć, nie mogę się skupić, zapomniałem". Oddawali odpowiedzi i szli spać. Najwięksi wariaci odbierali od dowódcy telefon i mówili, że nie mogą się stawić, bo do rana wyprowadzają psa. Wszyscy mieli wszystko gdzieś. Po przekroczeniu niemiecko-polskiej granicy napiliśmy się szampana. Chwilę później wyprzedził nas eszelon z dywizją przeciwpancerną. Obrzucili nas butelkami po szampanie. W Brześciu policzyliśmy trafienia. Nasz eszelon wygrał.

Maj 1995

W Polsce bezrobocie. Do zony, na poligony ruszają bezrobotni z dawnych pegeerów.

Stanisław Gryńczyk chodzi w las w okolice Bornego Sulinowa, 3 kwietnia zabrał ze sobą dwudziestodwuletniego syna Arka. Przynieśli niewybuchy do garażu. Stanisław dłubał śrubokrętem, za mocno przygiął. Urwało mu dłoń i kawałek przedramienia. Arek dostał siedemnaście odłamków.

Ludzie opowiadają reporterce „Gazety Wyborczej" Renacie Gluzie, że od kiedy Polacy przejęli poligon, jest gorzej. Tor pocisku się zmienił.

Mężczyzna z Bukowiny poszedł po kable miedziane, które zostały po Armii Radzieckiej. Kable były pod napięciem, zginął na miejscu.

Chłopak z Rudawicy po porażeniu prądem stracił rękę.

Tomek zginął w transformatorze.

„Mamuś, tu nie ma prądu” – powiedział. A matka zobaczyła mnóstwo iskier. Podbiegła do niego, nie reagował. Serce mu tylko biło jak oszalałe. Ludzie we wsi mówią, że od kiedy Polacy przejęli poligon, jest gorzej. Tor pocisku się zmienił. Ruskie tylko raz takiego dziadka, co złom zbierał, postrzelili.

Sołtys Nadarzyc Ryszard Tarnowski: „W sezonie ludzie najmują się do prac leśnych: sadzenie lasu, zbieranie jagód, grzybów. I zbierają odłamki, łuski. Jak poszła wieść, że ktoś uzbierał 300 kilogramów »towaru«, następnego dnia dzieci ze wsi nie poszły do szkoły. Chodziły zbierać z matkami”.

Dowódca poligonu rozkłada ręce: „Zabezpieczyć teren? Ogrodzę siatką, ukradną”.

Czerwiec 1996

Mur Kwadratu w Legnicy rozebrany. Pierwszą dziurę w murze wybił Kazimierz Pleśniak, dyrektor Młodzieżowego Centrum Kultury „Harcerz”. Po wyjściu Rosjan zamieszkał w Kwadracie przy ulicy Okrzei, w jednym z domków wielorodzinnych. Dziurę wybił młotkiem. Chciał sobie skrócić drogę do pracy.

Uniejowice pod Legnicą. Muzeum

Pod jabłoniami wystawiono długie stoły. Na podwórzu drapie się pies. Kwitną bez, kalina, jabłonie i czereśnie. Ogromny dom osiadł na wzgórzu, zgarbił się, przykucnął. Gospodarz pacnął Lenina po łysinie, włożył radziecki mundur i ociężałym krokiem poszedł powitać gości.

Nazywa się Michał Sabadach.

Urodził się w Rosochaczu na Podolu w 1943 roku, w czasie wojny. Przychodził wtedy Wehrmacht, rozstrzelał ludzi. Przychodziła UPA, spaliła sąsiednią wieś. Michał miał brata. Trzynastoletni Bazyli Sabadach poszedł do młyna i natknął się na ukrywającego się uciekiniera z getta, Chaima. Przynosił mu jedzenie. Gdy dowiedział się o tym ojciec, razem postanowili ukryć Chaima w stodole. Przynieśli mu lampę, jedzenie, wodę, gazety. Pod stodołą Chaim mieszkał rok. Do Rosochacza wkroczyła Armia Czerwona. Chaim wyjechał na Wschód, a ojciec Michała Antoni Sabadach z Armią Czerwoną i 1 Armią Wojska Polskiego poszedł na Berlin. W Rosochaczu nastał Związek Radziecki. Michał żył w nim osiem lat, do śmierci Stalina. Po 1953 roku rodzina Sabadachów stara się o pozwolenie na powrót do granic Polski. Dostają ziemię pod Legnicą i dom, przygarbiony poniemiecki dworek rodziny Dümichenów, w którym pod koniec wojny mieścił się szpital polowy Armii Czerwonej. Dom ma trzydzieści sześć pokoi, ale na razie jest w całkowitej ruinie. Pierwsza zima jest ciężka, śpią w kuchni.

Starszy o kilkanaście lat Michał Sabadach otwiera pracownię plastyczną na zamku w Grodźcu. Komitety partyjne składają u niego zamówienia na portrety przywódców, na transparenty pierwszomajowe i tablice pamiątkowe. Choć nie jest w partii, dzięki partii żyje.

W 1970 roku na dziedziniec wjeżdżają samochody z generałem Jermołowiczem z Ministerstwa Obrony ZSRR. Generał chce obejrzeć miejsce, w którym, jak krążą opowieści, podczas wojny było archiwum

planu Barbarossa. Sabadach przerywa malowanie transparentu i oprowadza generała po zamku. Na drugi dzień w podziękowaniu ma zaproszenie do Kwadratu w Legnicy. Dostaje bezterminową przepustkę, w sklepach może kupować wszystko i w każdej ilości. Zaprasza więc wojskowych do swojego rodzinnego dworku w Uniejowicach. Potem zaprasza znowu. Radzieccy oficerowie przyjeżdżają tam coraz częściej. Grają w karty, obchodzą imieniny, polują, organizują pikniki i wesela po ślubach kościelnych branych w tajemnicy. Na wsi pod Legnicą wśród wiśniowych drzew czują się inaczej, swobodniej niż na garnizonowych korytarzach. Żołnierze z pobliskiego lotniska przebierają się u Sabadacha w cywilne ciuchy i idą na wiejską zabawę.

Dla radzieckich oficerów Michał hoduje barany na szaszłyki. Oni delegują mu szeregowych żołnierzy do pomocy przy żniwach. Ubierają go w mundur i z lotniska wojskowego zabierają na wycieczkę do Moskwy. W Jarosławiu pod Moskwą poznaję Lidię, wnuczkę radzieckiego oficera, i bierze z nią ślub. Wszyscy generałowie garnizonów zaczynają i kończą wizytę w Polsce na pikniku u Sabadacha.

W stanie wojennym Sabadach jest lokalnym przywódcą Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Wciąż ma swoją przepustkę do Kwadratu i mieszkańcom Uniejowic załatwia tam mięso i śledzie. Gdy potrzebuje liści laurowych, to Armia Radziecka przywozi mu dwa worki po pięćdziesiąt kilogramów. Całe Uniejowice ogórki kiszą na radzieckich liściach. Mieszkańcom wsi pomaga też załatwić wizyty u wojskowych lekarzy radzieckich. Zna wszystkich okolicznych pułkowników i generałów. Odwiedza w gabinecie dowódcę PGWAR Wiktora Dubynina i jego następcę, generała Kowaliowa.

A potem armia wychodzi.

Oficerowie oddają mu na pożegnanie medale, mundury paradne, polowe i letnie, radiostację, kombinezon pilota, mapy sztabowe, stare pianino, hełmy, pasy, manierki, atrapy rakiet.

Armia wychodzi, a z armią zabierają się także jego żona i syn.

Dworek w Uniejowicach pustoszeje. Wszystko jest inaczej.

W piwnicy przygarbionego dworku rozwiesza więc sprezentowane mundury, medale i mapy. Rozkłada hełmy i radiostację. I otwiera swoje prywatne Muzeum Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Jeździ do Legnicy, Lubina, Wrocławia i przejmuje demontowane pomniki oraz wyrzucane z garnizonowych budynków insygnia i wyposażenie. Popiersie Rokossowskiego znajduje w Legnickim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej, uszkodzone, bo ktoś próbował marszałkowi uciąć głowę.

Między jabłoniami i kaliną stawia głowę Lenina, pomnik Świerczewskiego i Marcelego Nowotki.

Co roku w maju, w okolicach Dnia Zwycięstwa, rozstawia stoły i wyprawia uroczystość. Przyjeżdżają weterani Ludowego Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej. Odwiedza go rosyjska telewizja, ambasador Rosji oraz Wiktor Konstantinow, samozwańczy syn marszałka Rokossowskiego. Wszyscy razem śpiewają *Dien pobiedy*.

W księdze pamiątkowej goście piszą:

> Panu Michałowi! Najbardziej rosyjskiemu Polakowi. Oksana Boyko, RT Russia Today, ANO „TV Novosti”
>
> Liczna grupa emerytów i rencistów, rzemieślników Milicji Obywatelskiej i Policji z Bolesławca
>
> Towariszczi! Wszystko bym dała, nawet to, czego już nie mam, aby tylko przez moment ponosić na piersiach przepiękną maleńką gwiazdeczkę, czerwoną, z małym słodkim riebionką Leninem (podpis nieczytelny).

Gospodarz poprawił mundur i czapkę. Otarł pot z czoła, bo właśnie zaczyna się kolejna taka uroczystość. Wygląda ostatnich gości. Już chyba wszyscy. Grzeje słońce, bzyczą owady. Weterani Ludowego Wojska Polskiego, dzieci oficerów Armii Radzieckiej piją przy stołach wódkę z plastikowych kubeczków. Obok pomnika Rokossowskiego Rosjanin w tielniaszce śpiewa *Rozkwitały jabłonie i grusze*. Sabadach się śmieje.

W 2014 roku „Gazeta Polska” napisała, że te spotkania i opowieści, jak dobrze się żyło z wojskiem radzieckim, to „relacja niewolników, którzy

dobrze wspominają swoich panów”.

Tym razem gości jest niewielu. Od jakiegoś czasu spotkania są mniejsze i mniejsze. Powoli nie ma już kto przyjeżdżać.

Sabadachowi brakuje też pieniędzy. Sprzedał już dwanaście hektarów pola. Z muzeum znikają mu eksponaty. Kilka pożyczył do filmów, ale część zabrali podpici goście. Coraz trudniej mu przywracać na chwilę tamten świat, coraz więcej go to kosztuje. Jest jednak niestrudzony i co roku organizuje następny zjazd.

„Nie płacz dziewczyno ma, bo w partyzantce nie jest źle!” – śpiewają emeryci i bujają się przy stołach w rytm *Rozszumiały się wierzby płaczące*. Dwóch osiemdziesięcioletnich przedstawicieli Komunistycznej Partii Polski rozdaje gazetkę „Brzask”. Polecają artykuł „Dlaczego upadła Polska Ludowa?”.

Znany antysemita-celebryta woła do mikrofonu, że to przez Żydów nikt już w Polsce nie pamięta, kto naprawdę wygrał wojnę.

Pod stołami leżą pogniecione plastikowe kubki.

Potem słońce zniża się za horyzont. Robi się chłodniej. Goście powoli się rozchodzą.

Gospodarz patrzy na głowę Lenina. Czaszka wodza jest trochę popękana.

– Jak ktoś tu u mnie zobaczy Lenina, to zaraz go pac, pac, pac po głowie. I w taki oto sposób główka mu pękła – mówi, gdy ktoś przechodzi.

Innemu tłumaczy:

– To adiutant generała Dubynina strzelił wodzowi w czerep. Zwidziało mu się po pijaku, że Włodzimierz Uljanow do niego przemawia.

Albo:

– Leninkowi spadł na głowę kawał tynku z sufitu.

Potem zostaje sam w wielkim domu osiadłym na wzgórzu. Na podwórzu drapie się pies. O ścianę stoją oparte popękane kamienne twarze radzieckich żołnierzy.

Nie mają nosów, usta zarasta im trawa.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie ludzie, którzy nam pomogli, dzieląc się wiedzą i kontaktami. Chcielibyśmy im podziękować.

Kronikarze radzieckiej historii Legnicy historyk Wojciech Kondusza i fotograf Franciszek Grzywacz służyli pomocą w odnalezieniu niektórych bohaterów. Nieocenionym źródłem wiedzy były ich publikacje, między innymi *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy* (Wojciech Kondusza) i *Legnica. Życie za radzieckim murem* (Franciszek Grzywacz), z których czerpaliśmy przy pracy nad naszą książką.

Robert Urbański, kierownik literacki Teatru imienia Heleny Modrzejewskiej, opowiedział nam o Simie Rajewskiej, a potem pomógł się z nią skontaktować.

Jurij Asaułow dał nam do przeczytania swoją nieukończoną jeszcze książkę o Rosyjskim Teatrze Dramatycznym PGWAR.

Wiele tropów podrzucił także Zbigniew Konieczny z Gościńca Rossija w Bornem Sulinowie.

Za pomoc dziękujemy także: Katarzynie Moskal, Jackowi Głombowi i Patrykowi Kulbasowowi.

Oraz naszym bohaterom, którzy podzielili się z nami swoimi opowieściami, między innymi: Simie Rajewskiej, Małgorzacie Okrafce-Nędzy, Aleksandrze Okrafce, Igorowi Alejnikowi, podpułkownikowi Rustamowi, Fanisowi Biktaszewowi, Tatianie Niedźwiedzkiej, Jelenie Władimirownie, Irinie Kosienko, Aleksandrowi Miedwiediewowi, Władimirowi Zudilenkowowi, Siergiejowi Nowikowowi, Jerzemu Kardeli, Mariuszowi Ławruszczukowi, Jewgienijowi Popowowi, Sławomirowi Moskalewiczowi, Renacie Komorowskiej, Wacławowi Nyczowi, Nurgalemu Kulbasowowi, Rajmundowi Prusowi.

Wydawnictwu Czarne dziękujemy za cierpliwość. A rodzinie i przyjaciołom za zrozumienie, że na każdą propozycję spotkania przez długi czas odpowiadaliśmy: „Nie możemy. Piszemy książkę”.

Bibliografia

Alimurzaev Alisher, Martin König, Elżbieta Szumańska, *Wymuszeni sąsiedzi. Ludność Legnicy w latach 1945–1962*, Legnica 2012

Archiwum „Gazety Wyborczej" z lat 1989–2005

Armia Czerwona/Radziecka w Polsce w latach 1944–1993. Studia i szkice, red. Krzysztof Filip, Mirosław Golona, Borne Sulinowo–Bydgoszcz–Gdańsk 2014

Asaułow Jurij, *Uwagi na marginesie* Małej Moskwy *W. Konduszy*, „Szkice Legnickie" 2012, t. 33

bar, *Gródek bliżej świata*, „Głos Słupski", 4.11.1993

Biały Aleksandra, *Borne Sulinowo bez tajemnic*, „Rzeczpospolita", 7.06.1993

Blog Andrieja Gołubiewa: drive2.ru/b/288230376151899958/

Borne Sulinowo – 20 lat w cywilu, Borne Sulinowo 2013

Borne Sulinowo liczy na bazy, rmf.pl, bit.ly/2DWGgdV, dostęp: 4.10.2018

Burszta Jędrzej, *Razem, lecz osobno. Mała Moskwa Polaków i Rosjan*, „Mówią Wieki. Magazyn Historyczny" 2012, nr 3

Burszta Jędrzej, Zuzanna Grębecka, *Mówiono „druga Moskwa". Wspomnienia legniczan o stacjonowaniu wojsk radzieckich w latach 1945–1993*, Kraków 2015

ch, *Co zrobić z tym bogactwem. O prorosyjskim mieniu – na forum legnickiej Rady Miejskiej*, „Gazeta Robotnicza" 1992, nr 254

Chećko Aleksander, *Biznes w muzeum chwały. Rosyjscy oficerowie na wolnym rynku*, „Polityka" 1992, nr 17

Chmielowski Grzegorz, *Wyjechali. Lenina zabrali ze sobą*, „Gazeta Robotnicza" 1993, nr 198

—, *Za ruskim murem pusto*, „Gazeta Robotnicza" 1993, nr 24

Daniłow Andriej, *„Zapad-81". Listaja staryje stranicy*, vsr.mil.by, bit.ly/2ybZGWP, dostęp: 9.10.2018

Dąbrowski Stanisław, *Pobyt i wycofanie Północnej Grupy Wojsk Radzieckich z Dolnego Śląska*, „Dolny Śląsk" 1995, nr 1

Gawiński Tomasz, *Szukamy ciągu dalszego – „Miasto nadziei"*, „Angora" 2005, nr 52

Gawryś Filip, *Czy Borne Sulinowo umrze śmiercią naturalną*, „Rzeczpospolita”, 22.08.1996

Golisz Edyta, Leszek Misiak, *Tylko Ruskich, tylko Ruskich żal*, „Super Express” [b.d.]

gr, *Pożegnanie z bombą*, „Głos Koszaliński”, 24.10.1995

—, *Życie za złom*, „Głos Koszaliński”, 8.01.1997

Grębecka Zuzanna, *Legnickie strzępki, czyli etnograf na śmietnisku historii*, „Mówią Wieki. Magazyn Historyczny” 2012, nr 3

—, *Obcy w mieście. Żołnierze radzieccy w pamięci, doświadczeniu i opowieści legniczan*, Kraków 2017

Grzywacz Franciszek, *Legnica. Życie za radzieckim murem*, Legnica 2008

Hawryluk Łukasz, *Aspekt społeczny stacjonowania Armii Radzieckiej w Legnicy*, praca licencjacka obroniona w Zakładzie Systemów Politycznych Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Witelona w Legnicy, Legnica 2004

Henzler Marek, *Drodzy towarzysze. Koszty pobytu Armii Radzieckiej w PRL*, „Pomocnik Historyczny”, nr 1 [dodatek do „Polityki” 2007, nr 4]

Honorowe chłopaki. Lata 40. Migawki ze wspomnień pani Władzi Komisaruk, „Wersja” 2002, nr 10

Janicki Szymon, *Ekologiczne bomby*, „Konkrety” 1995, nr 8

Jóźwiak Tomasz, *Globus generała. Historia jednego zdjęcia, które obiegło cały świat*, „Express Legnicki”, 9.12.2009

Kasprowiak Stanisław, *Co jest za tymi murami?*, „Szkice Legnickie” 1994, t. 15

Koczyna Jelena, Olga Bergholc, Lidia Ginzburg, *Oblężone. Piekło 900 dni blokady Leningradu w trzech przejmujących świadectwach przetrwania*, przeł. Agnieszka Knyt, Elwira Milewska-Zonn, Warszawa 2014

Kondusza Wojciech, *Legnicka matrioszka*, „Mówią Wieki. Magazyn Historyczny” 2012, nr 3

—, *Lidia, legnicka Julia*, „Konkrety.pl” 2010, nr 11

—, *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*, Legnica 2006

—, *Nieprzespana noc*, „Konkrety.pl” 2009, nr 49

—, *Sabadach i jego Muzeum Armii Radzieckiej*, Legnica 2012

Krawczyk Jarosław, Tomasz Bohun, *Legnickie dorastanie. Rozmowa z Andą Rottenberg*, „Mówią Wieki. Magazyn Historyczny” 2012, nr 3

Krogulski Mariusz Lesław, *Okupacja w imię sojuszu. Armia Radziecka w Polsce 1944–1956*, Warszawa 2000

Krzemiński Jacek, *Spadek po ZSRR. Czas pionierów*, „Rzeczpospolita”, 27.08.1999

Kwiecińska Izabela, *„Pustynna burza” w Bornem Sulinowie*, „Odkrywca” 2009, nr 11

Leonow Nikołaj, *Wsiego nam wsie rawno nie skażut…*, stoletie.ru, bit.ly/2RCrWKb, dostęp: 9.10.2018

Łopata Anatolij, *Zapiski naczalnika Gienieralnogo sztaba Woorużennych sił Ukrainy*, Kijew 2014

Łuczak Mirosława, *Borne Sulinowo, jest jeszcze takie miejsce*, Koszalin 2008

Mickiewicz Magdalena, *Tropem trolli*, „Na Marginesie”, 6–7.02.1999

Mleczin Leonid, *Jurij Andropow. Posledniaja nadieżda rieżyma*, Moskwa 2008

Mochocki Władysław, *Społeczeństwo Śląska a Armia Czerwona w latach 1945–1947*, „Dolny Śląsk” 1996, nr 3

Motyka Grzegorz, *Na białych Polaków obława. Wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*, Kraków 2014

Mułek Zygmunt, *W polskim więzieniu jest super*, „Panorama Legnicka” 2007, nr 122

Niewypały w Bornem Sulinowie, TVP3, 18.10.2005

Okrafka-Nędza Małgorzata, *Bóg liczy łzy kobiet*, Warszawa 2016

Paluch Piotr, *Magiczny kwadrat*, „Tygodnik Obywatelski” 1990, nr 29

Pochrzęst Agnieszka, *Armia Czerwona wraca do Polski*, „Nowy Dzień”, 16.11.2005

Polechoński Piotr, *Kłomino, moja kolonia karna*, „Głos Pomorza” [b.d.]

Poligon ich żywi i rani, „Super Express”, 29.04.2002

Postnikow Stanisław Iwanowicz, *W dalekich garnizonach*, Moskwa 2004

Potyrała Bolesław, *Dowódcy Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej (Federacji Rosyjskiej) w latach 1945–1993*, „Szkice Legnickie” 1994, t. 16

Prostota chuże worowstwa, „Ogoniok” 1997, nr 20

Pytlakowski Piotr, *Czas pionierów*, „Polityka” 1996, nr 34

r, *Saperskie wykopki pod Bornem*, „Głos Pomorza”, 24.08.1995

Rajca Honorata, *Dyplom z Leninem. Wacław Bujnicki ponad trzydzieści lat pracował jako kierowca w radzieckim garnizonie*, „Konkrety.pl” 2010, nr 12

Rołdugin Oleg, *W 1981 godu SSSR gotowił wtorżenije w Polszu*, sobesednik.ru, bit.ly/2y8GSHQ, dostęp: 9.10.2018

Rostkowski Jerzy, *Znikające miasta. Gross Born – Borne Sulinowo. Westfalenhof – Kłomino*, Warszawa 2004

Rosyjskie forum dla byłych lotników PGWAR: sgvavia.ru

Rosyjskie forum dla byłych żołnierzy PGWAR: ok.ru/www.sgv.su i sgv.su

Soldaty Siewiernej, ried. A. Migunow, A. Sidorczuk, Moskwa 1985

Stankiewicz Michał, *Borne Sulinowo, miasto na minach i pociskach*, „Rzeczpospolita”, 20.10.2007

—, *Mieszkańcy Kłomina żyją na beczce prochu. Dosłownie*, „Rzeczpospolita”, 23.10.2006

Straty w Kłominie, TVP3, 1.09.2005

Subbotin W.A., *Stranicy żyzni*, sokolovs.narod.ru, bit.ly/2QCtmTN, dostęp: 9.10.2018

Szczepański Grzegorz, *Nic tak nie cieszy jak seria z pepeszy*, „Głos Koszaliński”, 28.07.1995

Szczepański Mieczysław, *Polska. Życie po J.A.R.*, Warszawa 2005

Świącik Joanna Lilla, *Podwójnie strzeżeni. Armia Radziecka w Legnicy (1945–1993)*, Wrocław 2010

Takoj sołdat niepobiedim (Uczenija „Zapad-81”)… (1981), YouTube, bit.ly/2IIN1yF, dostęp: 9.10.2018

Trusewicz Iwona, *Jak sołdat Popow kapitalizm zbudował*, „Rzeczpospolita”, 21.08.2004

Wania, podejdź do płota!, „Głos Koszaliński”, 19–20.10.2002

Waśkiel Grzegorz, *Spóźniona niepodległość*, „Z Daleka i Bliska”, 10–12.11.1995

Wełnic Rajmund, *Od księstwa po Faludżę*, „Głos Koszaliński”, 20.08.2012

—, *Puste i rozszabrowane*, „Głos Koszaliński”, 25.09.2002

Wiśniewska-Krysiak Grażyna, *Pobyt wojsk armii sowieckiej w Legnicy w latach 1945–1993 w świetle lokalnej dokumentacji prasowej*, praca magisterska obroniona na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2005

Wojska radzieckie w Polsce 1939–1993, red. Stanisław Dąbrowski, Kazimiera Jaworska, Wacław W. Szetelnicki, Legnica 2013. Najważniejsze artykuły z tej publikacji:

Baziur Grzegorz, *„Precz z sowiecką okupacją!” Konfederacja Polski Niepodległej wobec Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej stacjonującej w Polsce między 1970 i 1990*

Czarnecka Dominika, *Pomniki wdzięczności Armii Czerwonej w III Rzeczpospolitej (1989–2012)*

Florek Dariusz, *„Polskie Betlejem” – wojska radzieckie w Białogardzie*

Kondusza Wojciech, *Życie garnizonu radzieckiego w świetle „Znamia Pobiedy”*

Małecka Agata, *Konsekwencje wycofania jednostek Armii Radzieckiej z Polski w latach dziewięćdziesiątych*

Marecki Józef, *„Położyć kres łajdackiemu zachowaniu się żołnierzy rosyjskich”. Armia Czerwona na Podhalu*

Nowacki Krzysztof, *Zainteresowanie oficerów Armii Radzieckiej sytuacją społeczno-polityczną w Polsce w latach 1980–1981 w relacjach oficerów WP*

Palczyński Michał, *„Armia, która wyzwoliła Polskę”. Kształtowanie pozytywnego wizerunku Armii Czerwonej wśród młodzieży w latach 1945–1956*

Piotrowski Paweł, *Rola i zadania Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej w Polsce*

Sarniak Jan, *Aspekty gospodarcze stacjonowania radzieckich jednostek wojskowych*

Smalewski Jan Stanisław, *Wybrane problemy zachowań sojuszniczych – na podstawie kontaktów oficerów Wojska Polskiego z oficerami Armii Radzieckiej*

Szetelnicki Wacław W., *Praktyki religijne Sowietów stacjonujących w Legnicy – fakty i mity*

Wróbel Joanna A., *Wpływ stacjonowania Armii Sowieckiej na polską edukację na podstawie wspomnień nauczycieli i uczniów z lat 1945–1993 – wybrane aspekty*

Żeleźny Robert, *Wojska sowieckie w Legnicy 1945–1993. Okupacja, kontrola czy pobyt? Próba odpowiedzi*

Zareba Marcin, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947*, Kraków 2012

Zyzik Krzysztof, *Borne czeka na jankesów*, nto.pl, bit.ly/2PPirH1, dostęp: 29.08.2018

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2019
Wydanie I